

JENNY BRYANT

**Miłość
i uprzedzenie**

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Doktor Eryl Thomas miała wrażenie, że jej podróż ze Środkowej Anglii do Walii nigdy się nie skończy. Choć był dopiero początek czerwca, panował nieznośny upał, a piątkowy ruch na szosach czynił jazdę wyjątkowo uciążliwą. Przede wszystkim jednak lękiem napawała ją myśl o powrocie w rodzinne strony. Kiedy więc opuściwszy ponure rejony krainy węgla dotarła do podnóży Cader Idris, zadała sobie pytanie, czy mądrze postąpiła, przyjmując posadę lekarza rodzinnego w miejscowości, gdzie tyle niegdyś przecierpiała.

Wyniosła góra, zwana po angielsku Tronem Króla Idrisa, zdawała się pełnić straż nad położonymi w tej części Walii licznymi wioskami i miasteczkami. A szczególnie nad miejscowością Dynas, gdzie Eryl przyszła na świat, a którą po latach opuszczała z rozpaczą w sercu. W cieniu tej góry zmarła jej matka, gdy Eryl była jeszcze dzieckiem; tu praktykę lekarską prowadził jej ojciec, nim i on odszedł z tego świata. I wreszcie tutaj właśnie Eryl przeżyła swoją pierwszą wielką miłość, która przyniosła jej jedynie gorzkie rozczarowanie.

Czy zdoła podjąć w tym samym miejscu normalne życie?

Zwolniła, zjechała na pobocze wąskiej drogi i zaparkowała obok wielkiego głazu, który niemal całkowicie zasłonił samochód. Dobrze znany krajobraz niewiele się zmienił. Oczom Eryl ukazał się ten sam wspaniały widok rozległej i pustej walijskiej doliny, gdzie o istnieniu cywilizacji świadczyły jedynie dalekie, rzadko rozrzucone siedziby farmerów i pasące się wśród skał stada owiec.

Wysiadła z auta, rozprostowała kości i przeczesała palcami swoje krótkie, wijące się włosy o rudawym odcieniu. Zrzuciwszy pantofle, przeszła się z przyjemnością bosymi stopami po miękkim mchu. Na koniec podniosła głowę ku królewskiej górze i wciągnęła w płuca czyste, ożywcze powietrze, chłonąc z rozkoszą ostre zapachy dzikiego tymianku i wrzosu.

Nagły powiew wiatru szarpnął jej spódnice, wydymając ją niby żółty spadochron. Walcząc z nieposłuszną spódnicą i wymykającą się spod paska bluzką, Eryl zaśmiała się wesoło. Cokolwiek czeka mnie w Dynas, pomyślała, będzie to o niebo lepsze od dotychczasowej pracy w ogromnym, podobnym do fabryki ośrodku zdrowia na przedmieściu Birmingham, przez który przepływał nie kończący się strumień anonimowych pacjentów, a lekarz nigdy nie miał czasu zająć się cierpiącym człowiekiem, ograniczając się z konieczności do jego bezosobowego, chorego ciała.

Eryl nie tak wyobrażała sobie powołanie lekarza, toteż skorzystała z pierwszej sposobności, aby się stamtąd wyrwać. Była przekonana, że praca w Dynas stworzy jej zupełnie inne możliwości. Jeśli nawet od jej wyjazdu wiele się tam zmieniło, to jednak coś z dawnego ducha musiało się w miasteczku ostać.

Kiedy w czasopiśmie medycznym przeczytała ogłoszenie o wakującej posadzie lekarza internisty w prywatnej lecznicy w Dynas, w pierwszej chwili postanowiła je zignorować. Dopiero po dłuższym namyśle zdecydowała się wysłać podanie. Bardzo się zdziwiła, kiedy zamiast spodziewanego listu, po niedługim czasie odebrała telefon od współwłaściciela lecznicy, doktora Trefora Dillona.

- Wybieram się wkrótce w pani okolice - usłyszała w słuchawce - proponuję więc, żebyśmy się spotkali w dowolnym miejscu w Birmingham.

Eryl była zaskoczona. Nie sądziła, aby jej skromne podanie zasługiwało aż na osobistą wizytę. Po odłożeniu słuchawki udała się po poradę do starszego kolegi lekarza i opowiedziała mu o telefonie.

- Nie widzę w tym nic szczególnego - odparł. - Powiedział przecież, że wybiera się w te okolice. Zresztą nie zdziwiłbym się też, gdyby przyjechał specjalnie. To naturalne.

- Co w tym widzisz naturalnego?

- Jak to co? Chodzi przecież o pracę w Walii, a ty jesteś Walijką. Nie rozumiesz? - zaśmiał się kolega. - Zresztą może twoja sława rozeszła się już po świecie i nie może się doczekać, kiedy cię zobaczy?

- Akurat! - odparła Eryl z zakłopotanym uśmiechem.

Decydujące spotkanie odbyło się w hotelu w Birmingham. Rozmowa upłynęła w miłej atmosferze, a jej wynik przeszedł wszelkie oczekiwania Eryl. Doktor Dillon zaproponował jej objęcie posady od zaraz, a także służbowe mieszkanie. Na dodatek okazało się, że lecznica mieści się w tym samym budynku, w którym ojciec Eryl miał kiedyś swój gabinet.

Czy ujmujący starszy pan wiedział o tym i wybrał ją dlatego, że znał jej ojca? A może, dowiedziawszy się o jego śmierci, ciekaw był, co dzieje się z resztą rodziny?

Siwowłosy Walijczyk najwidoczniej posiadał dar czytania w cudzych myślach, bo przyjrzał się Eryl i oznajmił:

- Jestem pod wrażeniem pani osiągnięć zawodowych. Tak, wiem, że pochodzi pani z Dynas, jak również to, że pani ojciec prowadził tam praktykę lekarską. Nigdy jednak nie miałem przyjemności go poznać, więc o nepotyzmie nie może być mowy.

Mówiąc to, doktor Dillon obdarzył ją szelmowskim uśmiechem, w którym było tyle przyjaznego ciepła, iż poczuła się, jakby miała do czynienia z kimś bliskim, a nie potencjalnym szefem i lekarzem o poważnym stażu.

Teraz więc, stojąc u stóp góry, przywołała w pamięci tamten uśmiech, aby odpędzić niespokojne myśli. Musi postarać się na nowo ułożyć sobie życie w miejscu, skąd pochodzi, nie bacząc na to, co było kiedyś. Musi znaleźć w sobie dość siły na to, aby raz na zawsze pozbyć się upiorów przeszłości.

W tej samej chwili spostrzegła jadący z góry z dużą szybkością samochód. Jakiś zwariowany poszukiwacz silnych wrażeń, pomyślała z irytacją o kierowcy, którego twarz mignęła jej za szybą. Widząc, że jedzie wprost na jej mały widoczny samochód, pospiesznie wsunęła stopy w pantofle i machając rękami, wybiegła na środek szosy. Kierowca zahamował z głośnym piskiem opon, spod których posypał się żwir, o krok przed maską auta Eryl.

Z okna samochodu wychyliła się opalona twarz młodego mężczyzny. Jego piwne oczy kipiały złością.

- Co pani najlepszego wyprawia? - krzyknął. - Mogłem zabić siebie i panią!

Szkot, domyśliła się, rozpoznając charakterystyczny akcent. A sądząc po ciemnej opaleniznie - lekkoduch i playboy nie mający nic do roboty prócz wylegiwania się na Riwierze.

- Jak pan śmie tak mówić! - oburzyła się. - To pan stwarza śmiertelne niebezpieczeństwo!

Mężczyzna otworzył usta, jakby zamierzał dać jej ostrą odpowiedź, ale się rozmyślił.

- Proszę zjechać na bok, bardzo się spieszę.

- Pewnie na jakąś szampańską balangę - rzuciła zjadliwie.

Puścił jej słowa mimo uszu.

- Proszę cofnąć samochód tam, na puste pobocze, i pozwolić mi przejechać.

Nie mając ochoty wdawać się na tym upale w awanturę, posłusznie cofnęła samochód, a gdy auto nieznanego popędziło w dół z prędkością równie niebezpieczną jak poprzednio, zapisała numer rejestracyjny na skrawku papieru.

Uspokoiwszy się trochę, wyjechała z powrotem na szosę i minąwszy górską grań, znalazła się na drodze do Dynas.

Na widok rodzinnej wioski serce zamarło jej w piersiach. Zmieniła się nie do poznania. Nie była to już wieś, lecz miasteczko. Na wzgórzach z jednej strony przycupnęły na stoku turystyczne przyczepy, zaś na przeciwległym wzniesieniu ciągnęły się szeregami jednakowe kostki małych, nowych domków. Obok starego kościoła zauważyła wielki, nowoczesny gmach szkoły.

Mijając kolejne ulice o nieznanym nazwach, dotarła na koniec do miejsca, gdzie stał dom, w którym się urodziła. Tu niewiele się zmieniło, chociaż zbudowana za czasów jej ojca lecznica znacznie się rozrosła.

Ze smutkiem i rodzącym się na nowo niepokojem w sercu pchnęła żelazną furtkę i kamienną ścieżką dotarła do frontowych drzwi, na których, w miejscu staroświeckiego dzwonka, zainstalowano domofon z okratowanym mikrofonem. W tym spokojnym miejscu takie wyszukane zabezpieczenia? - zdziwiła się Eryl, naciskając guzik.

- Halo? Kto tam? - odezwał się lekko zniekształcony, kobiecy głos.

- Jestem doktor Thomas. Przyjechałam z Anglii.

- Gdy odezwie się brzęczyk, może pani pchnąć drzwi i wejść.

Żadnego „dzień dobry” ani „proszę”, zauważyła z przykrością Eryl. Kiedy rozległo się buczenie, posłusznie pchnęła drzwi i z prawdziwym wzruszeniem rozejrzała się po dobrze znanym, obszernym holu. Stała dłuższą chwilę, ale nic się nie działo, aż z niejakim rozbawieniem wyobraziła sobie, że pewnie ni stąd, ni zowąd wstąpiła w kadr jakiegoś filmowego horroru.

Wreszcie na podeście schodów ukazała się czarno ubrana kobieta w średnim wieku, której sympatyczną skądiną, rumianą twarz specieł niechętny grymas.

- Wcześniej się pani zjawiała - oświadczyła, schodząc po schodach.

- No... Nie wiem. Przepraszam. Jeśli sprawiam kłopot, może pójść się przejść i wrócić później?

Kobieta zmierzyła ją nieprzychylnym spojrzeniem, mamrocząc coś po walijsku. Eryl знаła walijski język od urodzenia i to, co usłyszała, porządnie ją rozzłościło.

- Wypraszam sobie! - powiedziała ostro w tym samym języku. - Nie jestem żadną angielską flądą, jak raczyła to pani powiedzieć, chociaż zdarzyło mi się pracować w Anglii. Ja się tu urodziłam! Dosłownie tu, w tym domu!

Kobieta nagle straciła rezon i niemal przysiadła na schodach. Eryl od razu zrobiło się przykro. W tym momencie usłyszała zduszony, męski śmiech i z mrocznych czeluści parteru wyłonił się doktor Dillon.

- Brawo, moja droga! Trzeba od początku brać się energicznie do rzeczy! Ale zapewniam, że pani Reynolds nie jest aż tak straszna, jak może się czasami wydawać.

Eryl z ochotą zasiadła do sutego podwieczorku w prywatnym saloniku doktora Dillona, nie bacząc na pełniąca rolę gospodyni antypatyczną panią Reynolds, która wpatrywała się w nią uporczywie, jakby była jakimś przybyszem z kosmosu. Kiedy z wyrazem urażonej godności wyszła wreszcie z pokoju, Trefor Dillon odetchnął z ulgą.

- Bardzo panią przepraszam - powiedział z uśmiechem. - Od dawna namawiam moją gospodynię, żeby przyjaźniej odnosiła się do ludzi i moje perswazje odniosły nawet pewien skutek. Niestety, dziś musiała wstać lewą nogą i skrupiło się na pani.

- Pewnie tak! - zaśmiała się Eryl. A po chwili spytała: - Czy są jakieś konkretne powody, które zraziły ją do ludzi?

- O tak. I to sporo. Miała bardzo nieudane małżeństwo. Po-tem wymarła jej niemal cała rodzina, a na dobitkę weszła w kon-

flikt z prawem, biorąc udział w jakimś marszu protestacyjnym. Na rzecz walijskiej autonomii czy coś w tym rodzaju.

- A ja uważałam Dynas za taką spokojną, harmonijną wspólnotę! - zdziwiła się Eryl.

- Widziała pani kiedyś prawdziwie harmonijną społeczność?

- Kiedy tu mieszkałam, wydawało mi się, że ludzie żyją w zgodzie, w każdym razie dopóki... - Urwała, bojąc się powiedzieć coś, czego potem mogłaby żałować. Musi się mieć na baczności przed tym niebieskookim, dobrodusznym Celtem, który tak intensywnie wpatrywał się w zielone oczy młodej kobiety, jakby chciał zajrzeć w głąb jej duszy.

- To, co powiedziałem o pani Reynolds - podjął, odwracając wzrok - proszę łaskawie traktować jako tajemnicę zawodową.

- Stanowczość tonu i tym razem złagodził swoim ujmującym uśmiechem. - Nie jest już co prawda moją pacjentką i tajemnica formalnie przestała mnie obowiązywać, ale są to jej osobiste sprawy, o których nie powinienem był mówić.

- Może mi pan zaufać. Będę milczeć jak grób - zapewniła.

- Dziękuję. A teraz najwyższy czas, żebym wprowadził panią w szczegóły pracy. Wpierw jednak muszę wyjaśnić coś, o czym nie wspomniałem podczas naszej pierwszej rozmowy.

- Och! - zaniepokoiła się Eryl.

- To nic groźnego, moja droga. Chciałbym tylko, żeby pani знаła powody, które skłoniły mnie do poszerzenia naszego lekarskiego grona. Otóż miasteczko rzeczywiście szybko się rozrasta, ale oprócz tego postanowiłem odejść na wcześniejszą emeryturę. Już obecnie ograniczam stopniowo moje obowiązki.

- Czy coś panu dolega? - zatroskała się.

Szeroki uśmiech, który rozjaśnił jego twarz, w jednej chwili nadał mu wygląd czterdziestolatka, chociaż musiał mieć dobrze po sześćdziesiątce.

- Ależ skąd! Nigdy nie czułem się lepiej! Niemniej chciał-

bym mieć trochę więcej czasu na wędkarstwo i golfa, którym się oddaję, odkąd dwadzieścia lat temu zostałem wdowcem.

Eryl zdziwiła się, że tak atrakcyjny mężczyzna nie ożenił się powtórnie, ale wspomniała słowa własnego ojca tuż po śmierci matki: „Nie ma na świecie kobiety, która mogłaby mi ją zastąpić”. Ojciec poprosił swoją siostrę, aby z nimi zamieszkała i zajęła się wychowaniem Eryl.

- Mam nadzieję, że spodoba się pani praca w naszej lecznicy - ciągnął lekarz. - Mój współnik został wezwany do chorego, ale przedstawię go pani, jak tylko wróci. Na pewno go pani polubi.

Eryl milcząco skinęła głową.

- Zaprosiłem go dziś na kolację - dodał z lekkim wahaniem. - Około ósmej. Byłbym szczęśliwy, gdyby i pani zaszczyciła nas swoją obecnością.

Miał w sobie tyle staroświeckiego uroku, że Eryl nie była w stanie odmówić.

- Dziękuję. Z przyjemnością. A jak nazywa się pana współnik? - dodała ciekawie.

- Lewis Caswell. Jest bodaj jedynym Anglikiem, który zyskał uznanie pani Reynolds. - Parsknął śmiechem. - Oczywiście nie od razu, ale ponieważ matka Caswella była Szkotką, moja gospodyni uznała, że Celt półkrwi to jednak coś lepszego niż zwyczajny Anglik.

Eryl, która prawie zapomniała o panujących w Walii odwiecznych animozjach, poczuła się nagle jak w minionej dawno epoce, kiedy, mimo trwającej od czasów pierwszego Księcia Walii formalnej unii, każdego Anglika nadal traktowano jak wroga.

Doktor Dillon wstał z fotela.

- Chodźmy, oprowadzę panią po lecznicy. Zacznijmy może od pani gabinetu.

Zwiedzanie zajęło im sporo czasu. Eryl zorientowała się, że

dawny gabinet ojca zamieniono na salę zabiegową. Dobudówka, którą zauważyła podjeżdżając pod dom, stanowiła dziś główny trzon lecznicy i mieściła recepcję oraz gabinety lekarzy, w tej chwili puste, bo popołudniowy dużyur pewnie dopiero miał się rozpocząć.

Lecznica miała obszerną, wygodnie umeblowaną poczekalnię pełną czasopism i zabawek dla dzieci, zaopatrzone w parę telefonów stanowisko recepcjonistek, oraz trzy osobne gabinety lekarskie. Pokój przeznaczony dla Eryl był niewielki, ale wystarczająco obszerny. Mieścił nieskazitelnie czystą leżankę dla chorych, ogromne biurko, na którym stał komputer, zamykaną na klucz szafę na leki oraz umywalkę i niezbędne drobiazgi.

- Mamy dwie recepcjonistki: Glynis Jones i Betty Williams - wyjaśnił lekarz. - Przyjmujemy chorych od dziewiątej rano do dwunastej, a dyżur popołudniowy jest w zasadzie zarezerwowany na umówione wizyty oraz zabiegi, zastrzyki i tak dalej, wykonywane przez dwie stałe pielęgniarki.

- Czy pielęgniarki przyjmują chorych w sali, którą widzieliśmy na początku?

- W zasadzie tak. Z tym, że ta sala służy też niekiedy za rodzaj izolatki.

- W jakim sensie? - zdziwiła się Eryl.

Trefor zaśmiał się cicho.

- Pani angielscy pacjenci są pewnie bardziej uświadomieni i zamiast przynosić swoje bakterie do lecznicy, wzywają lekarza do domu. Tutejsi ludzie traktują wizytę u lekarza niemal jak religijny obrządek, który należy regularnie odprawiać. Niech pani sobie wyobrazi, że potrafią przywozić nam dzieci z odrą i innymi zakaźnymi chorobami!

- Ach, tak! Czy zrobiono coś, żeby ich tego oduczyć?

- Ma się rozumieć. Niestety, zabiegi reedukacyjne przynoszą nikłe rezultaty. Ludzie niechętnie wyzbywają się utrwalonych nawyków.

Chwilę się wahała, czy powiedzieć to, co nagle przyszło jej do głowy, jednak pierwszy impuls okazał się silniejszy.

- Czy nie będzie pan miał nic przeciwko temu, jeśli spróbuję zająć się tym problemem? Oczywiście, kiedy poznam pacjentów. Może perswazja nowej osoby łatwiej trafi im do przekonania.

Stary lekarz nie tylko nie poczuł się dotknięty, ale objawił szczere zadowolenie.

- Naprawdę chce się pani tego podjąć?

- Z chęcią. Oczywiście, jeśli doktor Caswell nie będzie miał nic przeciwko temu. Czyniłam podobne starania w Birmingham, ale nic z tego nie wyszło z powodu nawału codziennej pracy.

- Szkoda! Mijmy nadzieję, że w Dynas lepiej się pani powiedzie - ciągnął starszy pan z rosnącym entuzjazmem. - Można by stworzyć w tym celu specjalną poradnię. Dałbym pani wolną rękę.

Następnie opisał Eryl inne obowiązki. Popołudniowe dyżury zaczynają się o szóstej, tydzień pracy trwa od poniedziałku do piątku, zaś w soboty rano przyjmuje się tylko nagłe przypadki.

- Przy odrobinie szczęścia - dodał z wesołym błyskiem w oku - niedziela jest wolna.

- A nocne wezwania? Kto i jak je przyjmuje?

- Oczywiście na zasadzie rotacji. Dyżurujemy na zmianę, dzieląc się często pracą z ośrodkiem w Pandy, sąsiedniej wiosce, oddzielonej od Dynas pasmem niewielkich wzgórz.

Eryl dobrze znała Pandy i tamtejszą lecznicę. Robert był tam niegdyś naczelnym lekarzem. Siłą woli odepchnęła od siebie przykre wspomnienia.

- No tak, widzę, że jak na małą miejscinę, sporo się tu dzieje - zauważyła.

Trefor uśmiechnął się serdecznie.

- Mam nadzieję, że pani nie zniechęciłem. W ogłoszeniu ostrzegałem, że miejscowość szybko się rozrasta.

- Ach nie, proszę się nie obawiać. Lubię mieć dużo pracy.

- Tak mi się wydawało. A teraz, jeśli pani pozwoli, pójdziemy obejrzeć mieszkanie. - To mówiąc, wyprowadził Eryl na tylne podwórze, zmierzając w kierunku budynku, w którym za dawnych czasów mieściły się stajnie.

- Bawiłam się tutaj w dzieciństwie - napomknęła.

Zauważyła z zadowoleniem, że na podwórzu mieści się obszerny parking, którego brakowało przed frontem lecznicy. Na parkingu stał zresztą jeden samochód, a doktor Dillon i tym razem odgadł jej myśli, bo przyznał, że auto należy do niego.

- Mam nadzieję, że ruch samochodów w ciągu dnia nie będzie pani zbyt przeszkadzał - dodał.

- Oczywiście. Dlaczego miałyby mi przeszkadzać?

- Bo pani będzie tutaj jedyną mieszkanką, a pani okna wychodzą na podwórze. Parking jest przeznaczony wyłącznie dla pracowników lecznicy, którzy postarają się uszanować pani spokój.

Eryl nie przywiązywała do tej sprawy większej wagi. Gdyby ktoś okazał się uciążliwy, potrafi sobie poradzić. Zwróciła natomiast uwagę na krzaki azalii i hortensji, posadzone czyjąś troskliwą ręką po obu stronach solidnych, dębowych drzwi jej przyszęłego domu, na których nie brakowało nawet skrzynki na listy z mosiężnymi okuciami.

Również wewnątrz stajni przerobiono nie do poznania. Na parterze mieścił się niewielki hol, a w nim stał stylowy stolik z telefonem oraz krzesło. Wyłożone chodnikiem schody prowadziły na półpiętro, do ładnie urządzonej sypialni z oknem od tyłu, gdzie na półce nad łóżkiem stał drugi telefon. Z sypialnią sąsiadowała dostosowana do potrzeb samotnej osoby łazienka, wyposażona w wannę z prysznicem oraz liczne półki na przybory toaletowe.

Od frontu natomiast mieścił się niewielki, lecz bardzo gustownie umeblowany salonik, którego okna wychodziły na podwórze.

Obok saloniku znajdowała się funkcjonalnie urządzona, niewielka kuchenka.

- Wymarzone mieszkanie! - zawołała Eryl. - Naprawdę dokonał pan cudu, doprowadzając stajnię do takiego stanu.

Doktor uśmiechnął się, zadowolony z pochwały.

- Chciałbym, żeby dobrze się pani tutaj czuła.

- Będzie mi cudownie - odparła, czując z pewnym zdziwieniem, że mówi to z prawdziwym przekonaniem, a nie tylko przez uprzejmość. - Czy doktor Caswell mieszka w głównym budynku? - spytała.

- Lewis? Och, nie. Proponowałem mu na początku mieszkanie w lecznicy, ale wynajął domek w miasteczku - wyjaśnił Trefor. Chwilę przypatrywał się Eryl, nim dodał: - Muszę panią uprzedzić, że Lewis jest trochę odludkiem. Ale jestem pewien, że go pani polubi.

Byli w saloniku, kiedy z podwórka dobiegł ich warkot wjeżdżającego na parking samochodu.

- To na pewno on - uśmiechnął się Trefor. - Chodźmy, przedstawię was sobie, a potem spotkamy się u mnie na kolacji.

Eryl wyjrzała przez okno i omal nie krzyknęła. Na parkingu stał napotkany po drodze samochód. Dobrze zapamiętała jego numer rejestracyjny. Właściciela auta, który właśnie wysiadł, także trudno było nie zapamiętać. Nieznajomy podniósł wzrok i Eryl poczuła się nieswojo.

W piwnych oczach odmalowało się najpierw osłupienie, a zaraz potem - zapamiętana ze spotkania na górskiej drodze gniewna irytacja. Tym razem jednak Eryl dostrzegła w nich również jakąś nieokreśloną melancholię, która ją do głębi poruszyła, budząc mimowolną chęć, aby bliżej poznać tego człowieka i zrozumieć, skąd się bierze ten dziwny smutek.

Natychmiast jednak oprzytomniała. Już raz dała się ponieść podobnym uczuciom. Jej serce musi pozostać wolne. Miłość to zbyt ciernista droga.

- Co pani tu robi? - odezwał się wreszcie nieznajomy, którego niski, matowy głos dziwnie intrygująco zabrzmiał w jej uszach.

- No proszę! - rzekł doktor Dillon, podchodząc do okna.
- Odnoszę wrażenie, że już się znacie.

- Tak - odparła z pewnym trudem. - Spotkaliśmy się dziś po południu na drodze w górach.

ROZDZIAŁ DRUGI

Odświeżona kąpielą, gotowa stawić czoło wszystkiemu i wszystkim, Eryl wyciągnęła z podróżnej torby najmniej pomiętą sukienkę. Rozpakowanie reszty bagaży, które nadal spoczywały w kufrze stojącego na wewnętrznym parkingu auta, postanowiła odłożyć na później.

Trefor Dillon uprzedził ją, że może opuścić jutrzejszy ostry dyżur. Wystarczy, jeśli rozpocznie pracę od poniedziałku.

- W sobotę proszę rozejrzeć się po okolicy. Na pewno będzie pani zdumiona zmianami, jakie się u nas dokonały - powiedział.

Wsunąwszy stopy w wygodne sandały i narzuciwszy płoniennej barwy sukienkę, którą kupiła tuż przed wyjazdem z Birmingham, przyjrzała się swemu odbiciu w wysokim lustrze, zachodząc w głowę, dlaczego coś takiego wybrała. Na tle miejskiej szarzyzny kolorowa szmatka wydała jej się rozweselająca, tu natomiast wyglądała zbyt jaskrawo, zwłaszcza w zestawieniu z rudawym kolorem włosów. Czy to stosowny strój na powitalną kolację w gronie nowych kolegów? - myślała. W końcu jednak postanowiła się nie przebierać. Doprowadziła niesforne włosy do jakiegoś takiego ładu, pomalowała usta jasną szminką, zaznaczyła szarym cieniem powieki i czarnym tuszem podkreśliła długie rzęsy.

Ujdzie! - uznała, po czym zerknęła na zegarek i widząc, że zbliża się ósma, potrząsnęła z niedowierzaniem głową. Trzeba iść! Wrzucając do torebki klucze od mieszkania, usłyszała dzwonek do drzwi. Było jeszcze jasno, ale zbiegając ze schodów

włączyła zewnętrzne światło. Na dole spodziewała się ujrzeć Trefora Dillona.

- Jak to miło... - zaczęła z uśmiechem, który zamarł jej na ustach, gdy zobaczyła Lewisa Caswella.

Starannie zaczesane do tyłu i odsłaniające wysokie czoło ciemne włosy spływały równo na kołnierz eleganckiego, popielatego ubrania, a od ciemnoniebieskiej koszuli ładnie odbijał srebrzystoszary, jedwabny krawat. Promienie zachodzącego słońca podkreślały szlachetne rysy opalonej twarzy o lekko wystających kościach policzkowych. Przystojny, pomyślała Eryl. Trochę za przystojny, dodała w duchu, widząc błakający się na jego wargach uśmiech. W ciemnych oczach, które parę godzin temu pały złością, migotały teraz przyjazne błyski.

- Ach, to pan! - powiedziała.

- Tak, to ja - odparł uprzejmym tonem. - Przepraszam, że zjawiam się bez bukietu, ale zabrakło mi czasu. Chciałem prosić, aby mi pani wybaczyła ten wybuch na drodze.

O co mu chodzi? Nie wyglądał na człowieka skłonnego do łatwych przeprosin, więc może jest to wstęp do flirtu? Miała go już poczęstować ostrą ripostą, gdy zdała sobie sprawę, że on jednak mówi poważnie. Jednocześnie dostrzegła na jego twarzy ów dziwny wyraz melancholii czy zagubienia i serce jej zmiękło.

- Nie mówmy o tym - odparła z miłym uśmiechem. - Zresztą, sama nie byłam bez winy.

Chwilę patrzył na nią w milczeniu. Było w nim coś subtelnie pociągającego, jakaś głębia i szlachetność. Uważaj, to niebezpieczne, ostrzegła się w duchu. Już raz w życiu, na własną zgubę, uległa równie złudnym urokom. Musi się mieć na baczności.

- Spieszyłem się do chorego - wyjaśnił - co nie usprawiedliwia mojego zachowania, za które jeszcze raz gorąco przepraszam. Czy pozwoli pani, że będę jej towarzyszył do doktora Dillona?

Szarmancki zwrot był równie staroświecki jak te, których

czasami używał stary doktor. A gdy na dodatek Lewis ujął ją pod ramię, Eryl odniosła wrażenie, że znalazła się w innej, dawno minionej epoce, kiedy ludzie odnosili się do siebie z wyszukaną uprzejmością i panowały łagodniejsze obyczaje.

Zarazem jednak dotyk jego ręki zrobił na niej stanowczo zbyt silne wrażenie.

- Nie musi mnie pan prowadzić, świetnie widzę drogę - powiedziała, uwalniając się od jego ramienia.

Resztę drogi przebyli w milczeniu. Ujrzawszy zgaszoną twarz Caswella, Eryl pożałowała swego odruchu.

Jedzenie było niewyszukane. Na stole pojawiły się skromne, miejscowe potrawy, o których zdażyła w Anglii zapomnieć, a które witała teraz z taką samą przyjemnością, jak za dawnych czasów, kiedy ciotka Maud podawała te same dania - w dodatku w tej samej jadalni.

Były więc nóżki w galarecie, płaty wędzonej szynki domowej roboty i walijskiej jagnięciny na zimno oraz wielka salaterka sałatki ze świeżych warzyw, która dała Treforowi okazję do głośnego pochwalenia się pomidorami, rzodkiewkami i szczypior-kiem z własnego ogródka.

- Nie mówiąc już o tym - uzupełniła pani Reynolds, wnosząc ogromny półmisek młodych kartofli.

- Ślinka cieknie na sam widok - ucieszyła się Eryl. - Uwielbiam młode ziemniaki z roztopionym masłem i pietruszką.

Pani Reynolds jadła razem z nimi i pełniła rolę gospodyni, rzucając Eryl ukradkowe spojrzenia, jakby się bała, że gość skrytykuje jej skromną kuchnię.

- Martho, na litość boską! - dobrodusznie, choć z pewną irytacją wykrzyknął wreszcie Trefor. - Nie rób takiej wystraszonej miny. Pani doktor nie zamierza zjeść cię żywcem!

Kobieta zacisnęła wargi i w milczeniu podała Eryl sałatkę. Zaraz jednak na jej twarzy pojawił się przekorny uśmiech.

- Nie sądzę, żeby się ośmieliła - mruknęła.

- Proszę, proszę! - roześmiał się Lewis Caswell. - Domyślam się, że zdążyła już pani pokazać doktor Thomas, co potrafi. Ale muszę panią ostrzec, że nasz gość też ma język nie od parady.

- Zauważyłam - odparła pani Reynolds - ale nie mam jej tego za złe, bo jest Walijką. W dodatku obdarzoną tym, co nazywamy *hwył*, nie spotykana u innych nacji szybką ripostą. - Po czym zwróciła się do Eryl z najmiłszym uśmiechem, na jaki tylko umiała się zdobyć: - Jakoś się pogodzimy, prawda? Przepraszam za trochę ostre słowa, którymi panią przywitałam.

Znakomicie! A więc rysuje się perspektywa harmonijnego współżycia, pomyślała Eryl. A jak będzie z nim? - zastanowiła się, zerkając na Lewisa, który mierzył ją wesołym spojrzeniem. W jego oczach dostrzegła konsternację, jakby nie bardzo wiedział, co o niej myśleć.

Dobrze, ucieszyła się w duchu. Niech zgaduje. Nie wolno dopuścić do zbytnej poufałości z tym dziwnym człowiekiem. Kiedy pani Reynolds wyszła do kuchni odnieść naczynia, Trefor zwrócił się do Eryl:

- Może to panią dziwi, że gospodyni je razem z nami kolację?

- Ależ skąd. Dlaczego?

- No cóż, są w wiosce ludzie, którym mogłoby się to nie spodobać - odparł.

- Co to za ludzie? - zdumiała się Eryl. - Nie chce mi się wierzyć w podobny snobizm.

- Będzie pani zaskoczona, ale na przykład mieszkańcy Pows Manor.

- Ma pan na myśli Wynfordów-Wynnesów? To do nich niepodobne.

Pamiętała rodzinę Wynnesów, która szczyliła się pochodzeniem od jakichś legendarnych, starowalijskich książąt. Wynnesowie byli właścicielami ogromnych okolicznych włości, nie

mówiąc już o terenach górskich, które od pokoleń dzierżawili hodowcom owiec. Mimo swego bogactwa, nigdy jednak nie zachowywali się wyniośle.

- Ich już niestety od dawna tutaj nie ma - westchnął stary doktor. - A szkoda, bo byli wzorowymi właścicielami ziemskimi. Niestety, po śmierci seniora rodu synowie byli zmuszeni wyprzedać grunty, żeby opłacić wysokie podatki spadkowe. Ziemia przeszła w ręce pewnego bogacza z hrabstwa York, który za swój wkład finansowy w rozwój przemysłu otrzymał niedawno tytuł szlachecki, i stosunki uległy radykalnej zmianie. Zanikło dawne poczucie wspólnoty. Sir George Wilson traktuje swoją nową własność po kupiecku; nie ma do tych ziem osobistego stosunku.

- To dziwny człowiek - dorzucił Lewis. - Bardzo konflikto-
wy. Ostrzegam na wypadek, gdyby zdarzyło się pani mieć z nim kiedyś do czynienia.

- Wątpię, żeby do tego doszło, bo nigdy nie korzysta z naszej lecznicy, chociaż jest w niej zarejestrowany - wyjaśnił Trefor. - Pewnie płaci krocie za prywatną opiekę lekarską. Lata nawet własnym samolotem do Londynu.

- Co kto lubi - westchnął Lewis, marszcząc z niechęcią czo-
ło. - Osobiście tego nie pochwalam, ale przynajmniej pacjenci państwowej służby zdrowia mają coś z płaconych przez niego podatków. Zwłaszcza najbiedniejsi.

Eryl spojrzała na Lewisa nowym okiem. Co chwila czymś ją zaskakiwał. Najpierw tym dziwnym, wewnętrznym zgaszeniem, a teraz żywym instynktem społecznym. Przestała widzieć w nim playboya. Wyraźnie zyskał w jej oczach.

Wróciła pani Reynolds, wnosząc deserowe talerze, paterę walijskich ciastek z owocami oraz chyba najpyszniejszy biszkopt z kremem, jaki Eryl kiedykolwiek jadła.

- To podstęp, żeby nas wszystkich utuczyć - rzekła z uśmiechem do gospodyni, z którą rozmawiała już swobodniej.

- A przydałoby się - oświadczył Trefor. - Jest pani stanowczo za szczupłą, moja droga.

Kiedy po kolacji wypili kawę w salonie, Eryl poczuła, że oczy same się jej zamykają.

- Dziękuję za wspaniałe przyjęcie - rzekła. - Mam nadzieję, że się pan nie pogniewa, jeśli już się pożegnám. Mam za sobą ciężki dzień.

- Odprowadzę panią - rzekł Lewis i wstał.

- Dziękuję, to naprawdę niepotrzebne. Zostawiłam zapalone światło nad drzwiami.

- Proszę pozwolić, żeby Lewis panią odprowadził - wtrącił Trefor. - Ja jestem tutaj szefem, więc radzę się nie sprzeciwiać - dodał z żartobliwą surowością, okraszona czarującym uśmiechem, któremu Eryl i tym razem nie potrafiła się oprzeć.

- Ani myślę! Rozkaz to rozkaz! - odparła z humorem.

- Mówię poważnie - rzekł doktor. - Miejscowość na pozór wydaje się spokojna, ale od pani czasów wiele się zmieniło. Wieczorami trzeba uważać.

Idąc z Lewisem przez podwórze, ponownie nie przyjęła oferowanego jej ramienia. Wcześniej też sięgnęła do torebki po klucz, który szybko przekreśliła w zamku i uchylając drzwi, odwróciła się, aby powiedzieć mu dobranoc. Jednakże słowa zamarły jej na ustach, kiedy spotkała jego uważne spojrzenie.

- O co chodzi? - spytała.

On jednak nadal się w nią wpatrywał, nic nie mówiąc. Po chwili westchnął cicho i rzekł:

- To nic. Przepraszam. Po prostu przypomina pani kogoś, kogo kiedyś znałem.

Ogarnięta nagłym zażenowaniem, roześmiała się sztucznie.

- Mam aż tak banalną twarz?

- Ależ nie. Nic podobnego. Jest pani bardzo piękna.

Przyjrzała mu się podejrzliwie. Nie, to nie jest zaproszenie do flirtu ani grzecznościowy komplement. Sprawiał wrażenie zato-

pionego we wspomnieniach - chyba bolesnych, sądząc po malującym się na jego twarzy smutku. W pewnej chwili podniósł rękę i powiódł palcem po jej policzku, jakby chciał się upewnić, że naprawdę istnieje. I chociaż Eryl rozpaczliwie chciała uniknąć jego dotyku, to jednak bała się drgnąć, w obawie, czy nie sprawi mu w ten sposób jeszcze większego bólu. Potem nagle opuścił rękę i powiedział:

- Dobranoc!

Odwrocił się i szybkim krokiem poszedł do samochodu.

Weszła do holu, przymknęła drzwi i obserwowała go przez szparę. Dopiero kiedy usłyszała, że auto wyjeżdża na ulicę, zatrasnęła drzwi, zasunęła zasuwę i założyła łańcuch.

Co za skomplikowany człowiek, myślała. Popędliwy. Szczery, czasem aż brutalnie szczery. Raz szorstki, to znów po ludzku czuły. Noszący w sobie jakąś utajoną ranę; dziwne, wyzierające mu niekiedy z oczu cierpienie; jakiś nie ukojony smutek.

Zapaliła światło w sypialni, poirytowana. Jesteś idiotką, powiedziała do siebie. Naiwną i przewrażliwioną. Zaprzątasz sobie głowę sprawami, które nie powinny cię w ogóle obchodzić. Po co ledwo poznanemu człowiekowi próbować zajrzeć w duszę, przypisując mu bolesne doświadczenia, będące najprawdopodobniej wytworem twojej własnej, wybujałej wyobraźni?

Po źle przespanej nocy obudził ją śpiew ptaków, w który wsłuchiwała się z przyjemnością. Potem jednak, przypomniawszy sobie prowadzoną przy kolacji rozmowę, ze smutkiem pomyślała o zmianach, jakie dotknęły jej rodzinną wioskę. Dynas nie tylko obrosło turystycznymi przyczepami i szpetnymi domami letników, ale samemu duchowi tego miejsca groziła zatura. Przyczyną tego wszystkiego były problemy finansowe. Po odejściu dawnych właścicieli miejscowa społeczność zaczęła zanikać, nie znajdując zrozumienia ani oparcia w obojętnym na los swoich dzierżawców biznesmanie i przemysłowcu.

Potem zaś, podczas mycia i ubierania - tym razem w wygodne dzinsy i lekką bluzkę - w wyobraźni Eryl pojawił się kolejny niepokojący obraz - kolegi lekarza, którego wewnętrzne powikłania nie dawały jej spokoju.

Odpędziwszy siłą woli przykre myśli, poszła do kuchni, którą, jak się okazało, jakaś dobra dusza zaopatrzyła w bochenek świeżego chleba, puszkę mielonej kawy, masło oraz słoik pomarańczowego dżemu. Postanowiwszy część dnia poświęcić na uzupełnienie spiżarni, nastawiła maszynkę do kawy i pokroiła chleb, smarując go jedynie pysznym, wiejskim masłem. Po tym skromnym śniadaniu wstawiła naczynia do zlewu i z torebką na ramieniu wyszła na podwórze. W sąsiedztwie jej samochodu na parkingu stał nie znany jej, duży i mocno zdezelowany morris.

Kiedy zamykała drzwi, z rosnących obok krzewów wychynął szary, puszysty kot o bursztynowych ślepiach. Gapi się na mnie jak na intruza, pomyślała i przykucnęła, wyciągając rękę do kota, który po chwili wahania zbliżył się i począł ocierać pyszczek o jej palce, cicho miaucząc. W tej samej chwili, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, z zarośli wyszły cztery małe kotki, każde innej maści.

- Ach, więc jesteś kotką? A to są pewnie twoje dzieci? - odezwała się Eryl, zupełnie nie speszona tym, że przemawia na głos do zwierzaka, który patrzył teraz na nią jakby ze zdziwieniem. - Nie rozumiesz po angielsku? - spytała, a następnie pogłaskała kotkę po grzbiecie i to samo powtórzyła po walijsku.

Kotka natychmiast zaczęła się łąsić, a po chwili położyła się na ziemi, dopominając się głośnym miauczeniem o dalsze pieszczoły. Eryl drapała kotkę po ciepłym brzuszku, czule do niej przemawiając, gdy usłyszała za sobą czyjeś kroki. Popatrzyła w górę i ujrzała zbliżającą się młodą kobietę w stroju pielęgniarki. Wstała trochę zawstydzona. Miała nadzieję, że dziewczyna nie słyszała jej sentymentalnej rozmowy z kotką.

- Cześć! Nazywam się Nerys Powell i jestem pielęgniarką

w lecznicy - rzekła młoda kobieta. - A pani jest na pewno tą nową lekarką, prawda?

- Tak. Nazywam się Eryl Thomas.

- Pani tak zawsze wdaje się w pogaduszki ze zwierzakami?
- spytała, mierząc Eryl i koty wesołym spojrzeniem piwnych oczu.

- Dosyć często - z uśmiechem odparła Eryl, czując do młodej pielęgniarki szczerą sympatię.

Nerys była wysoka i smukła, a spod jej granatowego czepka wymykały się ciemne, kręcone kosmyki. Wyciągnęła dłoń i mocno, przyjaźnie uściśnęła rękę Eryl.

- Witam w firmie! To fajnie, że będziemy mieli o jedną kobietę więcej - powiedziała. - Widzę, że spodobała się pani nasza tajemnicza kotka.

- Jest prześliczna. Ale co w niej tajemniczego?

- Wszystko. Nikt nie wie, skąd się wzięła. Pojawiła się ni stąd, ni zowąd pewnego pięknego poranka z wielkim brzuchem, a kochany doktor Dillon nie miał serca jej przepędzić. Ani uspić, jak radzili niektórzy.

- Niemożliwe! Kto wpadł na taki okrutny pomysł?

- Gospodyni! Da pani wiarę? Twierdzi, że jest uczulona na sierść.

- To gdzie ona mieszka? - zainteresowała się Eryl.

- Kotka? Wszędzie po trosze. Oczywiście poza głównym budynkiem.

- Ma jakieś imię?

- O, tak, i to niejedno. Zależy dla kogo: „To przekłete zwierzę” albo „Hej, ty tam!”. Ja tam mówię na nią Księżna, no bo taka jest dumna z tych swoich kociąt, a chodzi i porusza się z prawdziwie królewską godnością.

- Świetnie, będzie się nazywać Księżna. Od dziś biorę ją pod opiekę. Będą u mnie mieszkać. Oczywiście, dopóki nie zgłosi się właściciel.

- Bardzo wątpię. Kocina kręci się tutaj od kilku tygodni, chociaż ogłaszaliśmy w sklepie i w lokalnej gazecie.

- Ale to chyba bardzo rasowe zwierzę, nie sądzi pani?

- Może. Ale i arystokratom zdarza się, jak widać, zejść na złą drogę. Wystarczy popatrzeć na jej kocięta! - zaśmiała się Nerys Powell, idąc w stronę stojącego na parkingu morrissa. - Może gdzieś panią podwieźć? - spytała.

- Dziękuję, mam samochód. Doktor Dillon dał mi wolne do poniedziałku. Radził rozejrzeć się po okolicy. Właśnie zamierzałam się przejechać i przy okazji zrobić zakupy.

- Ja też jadę do wioski, mogę panią podrzucić. Oszczędzaj na benzynie, to moja zasada.

- Naprawdę? Ale jak potem wrócę?

- Podrzucę panią. Zresztą i tak muszę jeszcze zajrzeć do lecznicy. Obiecałam przywieźć doktorowi jakieś czasopismo.

Wsiadły więc obie do wiekowego, zagraconego wehikułu, w którym brakowało chyba tylko kuchennego zlewu.

- Przepraszam za ten bałagan - usprawiedliwiła się Nerys.

- Normalnie przyjeżdżam do lecznicy małym, czystym fiatem, ale dziś musiałam go oddać do naprawy. A to jest samochód Douga.

- Douga?

- Mojego męża. Raptem od pół roku! - Nerys zaśmiała się z radosną dumą. Ileż w niej radości i szczęścia, pomyślała Eryl.

- Jest farmerem. Stąd te wszystkie graty - dodała.

- Mąż hoduje owce? - spytała Eryl.

- Nie, uprawia ziemię. I ma parę krów. Mieszkamy po drugiej stronie doliny. Pokażę pani, jak wjedziemy na parking przy starym kościele.

Samochód przepychał się wolno zatłoczonymi ulicami; ruch w sobotę był duży. Na koniec wjechały na obszerny, płatny parking z automatem, do którego Nerys podbiegła, nie tracąc czasu.

Eryl rozejrzała się po placu, szukając bodaj jednego znajome-

go miejsca. Kiedy Nerys wróciła wymachując kartą parkingową i oświadczając, że mają spokój na dwie godziny, nie potrafiła zdobyć się na uśmiech.

- Coś się stało? - zagadnęła Nerys. - Ma pani taką pogrzebową minę.

- Bo... rzeczywiście czuję się trochę jak na pogrzebie - odparła Eryl, próbując bezskutecznie obrócić wszystko w żart. - Widzi pani, ja mieszkałam kiedyś w Dynas. A teraz... wszystko się zmieniło. Czuję się obco.

Nie rozumiała, dlaczego zwierza się ledwo poznanej kobiecie. Czy to dlatego, że z nieznanymi łatwiej jest o takich sprawach rozmawiać? Nie, po prostu wyczuła u Nerys autentyczne, przyjazne zainteresowanie, połączone z rozsądkiem i brakiem czułości.

- Rozumiem - pokiwała głową pielęgniarka. - To pewnie jest tak, jakby się straciło kogoś bliskiego.

I do tego jest bystra, pomyślała Eryl. Życzliwa, ale nie natrętna. Oby do tego okazała się dyskretna. Na razie powinnam być zadowolona, że znalazłam sympatyczną towarzyszkę do robienia zakupów.

- O, tam! - zawołała Nerys, wskazując pola nad doliną, położone nieco w bok od lecznicy. - Widzi pani ten stary, duży dom u stóp wzgórza? Tam mieszkamy. Musi nas pani kiedyś odwiedzić i poznać Douga. - Po czym rzuciła Eryl przenikliwe spojrzenie. - Myślę, że najwyższy czas zajrzeć do kawiarni. Nie ma lepszego lekarstwa na smutki jak filiżanka mocnej kawy.

ROZDZIAŁ TRZECI

Wypiwszy kawę i nasłuchawszy się miejscowych plotek, które Nerys opowiadała z humorem, ale bez złośliwości, Eryl ruszyła na zakupy. Zaopatrzyła się przede wszystkim w wielką torbę. Był to pleciony koszyk miejscowej roboty, obsyty w środku jaskrawoczerwoną tkaniną, trochę niezgrabny, ale wygodny. Zobaczyła go na wystawie sklepu towarów mieszanych Lloyd'a, który pamiętała z dawnych czasów.

Wizyta w znajomym sklepie dodała jej otuchy. Nie licząc paru maźnięć farbą, wyglądał tak jak kiedyś - nawet przy otwieraniu drzwi zadźwięczał ten sam staroświecki dzwonek, zawieszony na półkolistym, metalowym pręcie. Przekonana, że właściciel dawno odszedł z tego świata, nie wierzyła oczom, gdy zza lady podniósł się pan Lloyd we własnej osobie.

On też patrzył na nią ze zdziwieniem.

- Ja chyba panią skądś znam, *merchi bach*, prawda? - powiedział po namyśle.

Uśmiechnęła się. Od dawna nikt nie nazwał jej *merchi bach*, co po walijsku znaczyło „dziewczynka”, a było po prostu czutym zwrotem.

- Eryl Thomas - przedstawiła się, wyciągając rękę na powitanie. - Jestem lekarzem.

- To ci dopiero! - ucieszył się, po czym z jego ust popłynął strumień walijskiej mowy.

Eryl musiała natężyć uwagę, ale już po paru sekundach stwierdziła, że nadal dobrze rozumie rodzinną mowę. Po krótkiej

pogawędce, nabywszy potrzebną torbę, Eryl i Nerys opuściły sklep. Pielęgniarka nie mogła wyjść z podziwu.

- Skąd pani tak dobrze zna nie tylko walijski, ale nawet miejscowy dialekt?

- Nie ma w tym nic dziwnego - odparła Eryl. - Moi przodkowie mieszkali tu od wielu pokoleń.

- To bardzo pani ułatwi pracę - zauważyła Nerys z nutką zazdrości w głosie. - Ile ja się namęczyłam, żeby ludzie zaczęli mi ufać. Ale teraz już chyba uznali mnie za swoją. Zwłaszcza odkąd poślubiłam jednego z ich bezcennych synów! - dodała, parszkając śmiechem.

Po drodze do nowoczesnego minimarketu Eryl znów zadała sobie pytanie, czy dawne związki z tą miejscowością przyniosą jej jedynie korzyść. Nie była tego pewna. Mogą się niekiedy okazać uciążliwe, a nawet przykre. Mogą się też zdarzyć sytuacje, w których byłoby wygodniej zachować anonimowość i nie przypominać ludziom o związanych z jej osobą bolesnych wydarzeniach z przeszłości.

Wkładając do wózka najrozmaitsze prowianty dla siebie oraz puszki dla Księżnej i jej potomstwa, zapytała Nerys, która znalazła tymczasem potrzebne Treforowi czasopismo, czy Lewis Caswell miał trudności z przystosowaniem się do miejscowych warunków.

- Najpierw było mu ciężko - przyznała Nerys. - Raz chciał nawet złożyć dymisję. Ale to było na samym początku, kiedy ludzie uważali, że zadziera nosa i chce wszystkich pouczyć.

- Więc teraz zachowuje się inaczej?

- Owszem - odparła Nerys z uśmiechem. - Musi się jednak jeszcze dotrzeć. Zresztą wydaje mi się, że to się u niego bierze głównie z nieśmiałości.

- Jest w nim chyba jakaś złość do świata - dodała Eryl. - Jakby nosił w sercu urazę czy pretensję do życia.

- Rzeczywiście miewa humory - zgodziła się Nerys - ale nic

właściwie o nim nie wiem. Stroni od ludzi, zwłaszcza od kobiet. Nie można z nim nawiązać bliższego kontaktu. Może przeżył nieszczęśliwy romans albo coś w tym rodzaju - zakończyła niepewnym tonem, a Eryl zawstydziała się nagle swego braku dyskrecji.

- Proponuję, żebyśmy tę rozmowę puściły w niepamięć - poprosiła, gdy skierowały się do kasy. - Nie chcę być posądzona o wścibstwo.

- Ale dziś jest sobota - zażartowała Nerys. - Jedyne dni, kiedy można swobodnie poplotkować.

- Niemniej wolałabym...

- Proszę się nie martwić. Normalnie trzymam gębę na kłódkę, jeśli chodzi o kolegów z pracy. No i oczywiście, pacjentów. To oczywiste.

Widząc jej szczerą, otwartą spojrznię Eryl poczuła do młodej pielęgniarki jeszcze większą sympatię.

- Dzięki. Ze mną jest tak samo - odparła.

- Nakupiła pani jedzenia na dobry miesiąc, moja droga - zauważyła Nerys, pomagając Eryl taszczyć ciężką torbę do samochodu. - Dobrze, że pani przyjechała ze mną. Sama nie dałaby pani rady.

- W dodatku właśnie sobie przypomniałam, że moim samochodem i tak nie mogłabym pojechać, bo nie wypakowałam bagaży.

Po powrocie Eryl dostrzegła na parkingu auto Caswella. Przed wyjazdem na pewno go tu nie było.

- To rzeczywiście ciekawe - rzekła Nerys, idąc za jej spojrzeniem. - Słyszałam od doktora Dillona, że Lewisa miało nie być na rannym dyżurze, bo pojechał w prywatnych sprawach do Dolgelly. - Pomogła Eryl postawić ciężką torbę pod drzwiami i dodała: - Zjrzą do lecznicy i sprawdzą, co się tam dzieje.

Eryl zdażyła otworzyć drzwi i wepchnąć pękatą torbę do holu, miała bowiem ochotę przyłączyć się jak najszybciej do pielęgn-

niarki, kiedy z głównego budynku wyszedł Lewis. Na szyi wisi mu stetoskop, a twarz miał zafrasowaną.

- Jak to dobrze, że pani wróciła! - powiedział, biorąc ją za rękę i pośpiesznie prowadząc do lecznicy.

- Dlaczego? Co się stało?

- Trefor zasłabł.

Weszli we trójkę do budynku i zastali starego doktora leżącego na kanapie we własnym gabinecie. Pochyliła się nad nim pani Reynolds. Wyglądał blado i mizernie, ale uparcie usiłował wstać, podczas gdy gospodyni trzymała go siłą na kanapie, upominając po walijsku, że tym razem doktor nie ma nic do gadania.

- Na litość boską! - zirytował się Lewis - miała pani posiedzieć przy doktorze, a nie siłować się z nim! Wróciła doktor Thomas. Nie będzie nam już pani potrzebna. Aha, proszę łaskawie otworzyć bramę.

Po wyjściu pani Reynolds Lewis wyjaśnił Eryl, że wezwał karetkę pogotowia.

- Co się stało? - spytała Nerys. - Rano czułem się zupełnie dobrze. Gdybym coś zauważyła, nie zostawiłabym go samego.

- Wiem, że zrobiłabyś wszystko, co trzeba - uspokoił ją Lewis. - Miałem po powrocie z Dolgelly wpaść do doktora do domu na rozmowę. Kiedy go tam nie zastałem, na wszelki wypadek zajrzałem do lecznicy. Był w gabinecie i wyglądał normalnie, aż nagle zaczął osuwać się na podłogę.

- Ale już mi przeszło - wtrącił Trefor, spróbował usiąść i opadł z powrotem na kanapę.

- Oczywiście - łagodnie zapewnił go Lewis, zadziwiając Eryl pełnym troski tonem. - Niemniej musimy być tego pewni, dlatego zabieramy pana do szpitala w Pandy.

Trefor jęknął.

- Nienawidzę szpitali w ogóle, a tego w Pandy szczególnie. Więc ostrzegam, ucieknę stamtąd!

- Brawo, doktorze, to się nazywa mieć charakter! - zawołała Nerys, nadrabiając miną. - Będą się mieli z pyszna! Proszę jednak pamiętać, że będą się jedynie starali dodać panu sił.

- A jakże! Zagłodzą mnie na śmierć!

Tu jednak głos odmówił mu posłuszeństwa i starszy pan przymknął oczy, nie mając sił na dokończenie groźnej tyrady.

- Czy to serce? - spytała Eryl szeptem.

- W pierwszej chwili też tak myślałem, ale teraz nie jestem pewien. Nic na to nie wskazuje. Przede wszystkim nie ma objawów sinicy. Zbladł tylko na twarzy. W układzie krążenia też niczego nie wysłuchałem. Zresztą niech pani sama go osłucha - dodał, podając jej stetoskop.

Eryl wzięła słuchawkę i podeszła go chorego. Jednak i jej badanie nie wykazało klasycznych objawów choroby układu krążenia. Serce zdawało się pracować normalnie. Przyjrzała się uważnie twarzy chorego, ale nie dostrzegła śladów potu. Wyjąwszy aparat z uszu, znów podeszła do Lewisa.

- Czy miał bóle? A jeśli tak, to jakie? - zapytała.

- To jest właśnie najdziwniejsze. Twierdzi, że nie czuł bólu, tylko nagle stracił siły i nie mógł utrzymać się na nogach.

Rozmowę przerwał im warkot nadjeżdżającego ambulansu. Eryl nadal brakowało podstawowych informacji. Czy, na przykład, Trefor przeżył już kiedyś coś takiego? Jaki był jego ogólny stan zdrowia - ostatnio i wcześniej? I chyba rzecz najważniejsza: co tak naprawdę skłoniło go do przejścia na emeryturę?

Bardzo ją też ciekawiło, o czym doktor Dillon zamierzał porozmawiać z Lewisem. Czy rozmowa wiązała się w jakiś sposób z wizytą Lewisa w Dolgelly? W tym momencie do gabinetu weszło dwóch pielęgniarzy z noszami i Eryl uznała, że osobiste sprawy obu panów nie powinny jej obchodzić.

- Dziękuję pani za pomoc - rzekł Lewis, przybierając w obecności pielęgniarzy oficjalny ton. - Nie będę dłużej zabierał pani czasu. Ja i siostra Nerys pojedziemy z doktorem do szpitala.

- Chciałabym jednak...
- Doprawdy nie ma potrzeby.
- Chciałabym jednak pojechać - powtórzyła Eryl dobitnie. -

I przy sposobności poznać szpital w Pandy.

- Mnie by to odpowiadało - wtrąciła Nerys. - Prawdę mówiąc, powinnam wracać do domu. Spodziewamy się dzisiaj z mężem gości.

- W takim razie proszę - zgodził się Lewis.

Dziesięć minut później ambulans wjechał na ostatnie wzgórze przed wioską Pandy i Eryl pożałowała nagle swojej decyzji. Widok dobrze znanych miejsc obudził gorzkie wspomnienia. Kiedy jednak zbliżyli się do nie istniejącego za dawnych czasów szpitala, przekonała się, że w Pandy zaszły równie radykalne zmiany jak w Dynas. Nawet lecznica, w której niegdyś ordynował Robert Davies, została przebudowana nie do poznania.

Mimo tylu zmian w sercu Eryl ożyło wspomnienie pierwszego i jedyne go mężczyzny, jakiego w życiu kochała. Jakże była wówczas naiwna! Z jaką prostodusznością wierzyła zapewnieniom Roberta, kiedy mówił, że poza nią nie widzi świata! Żyła jak w zaczarowanym śnie. Było to tuż po ukończeniu studiów, kiedy przed podjęciem praktyki w Guy wróciła do domu na wakacje i ojciec namówił ją, żeby zapoznała się z pracą okolicznej służby zdrowia.

- Siedząc cały czas w Dynas, niewiele się nauczysz - tłumaczył ojciec. - Powinnas odwiedzić sąsiednie lecznice. Wprowadzę cię wszędzie, gdzie będziesz chciała.

W końcu zdecydowała się na pracę stażystki w zatrudniającym trzech lekarzy ośrodku w Pandy, którym kierował Robert Davies. Najpierw zaimponował jej swoją wiedzą, a wkrótce - zawrócił w głowie.

Ambulans zatrzymał się przed głównym wejściem do szpitala. Eryl weszła do środka z całą grupą. Lewis wdał się w recepcji w rozmowę z młodym lekarzem, który, jak się po chwili dowie-

działa, nazywał się Smith i był ordynatorem szpitala ogólnego w nadmorskim miasteczku Swanton.

- Mamy szczęście, że zastaliśmy doktora Smitha - powiedział jej Lewis. - Pracuje na zmianę w Swanton i tutaj.

Przeszli razem do sali zabiegowej, gdzie po przeprowadzeniu wstępnych analiz podłączono doktora Dillona do monitora pracy serca. Nawet Eryl, choć nie była kardiologiem, szybko się zorientowała, że aparat nie wykazuje żadnych nieprawidłowości.

Nie zdziwiła się więc, kiedy doktor Smith, powierzywszy Trefora opiece pielęgniarki i zabrawszy Lewisa i Eryl do sąsiedniego gabinetu, oświadczył:

- To rzeczywiście zagadkowy przypadek. Przyznaję, że i ja nic nie rozumiem.

- Co by pan w tej sytuacji zalecił? - spytał Lewis.

- Chciałbym go na parę dni zatrzymać i przeprowadzić dodatkowe badania, jeżeli nie macie nic przeciwko temu. Ja specjalizuję się w chorobach układu krążenia, chciałbym więc, na wszelki wypadek, sprowadzić kolegę, który zajmuje się wykrywaniem wczesnych objawów cukrzycy.

- To mi nie przyszło do głowy - zauważył Lewis.

- Wcale się nie dziwię. Doktor istotnie zdradza wszelkie objawy bezbolesnego zawału serca. Trudny przypadek. A jakie jest pani zdanie? - zwrócił się do Eryl.

Przypomniała jej się nagle pewna pacjentka z Birmingham, która miała niemal identyczne objawy. Przywieziono ją do szpitala z rzekomym zawałem serca, a tymczasem okazało się, że cierpi na krańcowe wycieńczenie organizmu. Eryl zawahała się, czy wypada jej o tym mówić, uznała jednak, że nie powinna milczeć.

- A może doktor Dillon po prostu zanadto się eksploatuje? Albo nawet cierpi z przemęczenia na bezsenność?

Lewis wydawał się zaskoczony.

- To mało prawdopodobne - oświadczył. - Chyba że zauważyła pani coś, co umknęło mojej uwadze. Jeśli tak, to...

- Nie, po prostu zetknęłam się kiedyś z podobnym przypadkiem. W Birmingham. Zdaję sobie sprawę, że to brzmi trochę naiwnie, ale...

- Niewykluczone, że pańska koleżanka ma rację, doktorze Caswell - wtrącił Smith. - Nam, lekarzom, nadmiar specjalistycznej wiedzy zaciemnia niekiedy widzenie. Pani diagnoza może okazać się trafna. Czy może nam pani dokładniej opisać tamten przypadek?

Kiedy Eryl skończyła opowiadać o swojej pacjentce, z twarzy Lewisa znikł wyraz zaskoczenia. Przyznał, że i on miał kiedyś podobny przypadek.

- Gdzie to było? - zapytała.

- W Afryce. - A widząc, że tym razem ona zrobiła zdziwioną minę, wyjaśnił: - Pracowałem tam przez pewien czas z ramienia Światowej Organizacji Zdrowia.

Eryl milczała, pełna podziwu. Jednocześnie uświadomiła sobie, że opalenizna Lewisa, którą przypisywała upodobaniu do wylegiwania się na eleganckich plażach, jest prawdopodobnie pozostałością ciężkiej pracy pod palącym słońcem Afryki. Zrobiło jej się wstyd i raz jeszcze nowym okiem popatrzyła na swego towarzysza.

Lewis pochwycił spojrzenie Eryl i dyskretnie się uśmiechnął, jakby odgadł jej myśli. Odczuła płynące od niego przyjazne ciepło i nie wiedząc, jak się zachować, odwróciła głowę. Musiała jednak przyznać, że Lewis stanowczo zbyt silnie działa na jej zmysły.

Po ulokowaniu Trefora w jednej z trzech izolatek, którymi wiejski szpital słusznie się chlubił, Eryl i Lewis wyszli na ulicę. Nie wiedzieli, o czym rozmawiać. Lewis rzucał jej co jakiś czas pytające spojrzenie, jakby czekając na jakieś słowo. Eryl miała niemal fizyczne poczucie przyciągającej ich ku sobie siły. Jakie

to dziwne, myślała. Wydawało jej się, że ich myśli zaraz się spotkają, a nawet że zaczyna przenikać spowijającą Lewisa tajemniczość.

Wzdrygnęła się mimo woli, czując silny, wewnętrzny sprzeciw. Nie powinna komplikować sobie życia. Prawie go nie znasz, z pewnością nic do ciebie nie czuje, a te jego spojrzenia wynikają tylko z prostej ciekawości.

Dopiero po paru chwilach zdali sobie sprawę, że nie mają czym wrócić do Dynas, bo do Pandy przyjechali karetką.

- No i co teraz zrobimy? - zagadnął Lewis z tak widocznym znużeniem, że Eryl zrobiło się go szczerze żal. - Poszukamy taksówki?

- Myśli pan, że dorobili się już taksówek? - spytała z powątpiewaniem.

- Nie mam pojęcia. Nigdy nie musiałem z nich korzystać.

- W każdym razie powinien być jakiś autobus. Nie wiem tylko, gdzie go szukać.

Ruszyli przed siebie, wypatrując czegoś, co mogło przypominać autobusowy przystanek. W pewnym momencie Eryl parsknęła śmiechem.

- Co panią tak rozbawiło? - zdziwił się.

- Nasza sytuacja. Wyglądamy na parę spacerujących dla przyjemności turystów. Ja tymczasem najchętniej usiadłabym gdzieś spokojnie i napiła się herbaty.

- Świetna myśl! Chyba jest tu gdzieś kawiarnia.

Wziął ją pod rękę i poprowadził w boczną uliczkę, przy której znajdował się niewielki lokal z kolorowymi, witrażowymi oknami. - To tu. Nareszcie trochę odpoczniemy - ucieszył się Lewis, wprowadzając Eryl do środka i sadzając ją przy stoliku nakrytym wykrochmaloną, kraciatą serwetą. - Kawa czy herbata?

- Herbata.

- I ciastka?

- Cudownie!

Nic lepszego nie mogła sobie wymarzyć. Pora obiadu dawno minęła i Eryl umierała z głodu. Kawiarnia była pusta, ale po chwili w głębi sali poruszyła się fałdzista zasłona, zza której wyłoniła się trochę już leciwa kelnerka, ubrana - zapewne na użytek turystów - w ludowy strój walijski.

Eryl ogarnęła niezwykła beztroska i uśmiechnęła się do swego towarzysza. Kto wie, może ich kontakty okażą się mniej trudne, niż przypuszczała? Bywał co prawda zamknięty w sobie, mało komunikatywny, czasami jednak potrafił być zaskakująco miły i bezpośredni. Tak jak teraz. Wypytywał ją o szczegóły jej pracy w Anglii, poruszał też inne tematy, nie związane z medycyną. I przez cały czas patrzył jej w oczy z żywym zainteresowaniem, w którym nie było ani cienia flirtu.

Kiedy po wyjściu z kawiarni ruszyli dalej główną ulicą w poszukiwaniu autobusu, przy krawężniku zatrzymał się nagle samochód. Był to wspaniały, błyszczący bentley. Za kierownicą siedziała elegancka, czarnowłosa kobieta w szarym, letnim kostiumie, niewątpliwie pochodzącym od Diora.

- Hej, Lewis! - zawołała, wyglądając przez otwarte okno.
- Zdaje się, że wychodząc zapomniałeś o czymś.

Z wesołym błyskiem w pięknych, niebieskich oczach i oszalałymi uśmiechem na twarzy podała mu książkę. Eryl poczuła się nagle niepotrzebna. Lewis i ta kobieta zdawali się nie zwracać na nią uwagi.

- Dokąd jedziesz? - spytał nieznajomą.

- Właśnie zamierzałam odwiedzić ci książkę.

- To się świetnie składa. Jestem bez samochodu. Byłabyś tak dobra, żeby nas podwieźć?

- Oczywiście. Wsiadajcie. - Nieznajoma dopiero teraz zauważyła Eryl. - Nie przedstawiś mnie swojej znajomej?

- Och, przepraszam! - zreflektował się. - Poznajcie się: moja nowa koleżanka z lecznicy, doktor Thomas, a to Jennifer Vaughan.

Po dokonaniu prezentacji, która w najmniejszym stopniu nie wyjaśniła Eryl, kim jest piękna milionerka, Jennifer zaproponowała, żeby Lewis usiadł obok niej na przednim siedzeniu, ponieważ chce z nim porozmawiać. Podczas jazdy przez prowadzące do Dynas wzgórze, siedząca z tyłu Eryl nie dowiedziała się niczego o tajemnicznej kobiecie, która dyskutowała z Lewisem przyciszonym głosem.

Wjechali w zabudowaną niewielkimi willami ulicę i Jennifer zwolniła, jednakże Lewis poprosił, by podwiozła ich do lecznicy.

- Dlaczego? - spytała z wyraźnym niezadowoleniem.

- Bo doktor Thomas mieszka w dawnej stajni przy ośrodku zdrowia.

- Wiesz co? Najpierw podrzucimy panią doktor, a potem odwożę ciebie. Co o tym myślisz?

- Nie trzeba, Jennifer. Mój samochód stoi pod lecznicą.

- Szkoda. Miałam nadzieję, że trochę porozmawiamy. Rano mieliśmy za mało czasu, nie sądzisz?

Jennifer nacisnęła pedał gazu i Eryl zobaczyła jej twarz w tylnym lusterku. Była czarująco uśmiechnięta, jej oczy błyszczały. Eryl poczuła dziwną pustkę w sercu. Jestem zazdrosna, pomyślała z niesmakiem. Na litość boską, co się ze mną dzieje? Co mi ta kobieta zawiniła? Może ona i Lewis rzeczywiście przeżywają romans. Albo nie. Co mi do tego? Czemu czuję się dotknięta?

Dojechali do lecznicy. Eryl i Lewis wysiedli, a Jennifer jeszcze raz zwróciła się do Lewisa:

- Może jednak zaprosisz mnie do siebie? Mógłbyś choć raz zrewanżować się za wszystkie wypite u mnie kawy - powiedziała żartobliwie.

Zastanawiał się chwilę, wreszcie odparł:

- Może innym razem. Chyba nie ma powodu spieszyć się z decyzją, nie uważasz?

- Raczej nie - odparła i odjechała, machając na pożegnanie ręką.

Ciekawe, co to za tajemnicza decyzja? - pomyślała Eryl, lecz natychmiast zakazała sobie wtykania nosa w cudze sprawy. Po-dziękowawszy Lewisowi za miły podwieczorek, skierowała się do domu. On jednak podprowadził ją pod same drzwi, wobec czego uznała, iż wypada zaprosić go do środka.

- Bardzo dziękuję, ale niestety nie mogę. Mam coś pilnego do załatwienia.

Potem wyjął jej klucz z ręki i otworzył drzwi. Ten nieco staroświecki gest powinien był zrobić jej przyjemność, a tymczasem wprowadził ją w niepojęte przygnębienie. Co za dziwny człowiek, pomyślała, patrząc za znikającym w samochodzie Lewisem. Był czymś głęboko zaabsorbowany. Od momentu spotkania z Jennifer sprawiał wrażenie, jakby jego barki przytłaczał wielki ciężar.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Eryl nie przypuszczała, że w poniedziałek rano ogarnie ją taka trema. Z powodu choroby doktora Dillona będzie zmuszona samodzielnie sprostać wymogom nowej pracy: wejść w nieznaną rytm pracy, poznać panujące w lecznicy zwyczaje, nauczyć się, gdzie czego szukać, a na dodatek zachować zimną krew w kontaktach z Lewisem. Na domiar złego, czarnowłosa Jennifer Vaughan nie opuszczała jej myśli. Kim jest dla Lewisa? O czym rozmawiali w samochodzie? Co się za tym kryje? Jakaś ciemna przeszłość, z którą woleli się nie zdradzać?

W holu przejrzała się z zadowoleniem w lustrze. W letnim granatowym kostiumie i białej bluzce, z lekarskim kuferkiem w ręku, wyglądała atrakcyjnie, a zarazem profesjonalnie. Wyszła na podwórze wyprostowana, pomna na radę ojca, który po jej ostatecznym, druzgocącym rozstaniu z Robertem powiedział:

- Nigdy się nie poddawaj. Ilekroć zaciąży ci życie, w trudnej czy na pozór beznadziejnej sytuacji, natychmiast podejmuj jakieś nowe, ambitne zadanie. Zobaczysz, że tą drogą można nadspodziewanie dużo osiągnąć.

Później zaś, tuż przed śmiercią spowodowaną rozległym zawałem serca, zapewnił ją, że kiedy zostanie sama, zawsze znajdzie w sobie siły do życia, jeśli się tylko postara.

- Jestem o ciebie spokojny - mówił słabym, ledwo słyszalnym głosem. - Thomasowie to twarda rodzina.

Zawsze czerpała otuchę z tych słów przepełnionych miłością, choć zabarwionych smutkiem - nie tylko dlatego, że została hanieb-

nie zdradzona i porzucona przez Roberta, ale i z powodu zawodu, jaki sprawiła ojcu swym lekkomyślnym postępowaniem.

Z podniesioną głową przekroczyła próg lecznicy, przeszła przez poczekalnię, gdzie zajęci przeglądaniem czasopism pacjenci rzucali jej zaciekawione spojrzenia, i skierowała się do recepcji. Dwie urzędniczki zajęte były wyjmowaniem kart chorych z alfabetycznie uszeregowanych przegródek.

- Czym mogę służyć? - spytała jedna z nich.

- Jestem nowym lekarzem, nazywam się Eryl Thomas. Doktor Dillon miał mnie dziś przedstawić, ale niestety...

- Ach tak, słyszałam. Co za nieszczęście! - odparła kobieta.

- Jak on się miewa? Miała pani może jakieś wiadomości?
- zainteresowała się druga urzędniczka.

W tym momencie z gabinetu wyrzwał Lewis Caswell.

- Właśnie dzwoniłem do szpitala w Pandy - powiedział. - Siostra oddziałowa zapewniła mnie, że miał spokojną noc. Wybieram się do niego po dyżurze. - Złożył Eryl trochę formalny ukłon. - Pozwoli pani, że jej przedstawię nasze recepcjonistki: Glynis Jones i Betty Williams. Udziela pani wszystkich niezbędnych informacji.

Po czym wycofał się do gabinetu, a Eryl spojrzała na obie panie z pełnym nadziei, wyczekującym uśmiechem. Glynis Jones, która pierwsza ją powitała, była tęgą kobietą w średnim wieku, o pogodnym, życzliwym spojrzeniu. Gorąco uściśnieła dłoń Eryl.

- Miło mi panią poznać - powiedziała.

Betty Williams była młodsza. Szczupła, niemal sucha, miała trochę wyniosłą twarz, która zapewne potrafiła przybrać odpychający wyraz. Może się przydać w trudnych sytuacjach z uciążliwymi pacjentami, odnotowała w pamięci Eryl.

- To lista pani dzisiejszych pacjentów - powiedziała, podając Eryl spis nazwisk. - Ich karty zaraz przyniosę pani do gabinetu. Komputer na pani biurku jest bardzo prosty w obsłudze

i zawiera wszystkie dane o pacjentach. Gdyby miała pani jakieś trudności z programem, proszę do mnie zadzwonić.

Eryl podziękowała i zrobiła ruch, żeby odejść.

- Chwileczkę! - wtrąciła Glynis Jones. - Pani fartuch! - Sięgnęła do biurka i wyciągnęła opakowany w plastik lekarski kitel. - Chyba będzie dobry - dodała, mierząc Eryl wzrokiem.

Eryl z wahaniem wzięła podaną jej paczkę.

- W mojej poprzedniej pracy lekarze chodzili w cywilnym ubraniu - rzekła.

- Ale u nas jest inaczej - odparła Glynis z uśmiechem wyższości, jakby wygłaszała odwieczną mądrość, obowiązującą wszystkich walijskich lekarzy. Po czym dodała konfidencjonalnym tonem: - Między nami mówiąc, to taki bzik naszego kochanego doktora Dillona. Lubi stare zwyczaje i wymaga, żeby kobiety wyglądały w pracy, jak przystoi". Co robić? Taki już jest!

Znalazszy się wreszcie w swoim gabinecie, Eryl usiadła za wielkim, orzechowym biurkiem i włączyła komputer. Zawierał on informacje o przebiegu choroby i leczenia pacjentów oraz ich dane personalne. Szybko odnalazła dane osób umieszczonych na jej dzisiejszej liście.

Do rozpoczęcia dyżuru zostało jeszcze dziesięć minut. Zdaży przestawić biurko tak, aby mieć bezpośredni kontakt z chorymi. Okazało się jednak, że sama go nie ruszy, poszła więc po pomoc do recepcji.

- Czy któraś z pań czuje się na siłach pomóc mi w małym przemeblowaniu? - spytała.

- Jakim przemeblowaniem? Dlaczego? - zdziwiła się Glynis.

- Chcę przestawić biurko. Czuję się... jak w twierdzy.

- Wszyscy lekarze przyjmują w ten sposób. Sądzę, że nie należy...

- Czy coś jest nie w porządku? - wtrąciła Betty Williams, odrywając się z nachmurzoną twarzą od segregowania papierów.

Ładnie zaczynasz, nie ma co, skarciła się w duchu Eryl.

W tym momencie z gabinetu wyszedł Lewis Caswell, pytając, o co chodzi. Tego tylko brakowało, pomyślała Eryl, mając ochotę zapaść się pod ziemię. Nie może się jednak poddać.

- Ach, nic wielkiego. Prosiłam tylko o pomoc w przestawieniu biurka. Czy to naprawdę aż taki problem?

- Właśnie mówiłam doktor Thomas... - zaczęła Glynis.

- Proszę swoje uwagi zachować dla siebie. Doktor Thomas ma pełne prawo robić w swoim gabinecie, co uważa za stosowne. Ale proszę sobie nie przeszkadzać, sam jej pomogę.

Ujęta jego życzliwością i zawodową solidarnością, Eryl ruszyła do swego gabinetu.

- Jak mam je ustawić? - zapytał.

- Może bokiem do wejścia, żeby nie czuła się tak odgrazona od pacjentów. A gdyby tak odsunąć biurko pod okno?

- Przekrzywiła głowę i zmrużyła oczy, usiłując sobie wyobrazić, jak to będzie wyglądało. - Siedziałabym co prawda tyłem do drzwi, ale mając obrotowy fotel mogę się w każdej chwili odwrócić w stronę wchodzącego pacjenta. A jego krzesło, zamiast po drugiej stronie biurka, stałoby obok, pozwalając na bliski kontakt z chorym.

Lewis zmierzył ją uważnym wzrokiem.

- Czy dobrze się pani zastanowiła? Czy to rozsądne?

- Nie bardzo rozumiem.

- Widzi pani - zaczął z wyrazem poważnego zatroskania - zdarzają się czasem niebezpieczni pacjenci, przy których lekarz może potrzebować fizycznej osłony. Czy w poprzedniej pracy nie spotkała się pani z takimi przypadkami?

- No tak, ale chyba nie tu! Jak można porównywać Dynas z podejrzanymi dzielnicami w wielkich miastach?

- To nie żarty - zapewnił ją Lewis. - W dzisiejszych czasach praca lekarza wszędzie niesie pewne ryzyko. Czy Trefor pani nie uprzedził?

- Owszem, mówił, że w Dynas zaszły poważne zmiany, no

i ostrzegał, żebym nie chodziła sama po nocy. Ale nie bardzo się tym przejęłam.

- A szkoda - odparł z odcieniem irytacji. - Mnie nie przyszłoby do głowy rezygnować z elementarnej bariery bezpieczeństwa, jaką w razie czego może stanowić nawet zwyczajne biurko.

- Czy kiedykolwiek spotkał się pan osobiście z atakiem ze strony pacjenta? - zdumiała się Eryl.

- Na szczęście nie, ale w Pandy mieli parę nieprzyjemnych sytuacji. Między innymi kradzieże leków, zwłaszcza narkotyków. Na pani miejscu nie ruszałbym biurka, choćby po to, żeby utrudnić dostęp do szafki z lekami.

Ten argument trafił Eryl do przekonania. Postanowiła, przynajmniej na razie, nie przestawiać mebli.

- Dobrze - odparła. - Jeszcze się nad tym zastanowię.

- Oczywiście. Decyzja należy do pani. Apeluję jednak o ostrożność i proszę, na litość boską, pamiętać o dzwonku alarmowym, który znajduje się tu, na skraju biurka - dodał pogodniejszym tonem. Na odchodnym zaś rzucił z uśmiechem: - Za nic w świecie nie chcielibyśmy stracić tak obiecującej siły medycznej.

Zaraz po odejściu Lewisa w gabinecie zjawiła się Betty Williams, przynosząc karty pacjentów Eryl.

- Ułożyłam je w kolejności zgłoszeń - wyjaśniła. - Dane pierwszego pacjenta są na wierzchu. Widzę, że biurko zostało na swoim miejscu - dodała. - Czy doktor Caswell też nie zdołał go ruszyć?

- Nie, z pewnością by sobie poradził, ale przekonał mnie, że powinno zostać tu, gdzie jest.

- Aha! - zawołała kobieta, uśmiechając się z przekąsem. - To do niego podobne. Nasz kochany Lewis jak zwykle postawił na swoim.

- I miał rację - powiedziała Eryl, która wyczuła lekką kpinę w głosie urzędniczki i uznała za stosowne stanąć po stronie kolegi.

- I pani tak po prostu ustąpiła?

Eryl obrzuciła Betty Williams uważnym wzrokiem. Pewna ostrość, którą oceniła jako potencjalnie przydatną w kontaktach z kłopotliwymi pacjentami, tym razem mniej przypadła jej do gustu.

- Powiedziałam, że miał rację, a teraz będzie pani łaskawa poprosić pierwszego pacjenta! - rzekła ostro, ostrzej niż należało, zwłaszcza w pierwszym dniu pracy, ale trudno.

Pierwsza pacjentka, niejaka pani West, cierpiała na poważne dolegliwości wieku przejściowego. Proponowano jej kurację hormonalną. Według informacji zawartych w dokumentach, pani West chętnie poddałaby się kuracji, gdyby nie sprzeciw męża, który, jak zanotowano, nie ufał „tym nowomodnym wymysłom”.

- Czy życzy pani sobie, żebym osobiście z nim porozmawiała? - zaproponowała Eryl.

- Bo ja wiem... No, może tak - odparła kobieta, niepewnie zerkając ku drzwiom.

- Czy mąż jest w poczekalni? - spytała Eryl, mając nadzieję, iż uda się od razu przeprowadzić rozmowę.

- Ach, nie! Przyszłam sama. Nie ma go tu.

Mówiła łamiącym się głosem i wyglądała na wystraszoną. Może boi się męża, pomyślała Eryl; muszę się z nim koniecznie zobaczyć. Postara się go przekonać, że taka kuracja stanowi najlepsze lekarstwo na nękające żonę dolegliwości, a przy okazji być może odkryje ich głębsze źródło. Wiedziała bowiem z doświadczenia, że podobnie zachowujące się pacjentki okazywały się niejednokrotnie ofiarami brutalności mężów.

- Naprawdę chciałabym z nim porozmawiać - powiedziała łagodnie.

- Niech będzie, skoro pani tak uważa. Postaram się go namówić - rzekła niezbyt pewnie pani West i Eryl postanowiła ją przycisnąć.

- Muszę porozmawiać z wami obojgiem - oznajmiła bardziej stanowczym tonem. - Proponuję, żeby wychodząc teraz

ode mnie zamówiła pani od razu wspólną wizytę. Może w przyszły poniedziałek? Tylko proszę koniecznie przyprowadzić męża.

- Oczywiście, pani doktor. Bardzo dziękuję.

Podjęcie za nią decyzji sprawiło kobiecie wyraźną ulgę. Wyszła z gabinetu pewniejszym krokiem.

Po wprowadzeniu stosownej informacji do komputera oraz karty chorej Eryl poprosiła następnego pacjenta. Był nim trzynastoletni uczeń Charlie Daniels, cierpiący na chroniczny katar, który sprawiał, że chłopak stale opuszczał szkołę. Wszedł ociągając się, a towarzysząca mu matka natychmiast przysunęła sobie krzesło i usiadła tuż obok syna, jakby bała się, by nie uciekł.

Eryl dokładnie zbadała chłopcu gardło, uszy, zajrzała pod powieki i uznała, że nie jest bardziej anemiczny niż każdy normalny nastolatek w okresie gwałtownego wzrostu. A kiedy w płucach też niczego nie usłyszała, zaczęła się zastanawiać, czy uporczywy katar nie ma psychicznego podłoża.

- Nie wiem, pani doktor, co z nim robić - odezwała się matka, kiedy po skończonym badaniu Eryl wyprostowała się. - Te przeziębienia wybuchają tak nagle i bez wyraźnego powodu..

- Może występują w jakiejś określonej porze roku?

- Nie, o każdej porze. I to jest takie dziwne. Ale dwa dni temu na serio się przestraszyłam. Był w telewizji program o chłopcu, który miał dokładnie takie same objawy jak Charlie. Badano go i badano, lekarze nic nie mogli znaleźć, a dzieciak nic tylko pociągał nosem i sapał całkiem jak mój mały. Dopiero potem odkryli u niego jakąś nietypową alergię.

- Możemy oczywiście przeprowadzić odpowiednie badania, jeśli pani sądzi, że jest na coś uczulony.

Pani Daniels chwilę patrzyła Eryl w oczy, po czym nachyliła się i szepnęła jej do ucha:

- Z tym dzieciakiem w telewizji to na mój rozum chodziło o coś całkiem innego.

- O cóż takiego?

Pani Daniels nagle jakby się przestraszyła i jeszcze ciszej wymamrotała:

- Musiał to mieć od narkotyków, pani doktor. Od narkotyków. Myśli pani, że z moim może być tak samo?

Szept matki dotarł jednak do uszu Charliego, bo zaczął głośno protestować, wyrzucając z siebie potok mało parlamentarnej, walijskiej mowy. Eryl zmarszczyła brwi, czekając, aż chłopak się wyładuje. A kiedy wreszcie zamilkł i popatrzył na nią z odętą miną, spytała:

- Powiedz, Charlie, czy wahałeś kiedyś klej? A może brałeś kompot albo coś podobnego i teraz boisz się przyznać? Radzę mówić prawdę, bo jeśli zacznę podejrzewać, że kręcisz, zrobimy ci testy i wszystko się wyda.

Dzieciak rzucił jej złe spojrzenie.

- Nigdy nic nie wahałem, ani w ogóle - burknął. - Pastor nie pozwala. Nigdy nie brałem żadnych świąstwow.

- To ty chodzisz do kościoła? - zdziwiła się Eryl.

- Do kaplicy. W kółku młodzieżowym, i w ogóle.

- To prawda, Charlie to dobre dziecko - przytaknęła pani Daniels. - Ale czy to można dzisiaj wiedzieć? Nigdy nie wiadomo. - Zamyśliła się na chwilę, wpatrzona w przeciwległą ścianę, i wreszcie przemówiła: - Najzabawniejsze, że zawsze mu się pogarsza, jak w szkole ma być klasówka albo powtórka. Może jedno z drugim ma coś wspólnego, jak pani myśli?

Kto wie, może trafiła w sedno, pomyślała Eryl. W poprzedniej pracy miała do czynienia z paroma małymi pacjentami, którzy wymyślali różne sztuczki, by wykręcić się od trudnych lekcji, a jeśli to nie pomagało, zaczynali zdradzać najdziwniejsze, pozbawione fizjologicznych podstaw objawy chorobowe.

- Niewykluczone - powiedziała na głos. - Czy rozmawiała pani na ten temat z wychowawczynią Charliego? Jak mu idzie w szkole? Może ma trudności z niektórymi przedmiotami?

Ponieważ okazało się, że pani Daniels nigdy nie była w szkole, Eryl poradziła jej, by skontaktowała się z nauczycielami, a Charliemu zapisała witaminową kurację na ogólne wzmocnienie.

- Nie mogę wypisać na nie ulgowej recepty, ale w każdej aptece kupi pani potrzebne witaminy. Jeśli po tym stan Oiariego nie ulegnie poprawie, proszę do mnie wrócić i ewentualnie wyślemy go do laryngologa - oświadczyła Eryl na zakończenie wizyty.

Pamiętajcie, żeby zawsze zbadać każdą możliwą przyczynę choroby, mawiał profesor Eryl ze studiów i ta dewiza na zawsze wryła się jej w pamięć.

Po wyjściu ostatniego pacjenta Eryl z zadowoleniem wyciągnęła się w fotelu. Chyba dobrze zrobiła, że przeniosła się do Dynas. Będzie się nareszcie czuła jak prawdziwy lekarz, poświęcający każdemu pacjentowi należny mu czas i uwagę, a nie -jak w poprzedniej pracy - bezosobowy mechanik, naprawiający sunące szybko na taśmie produkcyjnej popsute urządzenia. Zdjęła biały kitel i powiesiła go na drzwiach. W pierwszym dniu pracy nie miała jeszcze popołudniowych wizyt, postanowiła więc zjeść coś w domu i trochę poleniuchować. Mijając recepcję, natknęła się na Nerys Powell i zaprosiła ją do siebie na lunch.

- Dzięki, ale nie da rady - odparła pielęgniarka. - Pozwoli pani, że jej przedstawię moją koleżankę, Liz Brown. Robimy na zmianę zabiegi na miejscu i u chorych w domu. A także obsługujemy laboratorium analityczne.

Liz Brown zrobiła na Eryl równie dobre wrażenie jak Nerys Powell, choć fizycznie stanowiła jej dokładne przeciwieństwo: była pulchna, miała płowe, rozwiane włosy, okrągłe policzki, w których przy uśmiechu tworzyły się zabawne dołeczki, i błyszczące wesołością oczy, jakby wszystko ją cieszyło.

- Witam, miło mi panią poznać - powiedziała serdecznie.
- Przepraszam, może kiedy indziej porozmawiamy, ale mam

pilną robotę. Trzeba posegregować wyniki, zanim zwali się ta dzika horda - dodała, umykając w pośpiechu.

- Ona zawsze wszystko robi w takim pędzie?

- Jeszcze jak! - odparła Nerys. - Ale proszę mi powiedzieć, jak było w sobotę w szpitalu? Czy są jakieś wieści o naszym doktorze?

- Doktor Caswell mówił, że miał spokojną noc. Nic więcej na razie nie wiem.

Nagle za plecami usłyszała głos Lewisa, który zbliżył się bezszelestnie.

- Chce się pani osobiście przekonać? Mam po południu tylko jedną wizytę, a potem wybieram się do Pandy. Chętnie panią zabiorę.

Mimo kuszącej perspektywy spędzenia spokojnego popołudnia w domu, Eryl poczuła się w obowiązku odwiedzić starszego pana. Zresztą szczerze go już polubiła i pragnęła sprawdzić, jak się miewa.

- Z przyjemnością - odparła, oddając Betty Williams karty chorych. A wychodząc razem z Lewisem z budynku, spytała: - Może najpierw coś zjemy? Zapraszam na skromny lunch.

- Świetna myśl, ale zjemy go u mnie. Mam w lodówce pysznego, wędzonego łososia. Byłoby grzechem pozwolić mu się zmarnować. - A widząc jej niezdecydowaną minę, dodał: - No, proszę się nie bać. I choć uważam, że powinniśmy zawrzeć bliższą znajomość, obiecuję trzymać ręce przy sobie.

- No to jedziemy! - odparła ze śmiechem. - Moim autem czy pana?

- Czy to propozycja? - spytał zaczepnie i Eryl zrobiło się lżej na sercu.

Na podwórzu spostrzegła Księżnę, która głośno miaucząc, biegła na czele czwórki kociąt do swej nowej opiekunki.

- Może pan chwilę poczekać? Skoczę tylko do domu zostawić torbę i nakarmić moje koty.

- Pani koty? Myślałem, że są bezpieczne.
- Były, ale teraz należą do mnie. Proszę to sobie dobrze zapamiętać.

- Widocznie ma pani za mało roboty - zauważył z przyjazną ironią. - Aha, Glynis mówiła, że pacjenci bardzo panią chwalili.

Eryl uszczęśliwiona pobiegła do drzwi.

- Tylko otworzę im puszkę i zaraz wracam - zawołała.

- Nie lepiej wynieść jedzenie na dwór zamiast czekać, aż cała menażeria zdąży się najeść? Bo chyba nie chce ich pani zamykać w domu?

- Dobry pomysł.

Rzuciła lekarski kuferek na stół w holu, pobiegła do kuchni, napełniła jedną miseczkę kocim jedzeniem, a drugą mlekiem, i wyniosła je na podwórze. Lewis siedział przykucnięty, drapiąc Księżnę za uchem i cicho do niej przemawiając. Eryl znieruchowiała na moment, widząc jakby nową twarz tego mężczyzny, zmieniającego się z chwili na chwilę jak kameleon. Kiedy wreszcie zawołała koty, Lewis wyprostował się i zauważył:

- Cieszę się, że nie zostałem weterynarzem. Ludzie mają przynajmniej tę wyższość nad zwierzętami, że potrafią powiedzieć, co im dolega.

- No, nie wszyscy - odparła.

- Powinna pani założyć na dole drzwi klapkę na zawiasach, żeby koty mogły swobodnie wchodzić i wychodzić. Mogę spytać Trefora, czy zgodzi się na przeróbkę - mówił Lewis, siadając obok niej za kierownicą i włączając silnik. - Jeśli tak, to mógłby to zrobić Gwillim, syn Garetha Pugh'a. To właśnie ta rodzina, której muszę przed lunchem złożyć wizytę. Hodują owce.

- Chyba ich znam - przypomniała sobie Eryl podczas jazdy. - W każdym razie jako dziecko jeździłam czasami z ojcem do rodziny Pugh. Uwielbiałam, kiedy zabierał mnie na objazd pacjentów. Zwłaszcza do Pughów, na sam szczyt góry. Wyobrażałam sobie, że wznosimy się do nieba! Potem bardzo się zaprzyjaźniliśmy.

- To chyba ci sami. Rodzice, Maira i Gareth, są już w poważnym wieku. Mieszkają z trójką dorosłych dzieci: najmłodszym Gwillimem, Ellen i Llew. Starzy nigdy nie wychylili nosa poza dolinę. Nie, Gareth był raz w szpitalu, kiedy został poraniony przez byka. Oczywiście, mnie tu jeszcze wtedy nie było.

- Pamiętam ten wypadek! To na pewno ta sama rodzina - przytaknęła, wspominając z nostalgią dawne czasy. - Mieszkają tu od niepamiętnych czasów.

Kiedy wjechali w pełną drogę, na której końcu białała farmerska chata, Lewis odezwał się:

- Mam nadzieję, że pani obecność okaże się pomocna, zwłaszcza jeśli pamiętają panią z dawnych czasów. Mnie w żaden sposób nie udaje się pokonać uporu starego Pugh'a.

- A na co jest chory?

- Powiększenie prostaty. Powinien koniecznie udać się do specjalisty, ale nie daje się na to namówić.

- A co mu pan zapisał?

- Normalne środki przeciwwzapalne, które, jak podejrzewam, zażywa od przypadku do przypadku.

- Nie próbował pan porozmawiać z jego żoną? Albo z dziećmi? Ellen i jej bracia na pewno by panu pomogli.

- Ba, kiedy oni wszyscy zachowują się jak niemowy.

- Sądzę, że po prostu słabo znają angielski. To się tutaj często zdarza.

- W dzisiejszych czasach?

- Oczywiście. Te okolice jeszcze do niedawna nazywano zapomnianą doliną. Za ich dzieciństwa nauka w szkole odbywała się po walijsku, a angielski, traktowany jako język obcy, nie był przedmiotem obowiązkowym. W domu rozmawiają wyłącznie po walijsku.

- Trudno w to wprost uwierzyć.

Eryl uśmiechnęła się i zaczęła wspominać wszystko, co wiedziała o rodzinie Pughów.

- Ellen, która jest ode mnie trochę starsza, była kiedyś mężatką. Wyprowadziła się nawet z doliny. Niestety, jej mąż zginął w wypadku. Przejechał go traktor i Ellen wróciła do domu, a jej bracia zostali, żeby pomagać ojcu w prowadzeniu gospodarstwa. Nikt obcy nie chce się najać do pracy na takim odludziu.

Lewis wjechał na podwórze i zahamował obok sterty porośniętych mchem głazów. Z drugiej strony stała ta sama otwarta półciągarówka, która od niepamiętnych czasów służyła Pughom za jedyny środek transportu. Przed domem wylegiwało się sześć owczarków, które teraz poderwały się z ziemi, witając gości głośnym szczekaniem i wymachiwaniem ogonami.

Eryl zauważyła, że drzwi wejściowe lekko się uchyliły i po chwili rozpoznała twarz kobiety, która od ich ostatniego spotkania niemal się nie zmieniła. Sama nie wiedząc, jak i kiedy, znalazła się w ramionach Ellen Pugh i poczuła się tak, jakby nigdy stąd nie wyjeżdżała.

- *Eryl bach!* - zawołała Ellen, czule przyciskając Eryl do swego osłoniętego fartuchem łona.

Popłynął strumień walijskiej mowy, nastąpiły wylewne powitania, śmiech mieszał się ze łzami. Wyrwawszy się w końcu z objęć dawnej przyjaciółki, Eryl zwróciła się w stronę Lewisa.

- Pan doktor przejechał zbadać tatę - oznajmiła.

Ellen spojrzała na Lewisa, który miał niepewną minę.

- To twój narzeczony? - spytała po walijsku.

Eryl poczuła, że się rumieni.

- Ależ skąd - odparła po angielsku. - Jesteśmy kolegami z pracy.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Podwożąc ich minionej soboty z Pandy, Jennifer Vaughan wjechała wprawdzie w uliczkę Lewisa, ale nie zatrzymała się przed domem i Eryl nie wiedziała, gdzie dokładnie mieszka jej kolega. Dopiero teraz, kiedy jej wskazał wynajmowaną przez siebie willę, rozpoznała opuszczone niegdyś domostwo, do którego ona i jej rówieśnicy zakradali się jako dzieci z wielkim strachem, ponieważ dom uchodził za nawiedzany przez duchy. Kiedy więc Lewis otworzył przed nią żelazną furtkę, prowadzącą do maleńkiego, porośniętego chwastami i zdziczałymi goździkami ogródka, Eryl roześmiała się na wspomnienie dawnych zabaw.

- Co panią tak rozbawiło? - zapytał.

Dosłyszała w jego głosie obronny ton, który przypisała odbytej przed chwilą wizycie u ojca Ellen Pugh. Stary farmer uparcie odrzucał wszelkie zalecenia lekarza, a w pewnym momencie, na znak protestu, omal nie wyszedł z domu. Widząc błagalne spojrzenie Lewisa, Eryl przejęła w końcu inicjatywę i posługując się miejscową walijską gwarą, zdołała przekonać trudnego pacjenta do konieczności leczenia. Uzyskała nawet obietnicę, że pomyśli poważnie o wybraniu się do specjalisty.

Teraz więc pospieszyła uspokoić Lewisa, że jej śmiech nie był w najmniejszy stopniu skierowany przeciwko niemu.

- Śmieję się, bo przypomniały mi się figle, jakie ja i moi koledzy wyprawialiśmy w dzieciństwie w tym domu - odparła.

- Był wtedy od dawna pusty i nawet niektórzy uważali, że w nim

straszy. Raz wdarliśmy się do środka całą gromadą, co bardzo źle się skończyło.

- Spotkaliście ducha? - zapytał rozpogodzony.

- A żeby pan wiedział! W dodatku wszedł frontowymi drzwiami. Właśnie tak jak my teraz. O mało nie umarliśmy ze strachu.

- Wiele słyszałem o celtyckich czarach - powiedział, unosząc brwi - ale żeby duchy chodziły po ulicach, to trochę za dużo!

- Prawda? A co się potem działo! Dostaliśmy porządnie w skórę. Choć muszę przyznać, że wychowująca mnie od śmierci matki ciotka dała mi tylko lekko po łapach.

- A za cóż to?

- Och, bo ja wiem? Za naruszenie cudzej własności, ale chyba głównie za to, że daliśmy się złapać. Bo owym duchem, który wkroczył frontowymi drzwiami, okazał się miejscowy policjant.

- No to rzeczywiście mieliście pecha.

Lewis wprowadził ją przez mały hol do saloniku, którego jedyne okno wychodziło na ogródek od frontu. Jego umeblowanie składało się z wygodnej kanapy, pary obitych takim samym barwnym perkalem foteli oraz dwóch krzeseł i niewielkiego stołu. Na obramowaniu staroświeckiego, kamiennego kominka stała lampa, a na kracie paleniska leżał stos drewna.

Jedna ze ścian, pomalowana emulsyjną farbą na kremowy kolor, była od góry do dołu zabudowana półkami i zapchana książkami, zaś trzy pozostałe ukazywały naturalny, nie otynkowany kamień, który od niepamiętnych czasów wydobywano z okolicznych gór.

- Jak tu ładnie i miło! - zawołała, rozglądając się z podziwem. - Stworzył pan sobie prawdziwy dom.

Zmierzył ją poważnym spojrzeniem, w którym nie po raz pierwszy dostrzegła wyraz tęsknoty i dziwnej melancholii. Zaraz jednak odwrócił wzrok.

- Miałem szczęście, że znalazłem ten dom. Po raz pierwszy od...

Nie dokończył, a Eryl nie naciskała. Wolała nie wiedzieć, co się z nim dzieje, gdyż widok jego smutku sprawiał jej ból. To niesprawiedliwe, żeby taki człowiek jak on nosił w sobie jakieś ukryte cierpienie. W pierwszym odruchu serca miała ochotę przytulić go do siebie i ująć w dłonie jego twarz.

A takim właśnie odruchom nie wolno ci się poddawać, przypomniała sobie. Obudziłaby w ten sposób jedynie przykre wspomnienia tego, co musiała kiedyś przeżyć z powodu Roberta. Własną lekkomyślność, naiwną ufność i okrutny zawód, jaki jej zgotował. A wszystko dlatego, że nie miał odwagi związać się na stałe ani wziąć odpowiedzialności za skutki swego postępowania.

Chcąc oderwać się od tych myśli, spytała Lewisa, gdzie go tuje, na co on spojrzawszy na nią jak obudzony z ponurego snu i dopiero po chwili się uśmiechnął.

- W najmniejszej kuchence świata - odparł i poprowadził ją do dawnej spiżarni, którą również, jak się okazało, zdołał urządzać nadzwyczaj ładnie i wygodnie.

Pod kamienną ścianą stała lodówka, resztę zaś przestrzeni zajmował niewielki stolik z dwoma stołkami do dojenia krów oraz walijski kredens kuchenny, którego górne półki zastawione były piękną, ludową ceramiką, zaś w dolnych szufladach mieściły się zapewne nakrycia stołowe. Pod małym okienkiem, wychodzącym na zbocze góry, znajdował się nowoczesny, niklowany zlew, a pod spodem dwie półki: na garnki i na warzywa.

- Wygląda wspaniale - pochwaliła. - Dużo musiał pan tu zmienić przed wprowadzeniem się?

- Poprosiłem właściciela, żeby wymienił ceramiczny zlew na nowy. Trochę się opierał, ale ustąpił, kiedy obiecałem pokryć koszty przeróbki.

- A do kogo należy ten dom?

- Będzie pani niemiłe zaskoczona.

- Czemuż to? - spytała zaczepnie, ale widząc na jego twarzy ten sam wyraz niesmaku, jaki uderzył ją podczas kolacji u Trefora, kiedy mowa była o utracie posiadłości przez rodzinę Wynfordów-Wynnesów, zawołała: - Nie chce pan chyba powiedzieć, że właścicielem jest sir George Wilson?

- Chcę! Wkradając się tutaj za dawnych czasów, pani i jej koledzy nie zdawaliście sobie pewnie sprawy, że naruszacie własność Wynforda-Wynnesa. Podobno senior rodu traktował ten dom jako rodzaj azylu, w którym mógł się schronić, ilekroć dojadło mu życie w Powys Manor.

To mówiąc, wziął z półki pod zlewem sałatę i pomidory, oplukał je i odłożył na suszarkę, by obciekły.

- Czy mogę prosić o zrobienie sałaty, podczas gdy ja zajmę się resztą? - spytał, podając Eryl mały, ostry nożyk.

- Muszę zapracować na gościnę, czy tak?

- Oczywiście! Jako stary kawaler mam wprawę w wysługiwaniu się innymi. Proszę - dodał, podając jej deskę do krojenia i dużą salaterkę, po czym otworzył lodówkę, z której wyjął przykryty przezroczystą folią półmisek z plastrami wędzonego łososia.

- Co za znakomita organizacja pracy. Starokawalerstwo najwyraźniej panu służy - rzuciła i natychmiast ugryzła się w język, bo Lewis spochmumiał. - Przepraszam! Nie powinnam się była wtrącać w pana prywatne sprawy.

- Bardzo rozsądna uwaga - odparł ponuro. -I proszę pamiętać, że nie jestem jedynym mężczyzną na świecie, który umie poruszać się po kuchni. Może wtedy oszczędzi mi pani swoich pustych komplementów.

- Co pan powiedział?!

Odwróciła się gwałtownie, z nożem w ręku.

- Że nie lubię grzecznościowych pochwał - odparł, wzruszając ramionami. - Na litość boską, niech pani odłoży ten nóż, nim stanie się jakieś nieszczęście.

Ze złości nie wiedziała, co począć. Chwyliła główkę sałaty

i zabrała się z furią do siekania liści, usiłując opanować drżenie rąk. Potem zaatakowała pomidory i na koniec wrzuciła zmaltretowane jarzyny do salaterki. Coś podobnego!

On tymczasem z lekkim uśmiechem wyjął jej nóż z ręki, odłożył go na stół, po czym ujął jej dłonie.

- Bardzo przepraszam, Eryl - powiedział cicho - że tak na panią napadłem. Proszę to złożyć na karb przemęczenia.

Czy to jedyny powód? - pomyślała, spoglądając w jego oczy, na dnie których kryła się nie wyjaśniona udręka.

- Zapomnijmy o tym - rzekła w końcu.

Patrzyła, jak Lewis miesza poszatowaną sałatę, kroi w milczeniu chleb, ustawia na tacy jedzenie, talerze i inne nakrycia, a następnie rusza z tacą do saloniku. Spodziewa się pewnie, że pójdzie za nim, a zarazem sprawia wrażenie, jakby zamilkł na zawsze, pomyślała Eryl. I przestraszyła się, że tak pięknie przygotowany posiłek będzie miał smak popiołu.

Przez moment miała ochotę po prostu wyjść, uświadomiła sobie jednak, że jej samochód został w lecznicy. Ha, trudno! Musi tu zostać, nawet gdyby pan domu nadal milczał. Napełniła dwie szklanki wodą mineralną i zaniósła je do saloniku.

- Pomyślałam, że się przyda - rzekła w progu, orientując się nagle, że mówi do pleców stojącego przy oknie Lewisa.

Szybko się odwrócił, wyjął jej szklanki z rąk, postawił je na stole i dopiero wtedy przerwał milczenie.

- Spróbujmy zacząć wszystko od nowa - poprosił. - Ja naprawdę nie jestem z natury kłótniwy. Pani też na pewno nie. Jeśli mamy współpracować tak, jakby sobie tego życzył doktor Dillon, powinniśmy unikać sprzeczek z byle powodu.

- Całkowicie się z panem zgadzam - odparła. - To nasz obowiązek wobec niego. Zwłaszcza teraz, kiedy jest chory.

Długo patrzył jej w oczy wzrokiem, w którym odbijało się tyle najrozmaitszych uczuć, że nawet nie próbowała się w nich zorientować. W końcu szepnął:

- Cieszę się, że darzy go pani uczuciem równie serdecznym jak ja.

Odsunął krzesło, zapraszając ją do stołu, po czym usiadł naprzeciw niej. Napięta atmosfera powoli ustępowała.

- Muszę powiedzieć, że mój pierwszy dyżur sprawił mi dużo przyjemności - powiedziała, zabierając się do jedzenia.

- Miło mi to słyszeć - rzekł. - Jest pani jedną z najdzielniejszych kobiet, jakie spotkałem.

- Ja? Dzielna? A niby dlaczego?

- Tak, pani. Przecież wiem, jak była pani dziś rano zdenerwowana i jak świetnie umiała to pani opanować. Nie mówiąc o zachowaniu równowagi ducha podczas moich pedantycznych wywodów na temat ustawienia biurka. Ba, nawet przed chwilą w kuchni potrafiła pani utrzymać nerwy na wodzy.

- Za to wyładowałam się na sałacie i pomidorach - oświadczyła zaczepnym tonem.

Uśmiech Lewisa znikł równie szybko jak się pojawił. Odłożywszy nóż i widelec, pochylił się przez stół i lekko uściśnął jej dłoń.

- Pani przyjazd jest jak podmuch świeżego powietrza, Eryl - powiedział. - Nigdy pewnie nie zrozumiesz, ile sobą wnosisz. A tak przy okazji, proponuję, żebyśmy przeszli na ty.

- Po pierwsze, postaram się nie zawieść oczekiwań, chociaż uważam je za przesadne, a po drugie, zgadzam się - odparła nieco drżącym głosem, niechętnie wyzwalając się z jego rąk.

- O to jestem spokojny. - Nabrał tchu, a po chwili wahania dodał: - Jest pewna rzecz, o której chciałbym powiedzieć, ponieważ... No, bo po prostu chcę, żeby pani... Chcę, żebyś wiedziała.

- Słucham - odrzekła zastanawiając się, z czym zamierza wystąpić i czy będzie umiała właściwie zareagować na to, co jej powie.

- Powiedziałaś przed chwilą, że nie chcesz się wtrącać w mo-

je prywatne sprawy. Dziękuję i rozumiem. Chciałbym jednak pewne rzeczy wyjaśnić.

Eryl poczuła chłód na plecach. Czy jeśli się posunie do zwierzeń, będzie oczekiwał od niej tego samego? Wyjawienia dawnych, spychanych w głąb niepamięci bolesnych doświadczeń?

- Cóż to, zaproszenie do konfesjonału? - spytała, udając spokój. - Mam wysłuchać spowiedzi, a potem wielebny ojciec poprosi mnie z kolei o zrobienie rachunku sumienia? A może to ma być psychoanaliza? Nie wiedziałam, że kwalifikacje pana doktora sięgają tak daleko. - Czuła, że jej słowa brzmią nonszalancko, ale nie znajdowała innego sposobu obrony.

- Ależ nic podobnego! - zaoponował. - Niczego w zamian nie wymagam. To ja chcę ci coś wyznać, nic więcej. - Patrzył na nią z tak bolesnym napięciem, że Eryl nie wiedziała, gdzie podziąć oczy. - Czy jeśli powiem, że byłem kiedyś żonaty, a obecnie jestem wdowcem, wybaczysz mi, że czasami zachowuję się niezupełnie tak, jakbym chciał?

Poczuła okropny wstyd na wspomnienie paru bezmyślnych zdań, na które sobie wobec niego pozwoliła, myśląc jedynie o obronie własnego ja. Jak mogła być tak nieczuła i samolubna? Pozbawiona elementarnej intuicji?

- Strasznie mi przykro - powiedziała ze skrucą. - Powinnam być bardziej domyślna.

- Niby w jaki sposób? Nawet wasz słynny celtycki szósty zmysł na nic by się nie zdał, bo o moich sprawach nigdy z nikim nie rozmawiam. Tylko Trefor wie wszystko.

Jakie wszystko? Dlaczego aż „wszystko”?

- Czy... na pewno chcesz o tym rozmawiać? - spytała niepewnie.

- Chcę tylko powiedzieć, że nie spodziewałem się, że będzie mi z tym aż tak trudno żyć. Może dlatego, że kiedy moja żona cztery lata temu zginęła w wyjątkowo okropnym wypadku, mia-

łem tylko trzydzieści lat. Ona też była lekarzem. Los bywa naprawdę okrutny.

Chociaż mówił to z głębokim smutkiem, wyczuła w jego głosie trochę nieprzyjemną nutę, gdy wspomniał o zawodzie swej zmarłej żony. Dziwne, pomyślała. Jakby... sprawiało mu przykrość, że była lekarką. Starła się odepchnąć od siebie to głupie, bezsensowne przypuszczenie, nie mogła się jednak oprzeć wrażeniu, iż coś się za tym kryje.

- To wszystko, co miałem do powiedzenia. Z całą resztą muszę sobie radzić sam - zakończył z głębokim westchnieniem.

- Myślę, że potrafię do pewnego stopnia zrozumieć, co czujesz - odparła poważnym tonem. - Mnie też śmierć nie omijała. Matkę straciłam w dzieciństwie i wychowywałam się pod opieką wujenki. Ona z kolei umarła, kiedy miałam praktykę na uniwersytecie Guya. Ojciec zmarł niedługo po niej. Zostałam sama. Teraz mam dwadzieścia siedem lat i zawód, który naprawdę lubię. Życie znów stoi przede mną otworem.

Starła się nadać swoim słowom spokojny ton i zakończyć optymistycznym akcentem. Nie przeżyła wszak żadnych, trudnych do zapomnienia okropności w rodzaju nagłej śmierci. Miała za sobą jedynie nieudany romans, który zaczął się radośnie, a zakończył smutno i gorzko. I choć do dziś czuła się czasami, jakby była wdową, to jednak obraz Roberta stopniowo zacierał się w jej pamięci.

- Nie myślałaś nigdy o wyjściu za męża? - zapytał, jakby czytał w jej myślach.

- Byłam kiedyś zaręczona, ale nic z tego nie wyszło - odparła, patrząc mu w oczy i jednocześnie usiłując nie zdradzić, co za tymi słowami naprawdę się kryło.

Lewis patrzył na nią uważnie. Nie mogąc znieść czającego się w jego oczach współczucia, Eryl zaczęła zbierać talerze.

- Wypijemy kawę? Zdaje się, że mam nawet jakieś ciasteczka.

- A zdążymy? - spytała.

- Oj, chyba nie - przyznał, zerkając na zegarek. - Trefor ma pierwszeństwo, a potem muszę odbyć popołudniowe wizyty. Zapraszam cię na kawę wieczorem, a przedtem możemy zjeść w mieście kolację.

- Może innym razem - odparła po krótkim wahaniu. - Boję się, że wieczorem będę już zmęczona.

- Przepraszam. Zapomniałem, że to twój pierwszy dzień w nowym kieracie.

- Traktujesz mnie jak pociągowe zwierzę!

- Nic podobnego - zaprotestował, rzucając jej spod oka jedno z owych głębokich spojrzeń, których urokowi nie umiała się oprzeć. - Jesteś ludzka od czubka głowy do pięt. Nigdy o tym nie zapominaj!

Kiedy po odbyciu rozmowy z siostrą dużurną i przestudiowaniu karty chorego doktor Smith oddalił się do innych zajęć, Eryl i Lewis poczuli się spokojniejsi. Stan Trefora zaczynał się poprawiać. Z badań wynikało, iż serce ma zdrowe, choć analiza wykazała ślady cukru w moczu. Brano więc po uwagę ewentualny początek cukrzycy, ale specjalista ze Swanton nie chciał się na ten temat wypowiadać przed przeprowadzeniem dodatkowych badań. Trefor siedział wsparty wysoko o poduszki, z obrażoną miną.

- Dlaczego lekarze są takimi nieznośnymi pacjentami? - zażartował Lewis, kiedy starszy pan zażądał natychmiastowego wypuszczenia go ze szpitala.

- To nieprawda. Jestem idealnym pacjentem - obruszył się Trefor. - Martwię się tylko o doktor Thomas. Powiniennem jej pomagać, a tymczasem zostawiłem ją na pastwę losu.

- Nie jest tak źle - uśmiechnęła się Eryl. - To prawda, że bardzo mi pana brakuje, ale dzięki opiece Lewisa nie czuję się opuszczona. Dziś zaprosił mnie nawet na lunch.

- Chcesz powiedzieć, że ten szubrawiec zaprosił cię do swo-

jego domu? Moje dziecko, to wprost niesłychane! Zwykle nikogo nie wpuszcza za próg.

- Zrobiłem wyjątek - wtrącił Lewis. - Mieliśmy coś do obgadania.

- Więc dobrze się między wami układa? Ma się rozumieć, w zawodowych sprawach.

- Doskonale - zapewniła Eryl, mając w duchu nadzieję, że osiągnięte między nią a Lewisem porozumienie okaże się trwałe.

Potem zaczęła mówić o Księżnej i potrzebie zamontowania w drzwiach specjalnej kłapy dla kotów. Trefor miał początkowo zastrzeżenia, obawiając się, czy opieka nad kocią rodziną nie stanie się dla Eryl zbyt dużym obciążeniem.

- Oprócz pacjentów chcesz wziąć sobie na głowę piątkę kotów? Moja droga, czy to nie za wiele?

- Na podstawie dotychczasowych obserwacji - wtrącił Lewis kpiąco - ośmielam się twierdzić, że doktor Thomas dałaby sobie radę z całą cyrkową menażerią.

- W takim razie zgadzam się. A Gwilliamowi też dobrze zrobi dodatkowe zajęcie. Oderwie się na chwilę od owiec.

Lewis opowiedział też Treforowi o wizycie u Garetha Pugh'a i bezcennej pomocy Eryl.

- Nie tylko umiała się z nim porozumieć po walijsku - zaznaczył - ale i namówiła go, żeby pomyślał o wizycie u specjalisty.

- A zatem kobiety lekarze na coś się jednak przydają - żartobliwie zauważył Trefor. - Chyba to ci pomoże odzyskać do nich zaufanie?

Dziwne, pomyślała Eryl. Co Trefor miał na myśli, wspominając o braku zaufania do lekarek? Czyżby chodziło o żonę Lewisa? Przypomniała sobie ostry ton, jakim Lewis mówił o jej zawodzie. Wtedy uznała, że się przesłyszała i należy o tym zapomnieć.

- Nie trap się, moja droga! Były czasy, kiedy nasz drogi

Lewis istotnie przejawiał niechęć do feminizacji lekarskiego zawodu. Chyba z powodu jakichś ostrych nieporozumień z panią profesorem, u której odbywał praktykę - zaśmiał się Trefor, mrugając porozumiewawczo do Eryl. - Wydaje mi się jednak, że już mu to przechodzi. Sam zresztą był żonaty z lekarką. I to znakomitą lekarką, prawda, Lewis?

Eryl rzuciła szybkie spojrzenie na stojącego przy łóżku Lewisa, który nagle znieruchomiał i niechętnie przyznał:

- Prawda.

Ach, więc to tak? - zdziwiła się w duchu Eryl. Był przeciwny feminizacji medycyny? Cóż za dziwaczne uprzedzenie, zwłaszcza u człowieka w jego wieku! Jednakże nawet to nie wyjaśniało do końca pewnych jego zachowań. Musi być jeszcze inna przyczyna, może związana z osobowością jego żony?

Kiedy pożegnawszy Trefora szli razem korytarzem, Eryl zadała sobie pytanie, czy Lewis nie miał przypadkiem za życia żony małżeńskich problemów. Natychmiast jednak uznała, że nic jej do tego. Kusiło ją tylko, by przynajmniej pokłócić się z nim o jego stosunek do lekarek.

- Czy to prawda, co powiedział Trefor?

Lewis stanął w pół kroku.

- O tym, że Marianne była świetnym lekarzem? - zapytał.

- Nie, o twojej niechęci do kobiet lekarzy.

- Tak, to prawda.

- Ale dlaczego? Przecież chyba jest jasne, że w tym akurat zawodzie kobiety dorównują mężczyznom. Mogę się ostatecznie zgodzić, iż kobieta inżynier może w budownictwie stwarzać pewne problemy. Ale w medycynie?

Lewis, o dziwo, zaczął się śmiać i Eryl się speszyła.

- Cudownie wyglądasz z tym ogniem w oczach.

- Doprawdy? To powinieneś zobaczyć, jak wyglądam, kiedy rzeczywiście ruszam do ataku!

- Mam nadzieję, że będzie mi to oszczędzone. - Był rozba-

wiony, jakby przekomarżanie się z nią sprawiało mu szczerą przyjemność. Potem rzekł z powagą: - Przyznaję, że kiedyś nie lubiłem pracować z lekarkami i byłem dla nich niemiły. Ale to się zmienia.

Zamilkł, dała więc spokój dalszym dociekaniom.

Lewis odwiózł ją do domu. Kiedy wysiadła z samochodu i szła do drzwi, szukając w torebce klucza, nagle zawołał ją po imieniu.

- Tak? - spytała, odwracając się.
- O co spytała cię po walijsku Ellen Pugh?

Eryl zamarła. Za nic w świecie nie powie prawdy.

- Spytała, czy jesteś moim dawnym znajomym - skłamała, nie mrugnawszy powieką.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nim minął czerwiec i nastał lipiec, obowiązki Eryl urosły do tego stopnia, że nie mogła się nadziwić, jakim sposobem uważała kiedyś lecznicę w Dynas za oazę spokoju w porównaniu z Birmingham. Przybywało jej własnych pacjentów, a musiała też przejąć część pacjentów doktora Dillona.

Doktor Smith po kolejnych badaniach przyznał, że nie potrafi określić przyczyny przedłużającej się słabości Trefora, nadal jednak trzymał go w szpitalu. „Na wszelki wypadek”, jak się wyraził.

Eryl uznała to wyjaśnienie za niewystarczające, nie miała jednak wiele do powiedzenia, ponieważ Trefor był pacjentem Lewisa, a że ten ostatnio wydawał się jeszcze bardziej niż zwykle zaabsorbowany jakimiś sprawami, Eryl bardzo się starała, by nie zrobić niczego, co mogłoby go urazić i doprowadzić do sprzeczeki.

Z całym więc oddaniem rzuciła się w wir pracy, zdecydowana dać z siebie wszystko, aby nie zawieść niedomagającego doktora. Osluchiwała szmerzące płuca, mierzyła ciśnienie, badała kolejnych pacjentów, którzy mimo letniej pogody zapadali na bronchity.

Zorganizowała też poradnictwo uzupełniające dla leczonych przez siebie pacjentów i podczas jednej z takich sesji poznała męża pani West, który przyszedł tu z nią, choć z wielkimi oporami. Spotkanie nie potwierdziło pierwotnych obaw Eryl o to, że pani West może być psychicznie albo wręcz fizycznie maltretowana przez męża. Pan West okazał się łagodnym i dobronudszym

człowieczkiem o staroświeckich poglądach, obawiającym się „przeciwnych naturze” środków medycznych.

Również stan Charliego Danielsa wyraźnie się poprawił, potwierdzając tezę Eryl, że dolegliwości chłopca miały podłoże psychologiczne. Podczas studiów jeden z jej profesorów poruszył pewnego razu kwestię „przewagi ducha nad materią”, podając za przykład przypadek starszego pana, który cierpiał na telefoniczną fobię. Każdy telefon wprawiał go w stan takiego napięcia, że chwilami całkowicie przestawał oddychać i gdy po takim krótkim bezdechu zdołał znów zaczerpnąć powietrza, odcięte na moment od dopływu tlenu zatoki reagowały nadprodukcją wydzieliny.

Prawda to czy bajka? W literaturze specjalistycznej przypadek ten nie został opisany i Eryl skłonna była go zaliczyć raczej do medycyny ludowej. Niemniej wierność celtyckiemu pochodzeniu kazała jej poddać teorię praktycznej próbie, która dała pozytywny rezultat. Kiedy bowiem po wizycie matki Charliego w szkole nauczycielka zaczęła poświęcać chłopcu więcej życzliwej uwagi, katary stały się znacznie rzadsze.

W głębi ducha Eryl zaliczyła zastosowaną wobec chłopca kurację do tak zwanej „dzieciologii”, ale kiedy pani Daniels ze swym wyraźnie rozpozgodzonym synkiem opuściła gabinet, pozwoliła sobie na lekki uśmiech zadowolenia.

Doświadczenie nauczyło ją także, iż niektórym pacjentom najbardziej potrzebna jest po prostu możliwość wygadania się. Teraz więc, kiedy została już w nowym miejscu zaakceptowana, starała się cierpliwie słuchać wszystkiego, co pacjenci mieli do powiedzenia. W rezultacie jej dyżury przeciągały się i często nie miała czasu ugotować sobie porządnego posiłku. Żywiła się głównie podgrzewanymi gotowymi daniami albo tym, co oferował sklep z potrawami na wynos przy nowo otwartej w miasteczku restauracji.

Jednakże sumienność w pracy miała również swoje dobre

strony, sprawiała bowiem, że jej kontakty z Lewisem stały się rzadsze, a tym samym miała mniej okazji boleć nad jego smutkami, na które jej serce tak silnie reagowało. No i nie musiała odpowiadać na ewentualne pytania związane z małym kłamstwem, jakim posłużyła się owego dnia, gdy Lewis chciał się dowiedzieć, co znaczyło zadane jej po walijsku przez Ellen Pugh pytanie. Jego częsta nieobecność miała też tę zaletę, że Eryl nie musiała się bezustannie bronić przed nieodpartym czarem, jaki na nią wywierał.

Któregoś dnia Nerys Powell zaprosiła Eryl na kolację i ta wreszcie poznała Douga. Mąż „raptem od sześciu miesięcy”, jak lubiła o nim mówić Nerys, wyglądał na typowego „słodkiego brutala”. Ten wysoki jak dąb mężczyzna o rudych włosach, odziedziczonych po przodkach zwanych *banditti* - dawnych najeźdźcach Walii - okazał się olbrzymem o gołęmbim sercu i dobrotliwych, błękitnych oczach, którymi wodził nieustannie za swą fertyczną żoną.

- No i co? Jak ci się podoba? - spytała Nerys, kiedy Doug wyszedł zapędzić krowy na noc do zagrody, a ona i Eryl zabrały się do zmywania naczyń.

- Czarujący! Dobry jak anioł, a do tego wesoły i dowcipny. Masz szczęście, że znalazłaś sobie takiego męża.

Nerys uśmiechnęła się z dumą.

- A ty? - odezwała się po chwili, mierząc Eryl poważnym spojrzeniem. - Czy jest w twoim życiu jakiś mężczyzna?

Eryl spieszyła się. Od pierwszej chwili polubiła w Nerys jej szczerłość i naturalność, a nawet myślała, że któregoś dnia opowie jej o Robercie. Jednakże to pytanie niemile ją zaskoczyło.

- Nie - odparła bagatelizującym tonem. Kiedy jednak Nerys wpatrywała się w nią, jakby nagle zobaczyła ducha, dodała: - Kiedyś ktoś był. Ale to dawne dzieje.

- Wolisz o tym nie mówić?

Chyba lepiej nie, pomyślała Eryl. Po co rozdrapywać dawne

rany? Niemniej czuła, że Nerys zasługuje na coś więcej niż wymijająca odpowiedź. Jej pytanie nie było wyrazem pustej ciekawości; chciała jej autentycznie pomóc.

- Nie bardzo wiem... - mruknęła w końcu. - Bardzo trudno mi o tym mówić. Od lat z nikim o tym nie rozmawiałam.

- To chyba nie jest najlepszy sposób, nie uważasz? - zauważyła Nerys. - Nie jest dobrze dławić w sobie przykre wspomnienia. Lubią się wtedy przeradzać w gorycz i zatrują duszę.

W słowach Nerys brzmiała tak szczerza, pozbawiona cienia sentymentalizmu troska, że Eryl nagle zaczęła jej opowiadać o sprawach, które trzymała dotychczas w najgłębszej tajemnicy. O mężczyźnie, którego pokochała w czasach studiów, o jego obietnicach stworzenia jej raj.

- I co się stało? - spytała Nerys, kiedy Eryl nagle urwała.

- O tym najtrudniej mi mówić - odparła Eryl, z trudem powstrzymując łzy. - Nawet myśleć, chociaż upłynęło już tyle lat.

Nerys milczała wyczekująco, a Eryl z wolna zbierała siły.

- Mielśmy żyć długo i szczęśliwie. Mówił, że zrobi dla mnie wszystko. No a potem... wszystko się pokomplikowało. Został mi i odszedł.

- Ot tak, bez powodu?

Owszem, powodów nie brakowało. Dzisiaj jednak Eryl nie czuła się na siłach opowiadać o tym, jak do tego doszło.

- Można tak powiedzieć - odparła martwym głosem.

- Rozumiem - mruknęła Nerys. - Mam nadzieję, że trochę ci ulżyło. Bardzo cię lubię, Eryl. Mam wrażenie, jakbyśmy się znali od dawna.

Potem rozmowa zeszała na codzienne tematy i reszta wieczoru upłynęła w beztroskiej atmosferze. Jednakże w drodze do domu Eryl myślała z zazdrością o młodej parze i ich zwyczajnym szczęściu. Zaraz jednak upomniała się w duchu, że sama jest sobie winna. Nie tylko zmarnowała młodość, ale i teraz nie stara się zapomnieć o przeszłości.

Na parkingu przed domem zauważyła auto Lewisa. Gdy wysiadła z samochodu, usłyszała za sobą kroki, a gdy się obejrzała, Lewis właśnie wychodził z głównego budynku.

- Co tu robisz o tej porze? - spytała. - Jakies nagłe wezwanie?

- Coś w tym rodzaju! Przywiozłem właśnie Trefora do domu. Wbrew wszelkim zaleceniom. Dlatego wyskoczyłem, żeby ci o tym powiedzieć. - Po czym z niezadowoloną miną zapytał: - A gdzie ty się włóczysz po nocy?

Zirytowała ją jego obcesowość.

- Byłam na kolacji - odparła chłodno.

- Oho! Pewnie w miłym towarzystwie?

Miała szczerą ochotę posłać go do diabła, ale z powodu Trefora postanowiła zachować spokój.

- Tak. W towarzystwie Nerys i jej męża - wyjaśniła, a potem spytała, dlaczego pozwolił Treforowi wrócić do domu, skoro uważa, że powinien zostać w szpitalu.

- Ponieważ oświadczył, że wraca i już! Wyobrażasz sobie, żeby ktokolwiek potrafił wybić mu to z głowy?

Eryl świetnie to sobie wyobrażała, ale nie chciała się z nim spierać.

- A co na to doktor Smith?

- Też uważa, że Trefor nie powinien jeszcze wstawać. Nawiasem mówiąc, nie było go w Pandy, kiedy Trefor podniósł bunt, ale zadzwoniłem do niego do Swanton. Kiedy mu powiedziałem, że Trefor chce uciekać, poradził, żeby mu się nie sprzeciwiać. Musiałem tylko przysiąc, iż dam mu znać, gdyby nastąpiło pogorszenie.

- A co z tymi dodatkowymi badaniami? Zdaje się, że Smith zamierzał sprowadzić specjalistę od cukrzycy?

- Widocznie nie znalazł niczego niepokojącego. Wyniki mieszczą się w granicach normy, więc jeśli poziom cukru się nie zmieni, nic z tej strony mu nie grozi.

Wszystko to brzmiało trochę zbyt beztrasko.

- Rozumiem, że będziesz go systematycznie poddawał badaniom i zawiadomisz Smitha o każdej zmianie wyników?

- Oczywiście. Naprawdę, możesz być spokojna. Zresztą najlepiej pójdz i sama go zbadaj. A potem może zaprosisz mnie do siebie na drinka?

- Boję się, że nie mam w domu nic do picia.

- Mam to rozumieć jako odprawę?

Dostrzegła, że przez jego twarz przebiegł cień rozczarowania. Zauważyła też, jak bardzo jest zmęczony.

- Ależ skąd! - zaprotestowała. - Przepraszam, jeśli tak to zabrzmiało. Bardzo bym chciała, żebyś wpadł, boję się tylko, że nie mogę ci zaproponować nic prócz kawy i piwa.

Przyjrzał się uważnie jej twarzy, na którą padało światło palącej się nad wejściem lampy, i zrobił zatroskaną minę.

- Może to rzeczywiście nie najlepszy pomysł - odezwał się dziwnie łagodnym tonem. - Zdaje się, że jesteś wykończona. Przepracowujesz się ostatnio, prawda?

- Nie bardziej niż wszyscy. Ty też jesteś zmęczony - westchnęła. - Ale myślę, że po zbadaniu Trefora możemy się spotkać.

- Obiecuję nie siedzieć długo. Co prawda, muszę coś z tobą omówić.

- Co? - zdziwiła się, a on obdarzył ją tym swoim cudownym uśmiechem.

Niech tego nie robi, pomyślała, zwłaszcza tak niespodziewanie! Znowu ogarnęło ją owo słodkie, omdlewające uczucie, z którym nie potrafiła walczyć.

- Nie rób takiej przerażonej miny - uspokoił ją z miłym uśmiechem. - Tym razem bez wyznań. Obiecuję! Mam kłopoty z jednym pacjentem i chciałbym o nim z tobą porozmawiać.

- Ale skoro to twój pacjent, to co mi do niego?

- Mam zamiar przekazać go w twoje ręce.

- Za jego zgodą?

- No... niezupełnie. Jedno jest pewne - mnie ma po dziurki w nosie. Traktuje mnie jak osobistego wroga.

Podawała mu klucz do drzwi, w których zdążyła już zainstalować kłapę dla kotów, prosząc, by przed jej powrotem od Trefora wziął sobie z lodówki piwo.

- Aha, czy mógłbyś przy okazji nakarmić Księżnę i jej małę? Puszki z jedzeniem są na półce w kuchni.

- Zrobi się, proszę pani!

Zasalutował służbiście, po czym skierował się do samochodu i wyjął coś z bagażnika. Odchodząc zauważyła, że kręci się koło auta, jakby czekał, aż ona się oddali. Pani Reynolds wpuściła ją do mieszkania, dosłownie załamując ręce: na zmianę wykręcała sobie palce albo wymachiwała ramionami, jakby oganiała się od chmary pszczoł.

- Co to będzie, pani doktor, co to będzie? - powtarzała co chwilę, aż zniecierpliwiona Eryl powiedziała jej ostro, żeby przestała lamentować. Biedaczka boleśnie ściągnęła usta, toteż Eryl dodała łagodniej:

- Zamartwianie się nikomu nie pomoże. Doktor Dillon będzie pod stałą opieką doktora Caswella i moją. Gdyby cokolwiek się działo, natychmiast damy znać specjaliście ze szpitala w S want on.

Te słowa najwyraźniej odniosły skutek, bo pani Reynolds zdobyła się nawet na uśmiech.

- Bardzo dziękuję, pani doktor. Będę spokojna, wiedząc, że jest pod pani opieką.

Czyżby więc nareszcie się do mnie przekonała? - uśmiechnęła się w duchu Eryl. Ciekawe, na jak długo?

Gospodyni weszła do pokoju razem z Eryl i usiadła niedaleko kanapy, na której pod wielobarwnym, walijskim kocem spoczywał Trefor. Miał zamknięte oczy, a boczna lampa rzucała na jego twarz przyćmione światło. W pierwszym momencie Eryl zauwa-

żyła malujący się na twarzy starego doktora głęboki spokój, a dopiero po chwili przestraszyła się jego woskowej bledości.

- Czy od samego przyjazdu jest taki bładny? - spytała.

Pani Reynolds kiwnęła głową.

- Proponowałam mu filiżankę bulionu, ale odmówił - powiedziała. - I nie chciał nic jeść.

- Pewnie zjadł kolację przed wyjazdem ze szpitala - odparła Eryl obojętnym tonem, choć była nie na żarty przejęta wyglądem Trefora. - Czy doktor Caswell zbadał go po przyjeździe?

- Och tak! Powiedział, że jego zdaniem nie ma powodu do obaw, ale byłby spokojniejszy, gdyby usłyszał pani zdanie.

- Nie chciałabym go teraz męczyć. Zresztą, nie mam przy sobie nawet słuchawki. Mogłabym najwyżej zbadać puls, ale może lepiej go nie budzić.

- Proszę jednak chwilę przy nim posiedzieć, dobrze? - zaproponowała pani Reynolds. - Będę w kuchni. Proszę mi dać znać, kiedy pani będzie wychodzić.

Po chwili Trefor poruszył się na kanapie i z trudem uniósł powieki. Na widok Eryl bezskutecznie spróbował usiąść.

- Witaj, kochanie! - szepnął z bladym uśmiechem. - Jak to miło z twojej strony, że zechciałaś mnie odwiedzić.

Szarmancki doktor nigdy nie zapomina o dobrych manierach, pomyślała. I zawsze ma ten sam żartobliwy błysk w oczach. Teraz jednak ich niebieskie źrenice wyraźnie zbladły. Przysunęła do kanapy taboret i ujęła w obie dłonie ręce doktora. Były zimne i bez życia, a skóra na nich cienka i martwa jak pergamin.

- Miło znów widzieć pana w domu - powiedziała, udając pogodę ducha. - Ale czy trochę nie za wcześnie?

- Lewis oczywiście się sprzeciwiał. Chciał mnie za wszelką cenę zatrzymać w tym diabelskim szpitalu - mówił Trefor ochrypłym głosem. - Ale powiedziałem: koniec, ani chwili dłużej. Tu jest moje miejsce. Przy pracy.

Eryl westchnęła w duchu. Stary doktor był niewątpliwie naj-

trudniejszym pacjentem, z jakim miała do czynienia. Jak ma mu powiedzieć, że teraz nade wszystko potrzebuje wypoczynku? I że wieloletnią, niespożytą pracą wyczerpał swoje żywotne siły? Czyż mogła bodaj wspomnieć o konieczności przejścia na całkowitą emeryturę, a nie tylko zwolnienia tempa pracy?

- Widzę na twojej twarzy dezaprobatę - zauważył. - Czy coś przede mną ukrywasz?

- Ależ nie. Badania niczego nie wykazały, serce ma pan w porządku, podobnie jak naczynia wieńcowe. Domyślam się, że przeprowadzili badanie krwi?

- Oczywiście. Przede wszystkim chcieli sprawdzić, czy nie miałem „utajonego epizodu martwiczego” - wyjaśnił, podnosząc ironicznie brwi - czyli, mówiąc normalnym językiem, ukrytego zawału serca.

- A czy pobrali również krew do zbadania anemii?

- Pewnie tak - odparł lekceważąco. - Sam Dracula byłby szczęśliwy, gdyby dobrał się do krwi, którą ze mnie wypili!

- No cóż! - rzekła na koniec, szykując się do odejścia. - Według mnie nic panu nie dolega. Wszystko wydaje się w porządku.

- Ale nie jest, prawda?

Kiedy to mówił, jego śmiejące się przed chwilą oczy nagle przygasły.

- Nie rozumiem, o czym pan mówi.

- Nie czarujmy się, moja droga. Nic się przede mną nie ukryje. Znam te profesjonalne pocieszenia.

Eryl zmieszała się. Już miała powiedzieć, że ponosi go wyobraźnia, zdała sobie jednak sprawę, iż jej słowa zabrzmiały nieprzekonująco. Po chwili milczenia oznajmiła:

- Myślę, że warto przeprowadzić dodatkowe badanie krwi. Oczywiście, po porozumieniu się z Lewisem. A on powinien wyciągnąć od Smitha poprzednie wyniki.

- Na diabła te oficjalne korowody! Sama pogadaj ze Smithem, nie oglądaj się na Lewisa!

- Ale to on jest pana lekarzem.
- A pani ma intuicję i bystre oko, które dostrzegło coś, czego on nie zauważył, więc proszę dać mu spokój.
- Panie doktorze, tego się nie spodziewałam! A gdzie lekarska etyka?

Zachichotał przekornie, w swoim dawnym, dobrym stylu.

- Odleciała na miotle na szczyt Cader Idris razem z celtyckimi wiedźmami!

Eryl roześmiała się, uradowana, że widzi go w lepszej formie. Zaraz jednak spoważniała.

- Bardzo przepraszam, szanowny panie doktorze, ale pozwolę sobie jednak porozmawiać najpierw z Lewisem.

- Jak pani woli, ale proszę mi obiecać dwie rzeczy, zgoda?
- Chętnie, jeśli się dowiem, o co chodzi.
- Po pierwsze, nie będzie pani kwestionować jego diagnozy. To by mogło go podrażnić i utrudnić waszą współpracę.

- Zgoda. Postaram się być grzeczna. Co jeszcze mam panu obiecać?

Zrobił smętną minę.

- Proszę nie mówić do mnie „szanowny panie doktorze”. Nigdy tego od pani nie słyszałem, więc proszę teraz nie zaczynać. Poczuję się, jakbym miał sto lat.

- Co też pan mówi! Dla mnie jest pan zawsze młodym człowiekiem. I do tego bardzo interesującym.

Na jego twarzy wreszcie pojawił się szelmowski uśmiech.

- Flirciara z pani! Zachowaj to lepiej dla kogo innego!
- Na przykład, dla kogo?
- Nie mam pojęcia. Pani prywatne życie to pani sprawa.

Eryl rzuciła mu baczne spojrzenie, podejrzewając, że próbuje ją wybadać. Ale nie, w jego pytaniu nie było nic nachalnego. Już raczej przypominał jej własnego ojca - takiego, jakim był wówczas, przed laty, kiedy zwierzyła mu się ze swego nieszczęścia, a ojciec bez słowa, przynosząc jej swoim milczeniem ulgę w cierpieniu, przy-

garnął ją do siebie, jakby była małą dziewczynką, a nie dorosłą, udręczoną kobietą. W nagłym odruchu serca pochyliła się nad Treforem i czule ucałowała go w czoło. Nigdy by nie pomyślała, że zdobędzie się wobec niego na taką poufałość.

- Dobranoc - szepnęła. - Proszę mi powiedzieć, co mogłabym dla pana zrobić.

- Dzięki, niczego mi nie trzeba. Teraz się prześpię. A jutro obudzę się świeży jak poranek.

- Jak walijski poranek w deszczowy dzień?

- Otóż to. Jak odświeżający, walijski deszczyk.

Lewis czekał na nią w saloniku, półleżąc w fotelu, a po nim łąziła cała kocia familia. Eryl roześmiała się na ten widok, tak bardzo nie pasujący do obrazu surowo przestrzegającego porządku męzczyzny, jakim bywał na co dzień. Teraz poderwał się speszony, strąsając z siebie kocięta, które w popłochu umknęły do kuchni.

- Co cię tak rozbawiło?

Zawsze zadawał to pytanie tonem, jakby się bronił.

- Oczywiście koty - odparła. - Najwidoczniej uznały cię za swoją własność.

Jej odpowiedź wyraźnie go uspokoiła.

- No cóż, musiały wyczuć, że mają do czynienia z wielbicielem wszelkiego gatunku kotów, nie wyłączając lampartów i rysi. Uwielbiam ich niesamowitą zwinność i delikatność, ich tajemniczość, a także oddanie, z jakim matki wychowują swoje potomstwo. A zwłaszcza domowe koty, które okazują człowiekowi tyle miłości, nie tracąc nic ze swojej niezależności.

- Co za przemówienie! - rzekła z podziwem, dyskretnie mu się przypatrując. Ciekawe, ile jeszcze podobnych niespodzianek potrafi jej zafundować. Z jednej strony wręcz pedantyczna dokładność i surowość, także wobec siebie samego, a z drugiej - niemal wzruszająca słabość do zwierząt. Ciekawe!

- Zwierzęta nakarmione - oświadczył. - A z pićm postanowiłem zaczekać na twój powrót.

- Wolisz piwo czy kawę? - spytała.

- Kawę, jeśli łaska. Muszę jakoś dojechać do domu.

Idąc do kuchni, usłyszała za sobą jego kroki. Odwróciła się i znalazła się z nim twarz w twarz. Jego oczy patrzyły na nią z dziwnym, niepokojącym ożywieniem. Napełniwszy ekspres wodą i kawą, postawiła go na kuchence i zapaliła gaz.

- Zaraz będzie gotowa - zapewniła. - Odpocznij tymczasem w pokoju. Miałeś dzisiaj ciężki dzień.

- Dzięki, ale wolę ci towarzyszyć. Poza tym byłem ciekaw, kiedy wreszcie zauważysz nowy mebel.

Zdziwiona, podażyła za jego wzrokiem: w kącie kuchni stał w półcieniu - wyłożony miękką, grubą flanelą - okrągły, płaski kosz, w którym najspokojniej w świecie wylegiwała się Księżna, otoczona ssącymi ją kociętami.

A więc dlatego tak długo kręcił się przedtem po parkingu, czekając, aż ona sobie pójdzie!

- To ty... to przywiozłeś?

- Nie tylko przywiozłem, ale kupiłem. Dla nowej rodzinki.

- Zwariowałeś!

- Być może, ale kiedy się zorientowałem, że rzeczywiście wzięłaś je w opiekę i pomyślałem o jesiennych chłodach, uznałem, iż przynajmniej tyle winienem dla nich zrobić. Przedstawiam ci jeden z najdoskonalszych produktów starej, zasłużonej firmy Lloyd's.

- Jesteś kochany - szepnęła i nie wiedzieć czemu, może dlatego, że wzruszyła ją dobroć Lewisa, a może po prostu ze zmęczenia, poczuła nagle łzy w oczach.

- No, no! Co to znowu? - zawołał cicho, ujmując jej ramiona i przyciągając ją ku sobie. - Martwisz się o Trefora?

- Nie, nie - mruknęła, pociągając nosem i sięgając po białą chusteczkę, którą jej delikatnie podsunął. Otarłszy oczy, mruk-

nęła zawstydzona: - Chyba rozrzewniła mnie twoja uczynność i... bardzo ci dziękuję, że zatroszczyłeś się o Księżnę.

Ekspres zaperkotał, więc odsunęła się od Lewisa, ale po chwili znowu poczuła na ramionach jego ręce.

- Spójrz na mnie - powiedział. - Nie odwracaj się, bardzo cię proszę. Chodzi o coś innego, prawda? Coś ci ciąży, tak? Jest coś, o czym chciałabyś porozmawiać, ale nie potrafisz?

Eryl rozpaczliwie usiłowała nad sobą zapanować.

- Powinniśmy porozmawiać o Treforze. I o tym pacjencie, którego chcesz mi przekazać.

- Wszystko w swoim czasie - odparł. - Najpierw musimy zająć się tobą. Przyznaj się, co cię tak roztrzęsło.

Milczała bezradnie, czując na ramionach jego ręce, które po chwili ujęły jej twarz. Stała jak zaczarowana, podczas gdy palce Lewisa delikatnie gładziły jej policzki. Potem dotknął ich wargami, zbierając czubkiem języka spływające łzy.

Nie bardzo wiedziała, jak i kiedy znalazła się w jego ramionach. Tulił ją do siebie, a ona, która parę minut temu broniłaby się, teraz bała się, aby się nie cofnął. Słone od łez wargi dotykały jej ust, czuła jego gorący oddech, czuła zapach jego skóry, patrzyła z bliska w jego pełne pytań oczy. Usta Lewisa coraz mocniej przywierały do jej warg i Eryl poddała się z rozkoszą nieodpartej, zapomnianej od tylu lat namiętności, jaka w jednej chwili zawładnęła jej ciałem.

Nagle Lewis oderwał się od niej, a ona wydała cichy okrzyk protestu. Szybko otworzyła oczy i ujrzała przebiegający przez jego twarz bolesny skurcz.

- Dlaczego? - wyszeptała.

Delikatnym ruchem odsunął ją od siebie.

- Przepraszam - powiedział. - Nie powinienem był tego robić. Nie mam prawa.

- Dlaczego? Co w tym złego?

- Nic, ale nie powinienem. Jest coś, o czym nie wiesz.

- To ma związek z twoją żoną?

- Częściowo - odparł pozbawionym wyrazu tonem. - Ale przede wszystkim ze mną. Trudno mi o tym mówić. Wybacz, naprawdę nie chciałem tego robić.

Rozumiem, pomyślała: nadal kocha swoją zmarłą żonę. Cóż innego mogło być przyczyną takiego zachowania?

Poczuła się, jakby wymierzył jej policzek i natychmiast oprzytomniała. W końcu zdobyła się na błady uśmiech.

- Ja też przepraszam - powiedziała nieco drżącym głosem.

- Ja też nie powinnam była na to pozwolić. Może zaniosę kawę do pokoju i porozmawiamy o sprawach, które mamy do omówienia?

- Dobrze - zgodził się ze znużeniem.

Jednakże niosąc tacę z kawą do pokoju, Eryl uświadomiła sobie, że o poważnej rozmowie na obojętne tematy nie może być mowy. Zanadto ciążyło im wspomnienie chwilowego zbliżenia. Świadomość odrzucenia była zbyt świeża, zbyt boleśnie raniła jej serce, a co najgorsze, przywołała wspomnienie podobnych cierpień sprzed lat. W milczeniu nalała kawę. Lewis, wyraźnie skrepowany, siedział na brzeжку fotela. Podała mu filiżankę, unikając jego wzroku.

- To na nic - przerwał po niedługim czasie ciężkie milczenie.

- Nie uda nam się dzisiaj rozmawiać o pacjentach. Może jutro. Dobranoc.

Szybko odstawił nie dopitą kawę, wstał i ruszył ku drzwiom. Patrząc na jego nienaturalnie wyprostowane plecy, poczuła się jakby powtórnie odtrącona. Jego twarz, której nie mogła widzieć, nosiła zapewne ten sam zacięty wyraz, z jakim przed chwilą odsunął ją od siebie w kuchni. Czekała, aż odjedzie, po czym zgasiła światło nad wejściem.

- Niech go diabli! - powiedziała na głos. - Niech go diabli!

- powtarzała raz po raz na różne tony, aż przekleństwo zmieniło się w obsesyjną melodię.

Sądziła, że zdołała już Lewisa trochę poznać i że nawiązali przyjacielskie stosunki, a dziś okazało się, jak mało o nim wie. Tak samo zresztą jak o sobie. Była zrozpaczona i upokorzona swoją reakcją na niedawne zbliżenie. Nie tylko złamała daną sobie obietnicę, by nie ulegać urokowi Lewisa, ale po tym wydarzeniu nadal za nim tęskniła.

Powlokła się w końcu do łazienki i zmyła z twarzy ślady teź. Narzuciwszy długą koszulkę, która służyła jej za nocną koszulę, wyniosła do kuchni filiżanki z nie dopitą kawą i wstawiła je do zlewu. Jutro pozmywa. Potem popatrzyła na kocia rodzinę, śpiącą spokojnie w nowym koszyku. Tym to dobrze, pomyślała. Niczego sobie nie komplikują. Po prostu żyją życiem, do którego stworzyła je natura.

Z trudem oderwała się od kojącego widoku puchatych, wtulonych w siebie stworzeń i poszła do sypialni, mając nadzieję, że szybko zaśnie. Na nadejście upragnionego snu musiała jednak czekać do świtu.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Przez następne dni była szalenie zajęta i nie miała czasu myśleć o czymkolwiek prócz pacjentów. Na szczęście Lewis zdawał się jej unikać, a i ona, widząc go z daleka, szybko schodziła mu z drogi. Jednocześnie coraz bardziej zamykała się w sobie. Zaniechała nawet dawnych pogawędek z recepcjonistkami, całą energię poświęcając pracy.

Codziennie jednak znajdowała czas na bodaj krótką wizytę u Trefora. Wchodząc, witała panią Reynolds miłym uśmiechem i przez cały czas pobytu u starego doktora starała się zachować promienną twarz. Jego stan trochę się poprawił. Badania wykluczyły anemię, więc Lewis zapisał mu tylko mocną dawkę żelaza i zalecił dalszy wypoczynek. Apatię przypisywano zaawansowanemu wiekowi.

- Co by pan powiedział na krótkie wakacje? - zagadnęła Eryl.

- A po co? I tak jestem cały czas na wakacjach! Jeśli tylko uroczą pani zechce zajrzeć do mnie od czasu do czasu, niczego więcej mi nie trzeba - dodał z uwodzicielskim uśmiechem. - Jest pani dla mnie prawdziwym Lnwk.

- Myślałam, że język walijski nie ma dla mnie tajemnic - zaśmiała się - ale o Lnwk nie słyszałam. Co to, na Boga, znaczy?

- Bo to nie po walijsku, ale po angielsku. Skrót od „Lekarstwo na wszystkie kłopoty”.

- Trzymają się pana dowcipy - powiedziała, czule ściskając mu rękę.

- Nie mam, niestety, dzieci - rzeki - ale myślę, że gdyby los obdarzył mnie córką, byłaby podobna do ciebie.

Ucałowała go z radości w policzek.

- Dzięki za miłe słowa - powiedziała. - Muszę już iść. Ale proszę dużo wypoczywać. Żadnych tańców z panią Reynolds!

Jej wizyty były zawsze krótkie. Bała się, że jeśli dłużej przy nim posiedzi, bystry lekarz wyczuje trawiące ją koszmary i zapyta o przyczynę. A tak przypisze brak czasu nadmiarowi zajęć.

Jednakże zmianę w jej zachowaniu dostrzegły recepcjonistki. Pewnego dnia zauważyła, że rzucają jej ukradkowe spojrzenia i w końcu Betty Williams spytała, czy coś jej dolega.

- Skąd to pytanie? - próbowała się wykręcić.

Glynis Jones karcąco trąciła Betty łokciem i patrząc na Eryl z wyrazem macierzyńskiej troski, wybąkała:

- Przepraszam, kochana, naprawdę nie chcemy się wtrącać, ale jest pani taka mizerna i... bo ja wiem? Zasmucona. Czy to z powodu doktora Dillona?

Eryl z ulgą podchwyciła jej sugestię.

- Chyba tak - odparła. - Wiem, że nie należy się zamartwiać, bo to podkopuje siły, ale co robić?

Gorzej poszło z Nerys, która następnego dnia po dyżurze swoim zwyczajem zagadnęła ją prosto z mostu:

- Co ma znaczyć ta smutna, blada twarz? Chciałabyś porozmawiać od serca?

- Dziękuję za dobre chęci - przestraszyła się Eryl - ale jestem bardzo zajęta.

- Przyjęłaś już wszystkich pacjentów.

- Tak, ale mam jeszcze wizyty domowe.

W tym momencie z sali zabiegowej wyszedł Lewis, pytając poirytowanym głosem, skąd mają tyle czasu na pogawędkę.

Glynis znacząco podniosła brwi i szybko zatopiła nos w papierach, Nerys zaś skwitowała jego słowa sarkastycznym uśmie-

chem i równie szybko wyszła. W oczach Lewisa widniała złość. Po raz pierwszy od kilku dni on i Eryl spotkali się oko w oko.

- Czy mogłabyś zajść do mnie do gabinetu? - zwrócił się do niej po krótkim milczeniu. - Chciałbym z tobą porozmawiać.
- Przepraszam, ale jestem okropnie zajęta. Może później?
- Żadne później. Teraz.

Chciała zaprotestować, lecz widząc jego wzburzenie, postanowiła uniknąć awantury. Miała nadzieję, że rozmowa będzie dotyczyła pacjenta, którego chciał jej przekazać. Gdyby próbował sprowadzić ją na bardziej osobiste tory, powie mu po prostu, żeby się odczepił, i pójdzie sobie! Proszę, proszę, mów o zawodowych sprawach, modliła się w duchu, patrząc, jak Lewis podsuwa jej krzesło, a sam siada za biurkiem. Wreszcie odetchnęła z ulgą, kiedy podjął sprawę opornego pacjenta. Chodziło o niejakiego Davida Morlanda, który jakiś czas temu osiedlił się wysoko w górach w przyczepie samochodowej.

- To wielki dziwak. Wygląda na pięćdziesiątkę, chociaż ma tylko trzydzieści pięć lat - relacjonował Lewis. - Podobno przyjechał tu kiedyś z całą grupą turystów, którzy wkrótce wyjechali, a on został.

- Czy uzgodniłeś z nim zmianę lekarza?
- Próbowałem, ale nie sposób się z nim dogadać. Myślę, że z kobietą chętniej porozmawia.

Ciekawe, pomyślała. Czyżby Lewis przewyciężył swój anty-feminizm? A może chce się nią posłużyć jako przynętą, na którą biedak da się wreszcie złapać?

- Chciałabym wiedzieć, dlaczego chcesz się go pozbyć.
- Z wielu powodów - odparł niepewnie.
- A na co jest chory? - spytała.
- Nie zgadniesz: na niestrawność!

Miała ochotę parsknąć śmiechem, ale się powstrzymała. Lewis sposepniał i mierzył ją złym, zimnym spojrzeniem. Chce mnie sprowokować, pomyślała, ale mu się nie dam.

- W takim razie złożę mu wizytę. Czy mogłabym się zapoznać z historią jego choroby?

- Oczywiście. Ale pojedziemy razem.

- Po co?

- Bo tak. Pojadę z tobą, i już.

Co za dziwadło! Najpierw wymyśla sobie, że tajemniczy pacjent ulegnie kobiecym wdziękom, a potem bierze na siebie rolę staromodnej przyzwoitki. Czy ten Lewis naprawdę musi każdą rzecz tak okropnie komplikować?

- Kiedy chcesz jechać?

- Natychmiast.

- To niemożliwe. Mam popołudnie zajęte wizytami.

- No to trochę się spóźnisz. Niech Glynis zadzwoni do pacjentów, a w razie czego przełoży część wizyt na jutro. Bardzo mi na tym zależy.

- Muszę się przygotować! - broniła się Eryl. - Jak mam rozmawiać z człowiekiem, którego nie widziałam na oczy i o którego zdrowiu nic nie wiem?

- Daj spokój! Mówisz jak histeryczka.

Co za bezczelność! Gdzie się podziała przyjaźń, a nawet serdeczność, jaką jeszcze tak niedawno jej okazywał? Czy wyrzucił to wszystko z pamięci? Widocznie tak.

- No dobrze - odparła spokojnie. - Opowiesz mi o nim po drodze.

- Dzięki. Pojedziemy moim samochodem.

- Jak chcesz. Znasz drogę lepiej niż ja.

Kiedy podeszli do jego auta, Lewis otworzył jej drzwi i poczekał, aż usiądzie. Dopiero później zajął miejsce za kierownicą. Zamiast jednak ruszyć od razu, sięgnął do schowka i wyjął kanapkę z jajkiem i rzeżuchą, podzielił ją i jedną część wręczył Eryl.

- Co za przezorność! - zauważyła ironicznie.

- To konieczność. W Szkocji też zdarzają się bezładne rejoy-

ny. Tam nikt nigdy nie wybiera się w drogę bez prowiantu. Nigdy nie wiadomo, co może się zdarzyć.

Po pewnym czasie zjechali z szosy w nie znaną Eryl górską drogę, która wznosiła się serpentynami coraz wyżej, aż dotarli do miejsca oddalonego od wszelkich ludzkich siedzib.

- Twój pacjent lubi żyć na łonie przyrody - odezwała się - ale dlaczego nie ustawił przyczepy na przeciwległym stoku doliny, gdzie miałyby przynajmniej ciepłą wodę i sklepik w pobliżu?

- Bo jest samotnikiem. Nie wiem nawet, jakim cudem udało mu się zarejestrować w lecznicy.

- Powiedz mi wreszcie, kim on jest i co robi w tej głuszy?

- Na pierwszy rzut oka sprawia wrażenie dzikusa. Jest jednak bardzo wykształconym człowiekiem, literaturoznawcą z tytułem doktora. Podobno wykładał na uniwersytecie, ale rzucił pracę.

- A z czego żyje?

- Pisuje recenzje dla jakiegoś wydawnictwa.

- Jak on to organizuje? Musi się przecież z nimi porozumiewać, wysyłać i odbierać teksty, i tak dalej!

- Nie mam zielonego pojęcia. Tobie powie na pewno mnóstwo rzeczy, których nie potrafiłem z niego wyciągnąć - odparł z żałościem bezradną miną i Eryl zrobiło się go żal.

- Bardzo dał ci się we znaki? - spytała.

- Sam jestem sobie winien - odparł. - W pewnym momencie straciłem cierpliwość i od tej pory nie chce ze mną gadać.

Lewis zaparkował samochód w miejscu, gdzie zaczynała się wyboista ścieżka, na której końcu stała turystyczna przyczepa podobna do cygańskiego wozu. Eryl miała wrażenie, że obok niej zobaczy pasącego się na polanie konika, tymczasem ujrzała stary i zdezelowany model BMW, który dawno temu utracił wszelkie znamiona symbolizowanego przez tę markę prestiżu.

Wysiadła z auta i podniosła głowę, wciągając w płuca ostre, górskie powietrze. Po niebie płynęła niesiona ciepłym prądem

para mysołowów. Z przyjemnością obserwowała ich swobodny, to wznoszący się, to znów opadający lot. Poczwała się o wiele lepiej. Prócz trzepotu skrzydeł wzbijającego się w niebo skowronka i szmeru wiatru w zaroślach nic nie zakłócało panującej wokół ciszy.

- Zazdroszczę temu człowiekowi - oznajmiła i spojrzała na Lewisa. Miał dziwny wyraz twarzy: pełen napięcia, uważny i skupiony, jakby chciał przeniknąć jej myśli, a jednocześnie pełen trudnych do określenia uczuć.

- Lubisz te góry, prawda? - powiedział w końcu. - Są dla ciebie czymś więcej niż turystyczną atrakcją. Na czym to polega? Sprawiasz wrażenie, jakbyś stanowiła ich część.

Eryl roześmiała się, zakłopotana.

- Bo chyba nią jestem. Nadal do nich należę, choć tak długo mnie tutaj nie było.

Nie przestawał jej się przypatrywać.

- Zazdroszczę ci tego, że potrafisz zazdrościć Morlandowi - rzekł wreszcie.

- A cóż to ma wspólnego z Morlandem? Góry należą tak samo do nas, jak do niego!

- Nie wiem - odparł sceptycznie. - We mnie budzą lęk. Patrząc na nie, myślę przede wszystkim o niebezpieczeństwach, jakimi grożą tym, którzy nie okazują im dosyć szacunku.

Eryl dostrzegła kątem oka jakiś ruch i spojrzała w stronę przyrzepy. Zza uchylonych drzwi wyrżał mężczyzna ubrany w dżinsy i podarty sweter. Jasne, sięgające ramion, potargane włosy otaczały szarą, wynędzniałą twarz.

Czy on zawsze tak wygląda? - zdziwiła się w duchu. Nawet z daleka sprawia wrażenie człowieka bliskiego zawału serca albo może cierpiącego na wrzody żołądka. Wspomniana przez Lewisa niestrawność nabrała nagle innego znaczenia. Mężczyzna tymczasem przyglądał im się z rosnącym niezadowoleniem.

- Chodźmy - powiedziała. - Zobaczmy nas.

Ruszyli leśną ścieżką, wymijając po drodze skubiące trawę owce.

- Dzień dobry! - zawołała Eryl życzliwym tonem.

Mężczyzna nie odpowiedział, nadal mierząc ich niechętnym wzrokiem. Lewis oficjalnie przedstawił mu Eryl, na co jeszcze bardziej się wykrzywił.

- Czy to ma być oficjalna wizyta lekarska? - zapytał. - Nie przypominam sobie, żebym o nią prosił.

- To prawda - odparł Lewis pojednawczo - ale byłbym wdzięczny, gdyby zechciał pan z nami chwilę porozmawiać.

- Nie mam czasu. Proszę mi wybaczyć, ale muszę państwa pożegnać.

Kulturalny sposób mówienia dziwnie kontrastował z jego żebraczym wyglądem, choć jednocześnie jego głos brzmiał nieprzyjemnie, a nawet wrogo. Lepiej z nim nie zadzierać, pomyślała Eryl. Tymczasem niegościnnie gospodarz, widząc, że goście nie zamierzają się oddalić, zniknął we wnętrzu wozu, zatraskując za sobą drzwi. Lewisowi puściły nerwy, podbiegł i zaczął walić pięścią w ścianę przyczepy.

- Do cholery, czy nie potrafi się pan zachować jak normalny człowiek? - krzyczał poirytowany. - Oiciałem tylko, żeby pan poznał naszą nową lekarkę.

Nic dziwnego, że facet nie przepada za Lewisem. Jeśli tak wyglądają ich kontakty, mogłoby kiedyś, nie daj Boże, dojść nawet do rękoczynów. Ładnie by wyglądała lecznica w Dynas! Wyobraziła sobie, co by się działo - ciąganie Lewisa po sądach, nie mówiąc już o przykrościach, na jakie proces naraziłby biednego doktora Dillona. Zebrała się więc na odwagę, podeszła do przyczepy i ostro zapukała do drzwi.

- Jak panu nie wstyd, panie Morland! - zawołała. - Jeśli będzie się pan nadal zachowywał w tak nieokrzesany sposób, będziemy zmuszeni...

Nim zdołała dokończyć, drzwi uchyliły się i mężczyzna wy-

sunął głowę. Musiała odskoczyć w tył, żeby się z nim nie zde-
rzyć. Ujrzała przed sobą parę błękitnych oczu, które tym razem
patrzyły z wyraźnym ubawieniem.

- Do czego, łaskawa pani? - zapytał sarkastycznie.

Niech sobie nie wyobraża, że tak łatwo zbije mnie z pantały-
ku, pomyślała mściwie. Przybierając surowy ton, oświadczyła:

- Uprzedzam, że mamy pełne prawo skreślić pana z listy
pacjentów. Pan może się oczywiście odwołać do izby chorych,
zważywszy jednak na to, że doktor Lewis ma świadka, a pan nie,
pańska skarga nie odniesie skutku.

Wprawdzie zamiar nastraszenia opornego pacjenta wyraźnie
się nie powiódł, niemniej jego nastawienie zmieniło się diame-
tralnie. Miejsce ponurej miny zajął szeroki uśmiech.

- Brawo, pani doktor! - zawołał, omiatając ją tak bezczelnie
taksującym wzrokiem, że Eryl poczuła, jak na twarz występują
jej rumieńce. - Nie tylko urodziwa, ale bystra i odważna. Gra-
tuluję odwagi!

- No proszę! Groźny Morland godzi się jak baranek na zmia-
nę lekarza - powiedział Lewis w drodze powrotnej. - Nie mó-
wiłem, że twoja obecność ułatwi sprawę?

- Jak myślisz, czyje krzyki bardziej go przekonały, twoje czy
moje? - spytała rozbawiona.

- Ani jedno, ani drugie. Wystarczyło, że cię zobaczył. Podo-
bno był kiedyś kobieciarzem.

- Czy to znaczy, że przy każdej wizycie zamierzasz mi to-
warzyszyć?

- Nie licz na to. Po co ci przyzwoitka?

Rzeczywiście, po co?

- A więc dziś uparłeś się jechać tylko...

- Na wszelki wypadek. Muszę przyznać, że przede wszy-
stkim ze względu na siebie. Byłem pewien, że w twojej obec-
ności nie odważy się rzucić na mnie z pięściami, jak poprzednio.

Eryl aż podskoczyła ze złości.

- Jak mogłeś mnie narażać na coś podobnego!
- Nic ci nie groziło ani nie grozi - odparł spokojnie, co jeszcze bardziej ją rozgniewało.
- Skąd ta pewność?
- Morlandowi wiele można zarzucić - odparł wesoło - ale wobec kobiet zachowuje się nienagannie.

Wyjechali na prowadzącą do lecznicy szosę, lecz po krótkiej chwili Lewis znów skręcił w równoległą do poprzedniej, górską drogę.

- Dokąd mnie wieszysz? Muszę wracać - zaprotestowała.
- Nie bój się! Nie porzucę cię samej w lesie. Jedziemy nie znaną ci drogą na farmę. Chcę sprawdzić, jak działa nowy lek, który przepisałem staremu Pughowi. No i namówić go, żeby zgodził się wreszcie pójść do specjalisty. A ty będziesz miała okazję zobaczyć swoją przyjaciółkę.

- Niezła myśl. Może nawet wyżebrzemy po filiżance herbaty
- odparła, po raz pierwszy tego dnia odzyskując dobry humor.

Farma sprawiała wrażenie opuszczonej. Brak furgonetki o niczym jeszcze nie świadczył; mężczyźni często jeździli nią do wioski. Niepokojąca jednak była absolutna cisza panująca w obejściu, a także to, że cztery psy na widok przybyszów nawet nie podniosły łbów. Eryl zaniepokoiła się nie na żarty.

- A gdzie dwa pozostałe? - spytała na głos.
- Dwa co?
- Psy. Mają sześć psów, które parami pilnują owiec.
- Pewnie jedna para jest gdzieś w górach na pastwisku razem ze starym i jego synami - odparł Lewis.
- O lej porze? Owce powinny już dawno wrócić do zagrody
- wyjaśniła. - Coś musiało się stać.
- Zamiast wyobrażać sobie Bóg wie co, zajrzyjmy do domu
- zaproponował Lewis.

Weszli do środka przez otwarte drzwi i obeszlili cały dom.

Zajrzeli nawet do sypialni na piętrze, ale nigdzie nie spotkali żywego ducha. Najdziwniejsze było to, że kuchenny stół był nakryty do kolacji. Na białym obrusie stały talerze i filiżanki, koszyk świeżo pokrojonego chleba, a nawet masło i słoik truskawkowego dżemu. W zawieszonym nad torfowym paleniskiem kotle gotowała się woda. Wyglądało to tak, jakby w momencie zasiadania do kolacji cała rodzina gdzieś się nagle ulotniła.

- Nigdy, odkąd ich znam, dom nie był pusty - oświadczyła.
- Musiało się zdarzyć jakieś nieszczęście.

Wyszli na podwórze, gdzie nadal drzemały osowiałe psy. Nagie w oddali ozwało się przenikliwe wycie, a po nim zajadłe szczekanie. Wszystkie cztery psy podniosły się i z opuszczonymi ogonami ruszyły w kierunku hałasu.

- Widzisz? One coś czują.

Podążając śladem psów, minęli mleczarnię i oborę, potem zagrodę do strzyżenia owiec i wpuszczone w ziemię poidło. Zatrzymali się dopiero przed furtką, która prowadziła na położoną na stoku łąkę. Eryl zawahała się, bo łąka była dawno skoszona i nie spodziewała się nikogo na niej zastać. Kiedy jednak wyteżyła wzrok, na drugim krańcu pola dostrzegła jakby stos ubrań, a obok leżące płasko na ziemi dwa owczarki, które musiały wyczuć obecność zbliżającej się niechętnie czwórki swych pobratymców, bo podniosły łby i zawyły przeciągle, zupełnie jak wilki. Eryl poczuła na plecach dreszcz. Dopiero potem zauważyła, że obok psów klęczą jacyś ludzie i krzyknęła po walijsku:

- Co się u was dzieje?

Z pola podniósł się Gwillim i, również po walijsku, odpowiedział na jej wołanie.

- To stary Gareth. Coś go przywaliło - przetłumaczyła Lewisowi Eryl.

Popędzili przez łąkę. Pani Pugh klęczała obok męża, który leżał na ziemi, przykryty kurtkami synów. Lewa noga farmera

uwieźła w szczelinie między dwoma wielkimi głazami. Miał szarą, wykrzywioną bólem twarz. Eryl dopiero po chwili spostrzegła, że ze zranionej ręki sączy się krew.

Lewis natychmiast zabrał się do roboty. Rozluźniwszy sznurrowadło, próbował bezskutecznie oswobodzić stopę z buta. Potem chciał ją obmacać, ale przy pierwszym dotknięciu Gareth jęknął z bólu i Lewis szybko cofnął ręce.

- Jak to wygląda? - spytała Eryl.

- Nie najlepiej. Nie chcę go niepotrzebnie męczyć, a na oko nie sposób stwierdzić, czy noga jest złamana czy nie. - Uśmiechnął się uspokajająco do leżącego na ziemi farmera, po czym oznajmił: - Najpierw dam panu środek na uśmierzienie bólu, a potem pomyślimy, co dalej.

Poprosił Eryl, żeby nie odstępowała biedaka, dopóki nie wróci z lekarską torbą, a na odchodnym spytał panią Pugh, gdzie jest reszta rodziny.

- Llew i Ellen pojechali do sąsiadów, którzy mają telefon - wyjaśnił Gwillim po angielsku. - Ellen wezwie pogotowie, ale boję się, że karetka tu nie dojedzie.

- Nie macie w domu telefonu? - zdumiał się Lewis.

- Nie. Tata nie lubi telefonów.

Rzuciwszy Eryl wymowne spojrzenie, Lewis poszedł do samochodu, ona tymczasem robiła, co mogła, żeby staruszkowi choć trochę ulżyć w cierpieniu. Podłożyła mu pod głowę zwiniętą w wałek kurtkę i otrzymaną od pani Pugh chusteczką obwiązała zranioną rękę.

- Jakiś bezpański pies zaatakował owce i Gareth chciał go przegonić, ale pies rzucił się na niego i ugryzł w rękę - mówiła po walijsku pani Pugh. - Gareth w końcu go przepędził, ale zgubił po drodze swój kij i wracając, pośliznął się. No i widzisz, jakie z tego wyszło nieszczęście.

Eryl objęła starą kobietę, starając się dodać jej otuchy. Po chwili spytała:

- Czy mąż był szczepiony przeciw tężcowi?
- Nie wiem. To ważne?
- Oczywiście. Ale proszę się nie martwić, zajmiemy się tym, jak tylko uda się go stąd zabrać.

Eryl nie miała pojęcia, co można zrobić, żeby uwolnić farmera z potrzasku, starała się jednak swoich obaw nie okazywać. Tymczasem wrócił Lewis, więc powiedziała mu o bezpańskim psie i ewentualnym braku szczepienia.

- Pomyślmy o tym w swoim czasie - odparł Lewis. - Teraz trzeba mu przede wszystkim podać środek znieczulający. - Wyjął strzykawkę oraz fiolkę z lekką dawką morfiny, po czym poprosił Eryl, aby przytrzymała rękę pacjenta i podciągnęła rękaw koszuli. - Wszystko będzie dobrze, panie Pugh. - Uśmiechnął się do niego, wypuszczając ze strzykawki powietrze. - Poczujecie lekkie ukłucie, ale ból szybko powinien mijać.

- Jak go uwolnić? - spytała Eryl Lewisa po wykonaniu zastrzyku. - Stopa siedzi tu jak w potrzasku.

Lewis przyjrzał się dokładnie leżącemu na ziemi farmerowi, po czym okrzyknął mniejszy z dwóch głązów, między którymi uwięzła stopa. Po chwili namysłu spojrział na Eryl ze spokojem, który dodał jej otuchy.

- Damy sobie radę - uznał. - Z Gwillimem.

Domyślny Gwillim pobiegł na podwórze po dwie łopaty, Lewis zdjął tymczasem marynarkę i zakasał rękawy, po czym obaj zaczęli podkopywać mniejszy głąz. Pracowali ciężko przez jakiś czas, sapiąc z wysiłku i ocierając pot z czoła.

Eryl przyglądała się temu w zadziwieniu. Nie przypuszczała, że Lewis jest tak silny i sprawny. Z przyjemnością obserwowała jego harmonijne i celowe ruchy. Zupełnie jakby był z zawodu robotnikiem, a nie lekarzem. Przypomniała sobie, że był przecież w Afryce, gdzie musiał pewnie pracować w trudnych warunkach, może nawet w strefie tak często nękających ten kontynent konfliktów zbrojnych. Nigdy jednak o tym

nie opowiadał, a jej nie przyszło do głowy spytać, jak to wyglądało.

Mimo wysiłków obu mężczyzn nie była pewna, czy zdoła ją poruszyć głaz, który od stuleci spoczywał w tym samym miejscu i zapadł się głęboko w ziemię. Nagle jednak drgnął na tyle, że Gwillim zdołał zatopić ręce w wykopanym dole, a tymczasem Lewis napierał z drugiej strony i głaz wreszcie się poruszył.

- Dzięki Ci, Boże - szepnęła pani Pugh, patrząc, jak Lewis uwalnia nogę jej męża z kamiennej pułapki.

- Wracajmy do domu - powiedziała Eryl, obejmując kobietę ramieniem. - Należy się pani filiżanka mocnej herbaty.

- Nie, nie. Muszę tu zostać. Jak przyjedzie ambulans, muszę im podziękować i powiedzieć, że nie są już potrzebni.

- Ależ co pani mówi? - przeraziła się Eryl.

- Przecież Gwillim i doktor Lewis już wszystko zrobili.

Eryl poszukała wzrokiem Lewisa i rzuciła mu bezradne spojrzenie. Zauważył to i podszedł do niej.

- Coś nie tak? - zapytał.

- No właśnie - odparła z westchnieniem i powiedziała, że pani Pugh zamierza odesłać karetkę.

- Wszystko będzie dobrze - uspokoił ją, po czym z tym samym łagodnym uśmiechem, z jakim zwracał się do pana Pugh, wyjaśnił jego żonie: - Nie, moja droga, nie możemy odsyłać karetki. Muszą go zabrać do szpitala, żeby prześwietlić nogę i zrobić badania. Przeżył ciężki szok. Być może trzeba będzie zatrzymać go parę dni na obserwacji.

- Do szpitala!? - z rozpaczą wykrzyknęła kobieta, a Eryl zdała sobie poniewczasie sprawę, jak okropnie musiała na nią podziałać sama wzmianka o szpitalu.

Wiejskim ludziom, zwłaszcza starszego pokolenia, szpital kojarzył się wyłącznie ze śmiercią. To, że Gareth był już kiedyś w szpitalu w Swanton po przygodzie z bykiem, bynajmniej

tego przeświadczenia nie zmieniło. Pani Pugh zapewne uznała po prostu, że tamtym razem wyjątkowo mu się upiekło. Nadal o szpitalu nie umiała myśleć inaczej jak ze strachem. Widząc na twarzy Lewisa zniecierpliwienie, odciągnęła go na bok.

- Zostaw to mnie - powiedziała. - Niech się trochę uspokoi. Pogadam z nią przy herbacie i wszystko się ułoży. Obiecuję.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Pani Pugh jeszcze trochę się opierała, **ale** w końcu zgodziła się pójść z Eryl do domu.

- Herbatę znajdziesz w puszcze nad kuchnią - poinformowała. - Zresztą sama dasz sobie radę. Od twojego wyjazdu z Dynas prawie nic się w tym domu nie zmieniło.

I rzeczywiście. Pili nawet ten sam co dawniej gatunek herbaty. Żadne nowoczesne wymysły w rodzaju herbaty w torebkach nie miały na farmę wstępu. Eryl rozpoznała nawet wyszorowane do połysku, srebrne siteczko. Nalała z wiszącego na łańcuchu kociołka trochę wrzątku do glinianego czajnika, żeby go ogrzać, po czym wylała wodę do zlewu, nasypała do czajnika kilka czubatych łyżeczek herbaty, zalała herbatę gotującą wodą i odstawiła na brzeg kuchni, żeby naciągnęła.

- Widać nie zapomniałaś, jak się u nas pije herbatę - zauważyła stara kobieta i na jej twarzy pojawił się cień uśmiechu.

- Nie. To pani chyba zapomniała, co zawsze mówiłam o szkodliwości zbyt mocnej herbaty.

- Każdy ma swoje słabości, kochana - westchnęła pani Pugh. - Ale przynajmniej nikt nigdy w tym domu nie tknął alkoholu.

Chociaż mówiła to bardzo poważnie, to jednak na jej twarzy pojawił się lekko przekorny uśmiech, który Eryl pamiętała z dawnych czasów, uznała to więc za dobry znak i po krótkiej chwili, gdy podała herbatę, zaczęła opisywać zalety szpitala w Swanton.

- Ale *co* biedny Gareth *pocznie tam* beze mnie? - odparła pani Pugh. - Jestem mu potrzebna. Tamtym razem oboje byliśmy

młodzi i mogłam go codziennie odwiedzać. Teraz nie dam rady jeździć każdego dnia taki kawał.

Ach, więc to stąd bierze się jej sprzeciw? - pomyślała Eryl. Skoro tak, to na pewno znajdzie się jakieś wyjście. Eryl nie znała wprawdzie panujących w szpitalu w Swanton zwyczajów, ale pamiętała, że niektóre szpitale w Anglii zapewniają noclegi najbliższym krewnym, jeśli ci mają trudności z odwiedzaniem pacjentów. Wiedziała wprawdzie, że dotyczy to na ogół matek z małymi dziećmi, ale przecież starszym należą się chyba podobne względy.

- Wcale nie będzie pani musiała codziennie do niego jeździć - oznajmiła. - Jestem pewna, że w szpitalu dadzą pani jakiś pokoik na czas jego pobytu.

Zdawała sobie sprawę z ryzyka takiej obietnicy, ale na razie wołała o tym nie myśleć. Wystarczył jej widok rozpozgodzonej nagle kobiety.

- W takim razie będę musiała zabrać z sobą najpotrzebniejsze rzeczy - oświadczyła pani Pugh energicznie. - Eryl, kochanie, pomóż mi się spakować, dobrze?

- Oczywiście. Ale muszę najpierw wszystko zorganizować. Rozumie pani chyba, że to może trochę potrwać?

- Jasne, że rozumiem. Ale zawsze lepiej mieć wszystko w pogotowiu, kochanie.

Eryl posłusznie pobiegła na górę i spakowała podręczną torbę. Zdażyła zbiec na dół w chwili, gdy na podwórzu wjeżdżała furgonetka z Ellen i Llew, pilotująca podążający ich śladem ambulans. Okazało się jednak, że karetka nie dojedzie na miejsce wypadku, więc dwóch pielęgniarzy ruszyło z noszami na pole. Po chwili Eryl ujrzała ich przez okno i spytała panią Pugh, czy wyjdzie pożegnać męża.

- Nie, kochanie. Jeszcze chwilkę odsapnę. Przecież i tak zaraz do niego pojedę i już przy nim zostanę, no nie?

Na widok starej i słabej, umęczonej kobiety Eryl serce się ścisnęło i przyrzekła sobie za wszelką cenę zapewnić jej gościn-

ne łóżko w szpitalu w Swanton. Wybiegła na podwórze pożegnać starego Garetha w momencie, kiedy Lewis przekazywał załodze ambulansu pisemne instrukcje, prosząc o przekazanie ich natychmiast lekarzowi dyżurnemu.

- No a teraz muszę ułagodzić groźną panią Pugh - rzekł do Eryl, gdy po odjeździe karetki skierowali się do domu.

- To już niepotrzebne - odparła. - Sam się przekonaj.

Zdziwiony zmianą w zachowaniu pani Pugh, Lewis odwołał Eryl na bok, pytając, jak tego dokonała.

- Przekupstwem - odparła wesoło. - Powiedziałam jej, że dostanie w szpitalu pokój gościnny.

Lewis w jednej chwili zmienił się na twarzy.

- Co? Jakim prawem? - wybuchnął. - W Swanton nie mają żadnych pokoi gościnnych.

- Ależ doktorze, musiał pan chyba słysząc o szpitalnych oddziałach dla matek z dziećmi?

- No dobrze, ale u nas nic takiego nie ma. - Kiedy to mówił, jego wzrok padł na spakowaną torbę i zrobił się purpurowy.

- Możesz to od razu rozpakować - rzucił ze złością.

- Doktorze Caswell, proszę nie podnosić głosu - ostro zareagowała Eryl. - Proszę szanować nerwy mojej pacjentki.

- Jakiej twojej pacjentki? Co to ma znaczyć?

- Mówisz, że nie dadzą jej gościnnego łóżka? No dobrze, ale trzeba przynajmniej spróbować. A jeśli się nie zgodzą, poproszę, żeby przyjęli ją jako pacjentkę. Przeżyła ciężki szok, po którym w jej wieku należy się odpoczynek w szpitalu.

Lewisowi twarz pociemniała z gniewu. Odwrócił się i ruszył do wyjścia.

- Dokąd się wybierasz, jeśli wolno spytać?

- Do samochodu - rzucił, odwracając się ku niej z tak wściekłym wyrazem twarzy, że Eryl na moment zamarła. - Jadę za karetką wprost do szpitala - oświadczył, cedząc powoli słowa.

- Chcesz mnie tutaj zostawić?

- A dlaczego by nie? Llew na pewno odwiezie cię do domu, jeśli go poprosisz. Zdażysz na popołudniowy dyżur.

- A co z twoimi pacjentami?

- Poproszę Betty Williams, żeby ich uprzedziła, że mogą się spóźnić. A w najgorszym razie ty możesz ich przyjąć!

Eryl była wściekła, ale ze względu na panią Pugh robiła dobrą minę do złej gry. Ellen, która weszła niedawno do domu i słyszała sporą część gwałtownej wymiany zdań, patrzyła na Eryl zdumiona.

- Często robi takie sceny? - spytała.

- Nie. Ale od czasu do czasu miewa swoje humory.

- Skąd mu się to bierze? Taki zdawało by się sympatyczny człowiek!

- Czy ja wiem? Myślę, że ma jakieś kłopoty, o których nie lubi mówić.

- Podobne do twoich, kiedy wyjeżdżałaś z Dynas?

Eryl miała uczucie, że za chwilę się rozpłaczę.

- Ja ich nie ukrywałam. Opowiedziałam ci przecież o Robercie.

- Tyle, ile chciałaś. Na pewno nie wszystko.

- Miałam wtedy dwadzieścia trzy lata i prawie ukończone studia. Ty miałaś trzydzieści lat, kochałam cię jak siostrę i wyznałam ci tyle, ile potrafiłam. Od tamtej pory upłynęły cztery lata i nie zamierzam rozgrzebywać na nowo minionych spraw.

- A on? No, ten doktor. Czy on... Czy nic do niego nie czujesz?

Eryl przyznała w duchu, że nie jest jej obojętny, nie zamierzała jednak w nic się wplątywać. Może to jej wina, ale ma dosyć zawodów i cierpień z powodu mężczyzny.

- Ależ skąd - wyparła się w żywe oczy. - Skąd ci to przyszło do głowy?

- Bo zauważyłam, jak na niego patrzysz. I jak on patrzy na ciebie, kiedy tego nie widzisz. Jest w tobie zakochany, mówię ci, Eryl.

- Głupstwa pleciesz! Lewis jest wdowcem i należy do mężczyzn, którzy nigdy nie zapominają zmarłej żony. Musiał ją bardzo kochać, inaczej już dawno by się ożenił.

Ellen przyjęła jej słowa z powątpiewającym uśmiechem.

- Posłuchaj, Eryl. On się złości dlatego, że mu na tobie zależy, a nie jest pewien, czy odwzajemniasz jego uczucie.

- Zdaje się, że zamiast pracować na farmie, powinnaś się zabrać do pisania romansów! - odcięła się Eryl.

- Ellen ma rację - wtrąciła niespodziewanie pani Pugh, o której istnieniu Eryl zdążyła zapomnieć. - Powiem ci, *merchi cariad*, nie widzisz szczęścia, które masz pod nosem.

W tym momencie w sieni pojawił się Llew, proponując Eryl odwiezienie jej do lecznicy. Żegnając się z panią Pugh, Eryl obiecała sobie zrobić wszystko, co może, aby zapewnić kobiecie miejsce w szpitalu.

Musi też wyrzucić z głowy babskie gadanie Ellen i jej matki na temat Lewisa, który ma być w niej rzekomo zakochany. Co za bzdury! Potem jednak, kiedy siedząc obok Llewa, jechała w dół leśną drogą, słowa matki i córki uparcie powracały w jej pamięci.

Tego popołudnia było niewielu pacjentów i Eryl skończyła dyżur wcześniej. O ósmej zajrzała do Betty Williams, aby dać znać, że jest gotowa przyjmować pacjentów doktora Caswella.

- Kiedy on już dawno wszystkich przyjął - zdziwiła się Betty. - Wyszedł może kwadrans temu.

- Miał przecież pojechać do Swanton. Sam prosił, żebym zajęła się jego pacjentami.

- Ach tak, rzeczywiście, był w Swanton, ale dawno zdążył wrócić. Pewnie zapomniiał ci o tym powiedzieć.

Zapomniiał? Nie sądzę, pomyślała, głośno zaś spytała:

- Nie wiesz, gdzie on może być?

- Pewnie pojechał do domu - zaczęła Betty - chociaż nie...

Zaraz... Tak, wspomniał, że zajrzy na chwilę do doktora Dillona. Może go jeszcze zastaniesz.

Eryl szła do głównego budynku z bijącym sercem, bo choć zamierzała szukać u Trefora rady w sprawie pani Pugh, to jednak obawiała się spotkania z Lewisem już teraz, nie czekając, aż opadną wywołane incydentem na farmie emocje. Chwilę stała pod drzwiami mieszkania Trefora, zastanawiając się, czy nie odłożyć wizyty do jutra. Uznała jednak, iż nie może sprawić pani Pugh zawodu i szybko nacisnęła dzwonek.

Pani Reynolds natychmiast otworzyła drzwi. Ktoś akurat wychodził, a tym kimś okazał się oczywiście Lewis. Trafiła najgorzej, jak mogła.

- A, to znowu ty! - warknął.

- Przepraszam - powiedziała chłodno, wchodząc do przedpokoju i omijając go szerokim łukiem, a następnie pytając z uśmiechem panią Reynolds, czy Trefor nie położył się jeszcze spać.

- Właśnie wybiera się do łóżka, ale panią na pewno będzie chciał zobaczyć. Tylko proszę długo nie siedzieć, dobrze? Jest bardzo zmęczony.

- Radziłbym odłożyć tę pilną wizytę do jutra - wtrącił Lewis, który nadal kręcił się po przedpokoju.

- Doprawdy? A może zadecyduje o tym doktor?

- Jak chcesz - rzucił po chwili wahania, po czym szybko wyszedł, nie mówiąc nawet dobranoc.

Dopiero wtedy spostrzegła, że pani Reynolds patrzy na nią znaczącym wzrokiem.

- Gorzej się czuje? - spytała przestraszona.

- Ależ nie, moja droga. Czuł się wyraźnie lepiej. Miał tylko, że tak powiem, trudną rozmowę. Dlatego jest teraz trochę wyčerpany.

Eryl zrozumiała, o co chodzi. To z Lewisem doktor odbył „trudną rozmowę”.

- Zajrzę tylko na moment - przyrzekła, kierując się do bawialni, gdzie spodziewała się zastać Trefora.

Na jego widok aż wstrzymała oddech. Stary człowiek leżał w fotelu z zamkniętymi oczami i wyrazem wielkiego znużenia na twarzy.

- Dobry wieczór, to ja - szepnęła, podchodząc bliżej i kładąc mu rękę na dłoni. - Przyszłam zobaczyć, jak pan się miewa.

- Jak miło cię widzieć, *cariad* - powiedział czule. - Siądź tu blisko i opowiedz mi twoją wersję sagi rodziny Pughów. To, co usłyszałem od Lewisa, brzmiało niezbyt przyjemnie.

No tak, teraz jest jasne, czego dotyczyła „trudna rozmowa”, której Lewis nie uznał za stosowne oszczędzić choremu.

- To moja wina - wyznała. - Nie powinnam była pochopnie podejmować takiej decyzji i upierać się przy niej.

- Miałaś rację, moja droga - odparł Trefor. - Jeśli jesteś czymś przekonana, nie wolno ustępować. Obiecuj mi tylko jedno, *merchi*.

- Mam wrażenie, że moje wizyty zawsze kończą się jakimiś obietnicami. Co mam przyrzec tym razem? - roześmiała się Eryl.

Trefor rzucił jej porozumiewawcze spojrzenie.

- Obiecuj, że kiedy znów przyjdzie ci do głowy równie dobry pomysł jak ten z panią Pugh, zapytasz wpieryw Lewisa o zdanie. A najlepiej zrób to tak, żeby mu się zdawało, że pomysł wyszedł nie od ciebie, ale od niego.

Eryl trochę się nastroszyła.

- Ale dlaczego? - spytała. - Zresztą jak mogłam się z nim skonsultować, skoro nie było go przy rozmowie?

- Boję się, że wielu rzeczy musisz się jeszcze nauczyć o naszym koledze. Nie jest on łatwym człowiekiem. Jest bardzo zamknięty w sobie, wiele w sobie tłumi. Nie mówiłem ci o tym dotychczas, bo uważałem, że byłoby to niestosowne, ale widzisz, on wiele przeżył.

Eryl siedziała w milczeniu, starając się dopasować tę informację do obrazu człowieka, który w codziennym życiu sprawiał

wrażenie po prostu porywczego. To, co usłyszała teraz od Trefora, zdawało się tłumaczyć zachowanie się Lewisa podczas lunchu u niego w domu.

- Co mu się właściwie przytrafiło? - spytała wreszcie.
- Myślę, że wszystko jakoś się wiąże z jego zmarłą żoną
- odparł po dłuższym namyśle. - Wiele z jej powodu wycierpiał.
- Zdaję sobie sprawę, że nie przyszedł jeszcze do siebie po jej śmierci, ale...

- To nie tylko to, *merchi*. Są jeszcze inne sprawy. Nie mogę jednak o nich mówić, nie nadużywając jego zaufania. Chcę cię tylko prosić, żebyś okazywała mu wyrozumiałość i darowywała na pozór niezrozumiałe wybuchy złego humoru. Może kiedyś on sam wszystko ci opowie.

Eryl poczuła nagle wstyd. Zachowujemy się jak para rozkapryszonych dzieci, a nie dorośli, odpowiedzialni ludzie, do tego lekarze. Jak mogłam się tak unieść? Nie dość, że zirytowałam Lewisa, to jeszcze przysporzyłam zgryzoty temu oto wspaniałemu człowiekowi, który niczemu nie był winien.

- Bardzo mi przykro, że tak się stało - powiedziała cicho.
- Postaram się więcej tego nie robić. Oczywiście pod warunkiem, że Lewis nie uzna naszych stosunków za zerwane.
- Bardzo był zły, kiedy spotkaliście się w holu?
- Jeszcze jak! - odparła.
- Przejdzie mu, bądź spokojna - zaśmiał się Trefor. - Za bardzo mu na tobie zależy.

Eryl nie zdołała się dowiedzieć, jak ma rozumieć to ostatnie zdanie, bo śmiech doktora przeszedł nieoczekiwanie w gwałtowny atak suchego kaszlu, który poważnie ją zaniepokoił.

- Od kiedy to się pojawiło? - spytała.

Doktor, nadal się ksztuśjąc, zdołał jednak wstać z fotela i oświadczyć, że pora iść do łóżka.

- Nie odpowiedział pan na moje pytanie - powiedziała łagodnie, ale stanowczo. - Pytałam o ten brzydki kaszel.

- Ach, to! Od paru dni. Ale to drobiazg. Wystarczą pastylki albo jeszcze lepiej cukierki ślazowe, skoro popadam w starcze zdziecinnienie!

- Czy Lewis coś panu przepisał?

- Nie, a to z tej prostej przyczyny, że w jego obecności ani razu nie zakasłałem.

- Czy mogę mu o tym powiedzieć?

- Zrób, jak uważasz, moja droga - rzekł z uśmiechem. - Ale delikatnie, bardzo cię proszę!

- Przyrzekam - odparła, czując, jak jej serce przepełnia czułość dla tego wspaniałego człowieka.

Niefortunna pod każdym względem wizyta na farmie Pughów przyniosła jeden nieoczekiwany pożytek. Dowiedziawszy się, że farmerzy muszą często jechać daleko do najbliższego telefonu, Lewis wysunął propozycję zaopatrzenia lekarzy z Dynas w zainstalowane w samochodach radiotelefony. Trefor przyklasnął temu pomysłowi i kazał niezwłocznie zamówić niezbędny sprzęt.

Wkrótce potem, gdzieś na początku sierpnia, Trefor poprosił pracowników lecznicy, aby stawili się w jego gabinecie na rozmowę. Było to jego pierwsze wyjście z domu od początku choroby, toteż Eryl bacznie obserwowała, jak wchodzi wolnym krokiem do pokoju i siada za biurkiem. Nie mogła jednak poświęcić mu całej uwagi, bo siedząca obok Nerys z podnieceniem wyznała szeptem, że spodziewa się dziecka.

Eryl poczuła w pierwszej chwili smutek i żal. Oto jak mogło wyglądać jej własne życie, gdyby Robert tak jej nie zawiódł. Szybko jednak zreflektowała się i zdała sobie sprawę, że szczęście młodego małżeństwa sprawia jej autentyczną radość.

- To cudownie! - zawołała. - Czy zostanę matką chrzestną?

- Czy panie już skończyły? - usłyszała nagle głos Trefora.

- Ploteczki będą musiały poczekać na zakończenie zebrania.

- Przepraszam, panie doktorze - zawołała Nerys, obdarzając

wszystkich promiennym uśmiechem, nad którym nie umiała zapanować.

- Co to, moja droga? Masz nam coś ważnego do powiedzenia? - zaciekał się doktor Dillon.

- Tak... No właśnie... Co prawda to dopiero początek, ale chciałam powiedzieć, że Doug i ja będziemy mieli dziecko.

Po tym oświadczeniu o rozpoczęciu zebrania nie mogło być mowy. Wszyscy mówili równocześnie, składając Nerys gratulacje po angielsku i walijsku. Jednemu tylko Lewisowi nie udzieliło się ogólne ożywienie. Siedział sztywno, bez ruchu, z martwym wyrazem twarzy. Nerys też to zauważyła.

- Doktorze Caswell! Nie złoży mi pan gratulacji? - zawołała.

Otrząsnął się, ale z wyraźnym wysiłkiem, jakby słowa pielęgniarki wyrwały go z ponurej zadumy, którą Eryl już nie pierwszy raz u niego zaobserwowała.

- Ależ oczywiście, bardzo się cieszę, proszę przyjąć najlepsze życzenia - powiedział bez przekonania.

Zupełnie jakby myśl o dzieciach była mu wstrętna, pomyślała Eryl. Ale to przecież nieprawda. Mali pacjenci bardzo go lubili, a nastolatkowie wręcz za nim przepadali. Nie zachowywaliby się w ten sposób, gdyby Lewis okazywał im niechęć. Trefor tymczasem spytał:

- Czy to oznacza, moja droga, że musimy poszukać następczyni?

- Tylko na pewien czas - odparła Nerys. - Chciałabym zaraz po urlopie macierzyńskim wrócić do pracy. Matka Douga nie może się doczekać, kiedy przejmie opiekę nad swoim pierwszym wnukiem.

Trefor dopiero teraz mógł rozpocząć zebranie. Najpierw pogratulował Lewisowi pomysłu zaopatrzenia lekarzy w radiotelefony.

- Uważam, że przydadzą się nam wszystkim, także pielęgniarkom. Każdemu z nas może się zdarzyć, że z odległego zakątka gór będzie musiał pilnie wezwać pomoc. Wprawdzie prze-

szkody naturalne, szczególnie w górach, utrudniają czasami uzyskanie połączenia, ale łatwo sobie z tym poradzić; wystarczy poszukać innego miejsca, żeby telefon znów zaczął działać.

- Panie doktorze - wtrąciła Eryl. - Mówi pan o nas w liczbie mnogiej. Czy mamy przez to rozumieć, że wraca pan do pracy?

- Oczywiście. Za długo próżnowałem.

- Bardzo przepraszam, panie doktorze, ale nie wydaje mi się to wskazane - zauważył Lewis. - Nadal nie wyjaśniliśmy przyczyny pana zasztabnięcia i uporczywego osłabienia.

- No to na co czekacie? - poirytowanym głosem zawołał Trefor. - Co robią ci wszyscy pańscy specjaliści? Ciągłe cię zwodzą, wymyślają coraz dziwniejsze diagnozy, które prowadzą donikąd. Czas najwyższy, żeby wziąć ich do galopu.

- Robią, co mogą - odparł Lewis z westchnieniem. - Niestety, diagnoza wciąż im się wymyka.

- A to niby dlaczego? Myślałem, że od moich czasów medycyna poczyniła wielkie postępy. Więc wyjaśnij mi, proszę, dlaczego to tak długo trwa? - Urwał, czekając na odpowiedź Lewisa, a nie otrzymawszy jej, wstał i uderzając pięścią w stół oświadczył: - Powiem ci, dlaczego! Bo tak naprawdę nic mi nie dolega. Postarzałem się po prostu, a wiadomo, że nic tak prędko nie prowadzi starych ludzi do niedołęstwa jak bezczynność!

Po tej przemowie usiadł ciężko, z trudem łapiąc oddech, a po chwili zaniósł się suchym kaszlem, który Eryl już raz słyszała. Wstała, podeszła od tyłu do Trefora i przytrzymała go za ramiona.

- A cóż to takiego, doktorze? Widzę, że coś pan przede mną ukrywa - powiedział zaskoczony Lewis.

Trefor tymczasem próbował się uwolnić z rąk Eryl, a nie mogąc dobrać głosu, nakazał jej ruchem ręki, żeby wróciła na swoje miejsce. Eryl niechętnie posłuchała. Próbował jeszcze

rzucić Lewisowi piorunujące spojrzenie, ale znów zaniósł się kaszlem, który przeszedł w ciche rżenie i Trefor smętnie skapitulował.

- Złapałeś mnie na gorącym uczynku, drogi kolego - przyznał żałośnie. - Nic ci nie mówiłem, bo myślałem, że samo przejdzie.

Ileż to razy, myślała Eryl, każdy lekarz słyszał to samo nie-szczęsne zdanie z ust pacjentów, którzy z niewiadomych przyczyn gotowi są znosić w milczeniu najrozmaitsze dolegliwości, którym, u ich początku, znacznie łatwiej byłoby zaradzić.

Znowu podeszła do Trefora, tym razem, aby pomóc mu wstać.

- Odprowadzę pana do domu - rzekła łagodnie. - Pani Reynolds zrobi panu herbaty i od razu poczuje się pan lepiej.

- Prawdziwie walijskie remedium na wszelkie niedole - zauważył doktor ze złośliwym uśmiechem. - Co my, Celtowie, robilibyśmy bez naszej herbaty?

Tego samego dnia Trefora ponownie odwieziono do szpitala. Tym razem nie do Pandy, lecz wprost do Swanton, gdzie został poddany intensywnym badaniom układu krążenia. Po upływie tygodnia doktor Smith wykluczył jednak możliwość choroby wieńcowej.

Pewnego popołudnia, gdy Eryl wychodziła ze szpitala po odwiedzinach u Trefora, młody lekarz prowadzący poprosił ją o chwilę rozmowy.

- Jest to przypadek wręcz niepojęty - wyznał, dodając, iż kolejna seria badań moczu wykazała normalny poziom cukru. - Nie zamierzamy jednak na tym poprzestać. Porozumiałem się z całym zespołem specjalistów i będziemy prowadzić wszelkie możliwe testy, dopóki nie odkryjemy źródła jego choroby.

Trefora poddano najrozmaitszym badaniom, zalecanym przez specjalistów z różnych oddziałów. Zbadano mu wątrobę, nerki i jeszcze raz krew, ale bez rezultatu. Wykluczono też alergię,

która mogła powodować napady kaszlu. Zresztą, suchy kaszel też trochę się uspokoił. Niemniej ogólne osłabienie nadal nie ustępowało.

- Czy naprawdę nic więcej nie można zrobić? - spytała Eryl później doktora Smitha.

- Nie wiem, co jeszcze można by wymyślić. Mamy wszelkie możliwe badania krwi, prześwietlenia...

- A co wykazało prześwietlenie płuc?

- To dziedzina doktora Hopkinsa. Ja robiłem prześwietlenie serca, a prześwietleniem płuc miał się zająć Hopkins. Gdyby coś wypatrzył, na pewno by mi o tym powiedział.

Jego wyjaśnienie było zbyt wymijające. Eryl wiedziała, że szpital w Swanton cieszy się znakomitą opinią, ale wszędzie zdarzają się niedopatrzania.

- Przyznam się - powiedziała - że najbardziej zastanawia mnie ten dziwny suchy kaszel. Wprawdzie teraz trochę się uspokoił, ale całkiem nie minął. Czy nie sądzi pan...? - Zawahała się, nie chcąc urazić lekarza podejrzeniem, że popełnił błąd w sztuce. On jednak nie poczuł się dotknięty.

- Proszę się nie krępować i mówić wszystko, co pani myśli. Doktor Dillon pierwszy by to pochwalił.

- Widzi pan, zastanawiam się nad płucami. Czy jest pan pewien, że dokładnie im się przyjrano?

Smith patrzył jej milcząco w oczy.

- Pogadam z Hopkinsem - rzucił na koniec. - To znakomity pulmonolog, ale każdy może coś przeoczyć. Ostatecznie klisza nie krzyczy sama, co w niej jest - dodał z lekkim uśmiechem.

Eryl wyszła, nie tracąc nadziei, że mimo wszystko ktoś w końcu rozwikła zagadkę niezrozumiałej choroby doktora Dillona. I że ostateczna diagnoza nie okaże się spóźniona.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Eryl i Lewis regularnie odwiedzali Trefora w szpitalu, ale zawsze o różnych porach. Eryl podejrzewała, że Lewis jej unika i chociaż w lecznicy ich wzajemne stosunki układały się w miarę poprawnie, to jednak starał się jak najmniej z nią przebywać.

Nie było to miłe, ale miało i dobre strony, bo nie musiała się stale mieć na baczności, by przypadkiem go czymś nie urazić. Najgorsze jednak było to, że nie mogła z nim porozmawiać o kłopotach z pacjentami - chociażby z Davidem Morlandem. Ten dziwak i odludek, który początkowo zdawał się słuchać jej zaleceń i gotów był przystać na badania żołądka, podczas ostatniej wizyty ni stąd, ni zowąd odmówił dalszej współpracy. Nie miała pojęcia, co począć.

A przede wszystkim boleśnie odczuwała brak towarzystwa Lewisa. Chciałaby znowu śmiać się z nim i żartować, może nawet wspólnie opiekować się kotami, które lubił nie mniej niż ona.

Wreszcie jednak pewnego dnia zjawili się w Swanton o tej samej porze. Lewis przyjechał zbadać Garetha, bo wprawdzie noga dobrze się goiła, ale lekarz prowadzący potwierdził niegroźne powiększenie prostaty, więc dla uniknięcia komplikacji w przyszłości, namówiono starego farmera na operację.

Po wyjściu od Trefora Eryl również zajrzała do Garetha. Będąc u niego, usłyszała nagle znajomy głos. Na widok rozmawiającego z siostrą oddziałową Lewisa stanęła jak wryta. Nie widzieli się od paru dni. Teraz odwrócił się w jej stronę, jakby wiedziony jakąś magiczną siłą. Patrzył na nią... z irytacją? Chyba tak, ale w jego spojrzeniu mignęło też jakieś inne, bardziej

pozytywne uczucie, bliskie wręcz radości, które jednak natychmiast ustąpiło miejsca zdziwieniu.

- Co tu robisz, na Boga? - spytał podchodząc.
- Pewnie to samo, co ty. Odwiedzam Garetha.
- Przecież nie jest twoim pacjentem!
- Moja wizyta ma przyjacielski charakter - wyjaśniła. -

A poza tym obiecałam odwiedzić panią Pugh do domu.

- Ona przecież tu mieszka! Jeśli dobrze pamiętam, wyszłaś z tej batalii zwycięsko?

Jego słowa uznałaby za agresywne, gdyby nie towarzyszył im żartobliwy błysk w oczach. Podziękowała w duchu nieznanemu bogowi medycyny za ten wszystko łagodzący uśmiech na twarzy Lewisa.

- Owszem, nocowała tu przez jakiś czas, ale kiedy po operacji Gareth zaczął zdrowieć, wróciła do domu. Uznała, że jest tam bardziej potrzebna. A ja czasem ją tu przywożę.

- To gdzie ona jest?

Gareth mruknął coś po walijsku i Eryl roześmiała się.

- Co on powiedział? - spytał Lewis, jak zwykle lekko poirytowany, kiedy mówiono przy nim w języku, którego uparcie nie chciał się nauczyć.

Eryl znów się roześmiała, pogroziła Garethowi palcem, po czym zwróciła się do Lewisa:

- Pani Pugh jest w łazience. Robi się na bóstwo, jak mówi jej mąż. Podobno zrobiła się ostatnio okropnie próżna. Podejrzewa nawet, że znalazła sobie kochanka. Słyszałeś coś podobnego?

- Naprawdę? Wśród tutejszych górali zdarzają się takie rzeczy?

Czy to możliwe, żeby potraktował jej słowa poważnie? W dodatku zrobił tak smutną minę, że instynktownie wyciągnęła do niego rękę. Natychmiast jednak tego pożałowała, bo kiedy palce Lewisa dotknęły jej dłoni, przebiegł przez nią dreszcz. Szybko cofnęła rękę.

- Ależ skąd! Państwo Pugh to porządna, bogobojna rodzina. Jak możesz ich podejrzewać o podobne bezeceństwa?

- Są takimi samymi ludźmi jak inni, a ludzie zdradzają.

Mówił przyciszonym głosem, żeby Gareth go nie słyszał. Ostatnie słowa wypowiedział z taką goryczą, jakby miał na myśli własne, bolesne doświadczenia. W tym momencie wróciła pani Pugh i spytała o zdrowie doktora Dillona.

- Wydaje się, że sytuacja została opanowana - odparł Lewis po krótkim namyśle, posługując się utartą formułką.

Jego odpowiedź uspokoiła panią Pugh, ale na Eryl zrobiła odwrotne wrażenie. Wiedziała, że tak zwykle odpowiadają lekarze, kiedy czują się bezradni. Korzystając więc z chwili, kiedy pani Pugh zaciągnęła zasłonę, by pomóc mężowi zmienić pizamę, zwróciła się do Lewisa:

- A teraz powiedz mi prawdę - zażądała.

- Właściwie nic nie wiem - odparł bezradnie. - Dowiedziałem się tylko, że doktor Hopkins nie zdążył dokładnie obejrzyć prześwietlenia płuc, a potem klisza gdzieś się zapodziała.

- Jak to?!

- Rozumiem twoje oburzenie, ale tak się stało i już! Za parę minut powinno być gotowe nowe zdjęcie. Poczekasz?

- Chętnie, tylko że obiecałam odwiedzić panią Pugh do domu.

- Zaproponuj jej filiżankę herbaty. Niech jeszcze posiedzi chwilę z mężem.

- Jesteś pewien, że nie będę ci przeszkadzać?

Spojrzał na nią wzrokiem tak pełnym tłumionej tęsknoty, że zadała sobie pytanie, dlaczego się przed tym człowiekiem broni.

- Jesteś mi bardziej potrzebna, niż sobie wyobrażasz - odparł po dłuższej chwili.

Spuściła oczy, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Och, gdyby zawsze był tak czuły i miły, w niczym nie przypominał tamtego skłonnego do wybuchów Lewisa! Kiwnęła głową i poszła zamówić dla pani Pugh herbatę.

Po powrocie zastała Lewisa zajętego rozmową z doktorem Smithem i doktorem Hopkinsem. Wieszali akurat na ekranie nowe prześwietlenie płuc Trefora. Lewis przedstawił jej Hopkinsa, który ukloniwszy się, powiesił obok wcześniejszą kliszę.

- Na szczęście udało się ją znaleźć.

Wyjaśnił, że pielęgniarka po prostu włożyła zdjęcie do niewłaściwej przegródki. Następnie poprosił Eryl, by powiedziała, czy dostrzega na zdjęciu coś szczególnego. Już miała rzec, że jej zdaniem wszystko wygląda normalnie, gdy nagle na nowszym zdjęciu dostrzegła nieobecny na poprzednim lekki cień.

- To chyba coś nowego, nie uważa pan? - spytała, wskazując palcem niewielką plamkę.

- Ma pani dobre oko - rzekł z uznaniem Hopkins. - Sam w pierwszej chwili miałem wrażenie, że coś mi się przywidziało.

- Co to może być? Gruźlica czy coś... gorszego?

- Trudno natychmiast orzec. Nie gruźlica, bo tę wykazałoby badanie krwi. I nie wygląda na nowotwór. Podejrzewałbym raczej jakąś szczególną odmianę grzybicy.

- Rzeczywiście, to możliwe! - rzekł Lewis.

- Miał pan z czymś takim do czynienia? - zainteresował się Hopkins.

- Owszem, w Afryce jest to częste - wyjaśnił Lewis, a zwracając się do Eryl, spytał: - Czy w Anglii zdarzają się podobne przypadki?

- Właściwie nie, choć jeden z moich kolegów miał raz pacjenta cierpiącego na grzybicę układową, która zaatakowała płuca. Człowiek ten nabawił się jej w Afryce, skąd pochodził, ale objawiła się dopiero po przyjeździe do Birmingham.

- Coś mi mówi, że to nie może być toczeń gruźliczego pochodzenia, bo badania krwi na to nie wskazują - myślał głośno Hopkins. - Raczej coś, co wprawdzie rzadko, ale jednak zdarza się w naszych okolicach. Gdybym miał zgadywać, postawiłbym dziesięć do jednego, że to *aspergillus fumigatus*, czyli kropidlak

popielaty. Są to paskudne twory, powodujące nacieki w płucach, które z czasem lubią się zasklepić i przypominają gruźlicę. Bardzo podstępne i trudno wykrywalne. Trzeba, rzecz jasna, przeprowadzić dodatkowe badania.

- Jakie? - spytał Lewis.

- To się dopiero okaże - odparł Hopkins. - Jeśli nastąpiło zasklepienie, trzeba przeprowadzić biopsję. Ale sądząc ze zdjęcia, do zasklepienia raczej jeszcze nie doszło. Mam nadzieję, że wystarczy specjalne badanie krwi.

Eryl знаła wymienioną przez doktora Hopkinsa chorobę, nigdy jednak nie miała z nią do czynienia w praktyce. Czemu coś takiego musiało się przydarzyć temu cudownemu Treforowi?

- Jest na to lekarstwo? - spytała drżącym głosem.

- Oczywiście - odparł Hopkins. - Odpowiednia kuracja antybiotykowa powinna to zwalczyć. Nie z dnia na dzień, ale zapewniam panią, że zdołamy go wyleczyć.

Poczuła czyjąś rękę na ramieniu, więc odwróciła twarz i jej zażawione oczy napotkały wzrok Lewisa.

- Trzymaj się! - szepnął. - Trefor nie powinien cię widzieć w takim stanie.

To prawda! Gdzie się podział jej optymizm, jaki zawsze okazywała pacjentom? Zdobyła się na błady uśmiech.

- Trefor nie zobaczy mnie z taką miną. Obiecuję!

- Znakomicie! Łzy zostaw na potem, kiedy wrócisz do domu. Pogadamy, zgoda? Najwyższy czas, nie sądzisz?

Ze Swanton wracali do Dynas osobno. Lewis zdążył na popołudniowy dyżur, natomiast Eryl trochę się spóźniła, bo odwoziła panią Pugh. Jednakże mimo późnej pory, przed wezwaniem pierwszego pacjenta siedziała chwilę sama, usiłując uporządkować myśli. Odkąd Lewis odezwał się do niej dziś w Swanton, znajdowała się w stanie dziwnego rozmarzenia, którego mimo najlepszych chęci nie umiała przezwyciężyć. Wyobraźnia podsuwała jej fantastyczne

myśli i nadzieje, wprawiając ją na zmianę w radosne uniesienie, to znów złość na własną naiwność i głupotę.

Czekało na nią dziś wyjątkowo dużo pacjentów, w większości uskarżających się na lekkie dolegliwości. Starając się każdemu z nich poświęcić należną uwagę, słuchała opowieści o przewlekłych podrażnieniach gardła, przeziębieniach i lekkich bólach głowy, na które wystarczyło zapisać aspirynę. W miarę upływu kwadransów i godzin wizja rozmowy z Lewisem stawała się coraz mniej realna.

Jednakże pod koniec dyżuru zdarzyło się coś, co uważała za rzecz niewyobrażalną w Dynas, chociaż Trefor ją o takiej możliwości ostrzegał. Do gabinetu wkroczyła młoda kobieta z synkiem, którego buzia była usiana krostami, świadczącymi o ospie wietrznej. Przeglądając szybko dane obojga, Eryl zorientowała się, że matka tuż przed chorobą Trefora była u niego z wizytą z powodu kłopotów z gardłem, natomiast Lewis odwiedzał małego w domu.

- Proszę pani - zaczęła Eryl, patrząc surowo na młodą matkę - to bardzo nieroztropnie, że przyprowadziła pani z sobą Jamie'ego. Zdaje pani sobie chyba sprawę, że jego choroba jest bardzo zaraźliwa. Dopóki wypryski nie wyschną i nie pokryją się strupkami, należy dziecko izolować!

- A co miałam robić? Nie miałam go z kim zostawić, a musiałam przyjść, bo gardło tak mnie boli, że nie mogę już dłużej wytrzymać - odparła kobieta.

- Czy mąż nie może się zająć dzieckiem?

- Jestem panną - burknęła kobieta. - Jego ojciec dawno dał nogę.

Eryl lekko się stropiła, a jednocześnie poczuła przypływ współczucia dla samotnej matki. Wszak sama omal nie znalazła się w identycznej sytuacji.

- A pani matka? Czy nie mogłaby zostać z synem, kiedy pani musi coś załatwić?

- Jeśli chce pani wiedzieć, to moja kochana mamusia dała nogę z ojcem Jamie'ego! - Kobieta parsknęła śmiechem, patrząc jednak na Eryl takim wzrokiem, jakby to ona była wszystkiemu winna. - Mogłaby mieć w swoim wieku więcej rozumu!

Eryl nie wierzyła własnym uszom. W Birmingham historie tego rodzaju były na porządku dziennym, ale żeby w cichym Dynas? Zaraz jednak wspomniała własną historię i uświadomiła sobie, że ludźmi wszędzie i zawsze miotają te same namiętności i pokusy.

- Serdecznie pani współczuję - powiedziała, zdając sobie sprawę, że współczucie niewiele może tu pomóc. - Czy zwracała się pani do opieki społecznej?

- Nie będę żebrać o pomoc!

- Więc jak pani sobie radzi? Z czego życie?

- Z tym akurat nie ma kłopotu. Jednego przynajmniej nauczyłam się od matki. Świetnie robię na drutach i wstawiam swoje wyroby do sklepu starego Lloyd'a.

- Ach, więc zna pani starego pana Lloyd'a?

- No pewnie! - Kobieta roześmiała się, jakby już nie pamiętała o krzywdach, jakie ją spotkały. - Przecież to mój pradziadek!

Zdumiona Eryl przyjrzała się uważnie młodej kobiecie i z głębi pamięci wydobyła mglisty obraz trochę rozwydrzonej nastolatki, zawsze otoczonej kręgiem miejscowych chłopaków.

- Czy siedziała pani blisko kogoś w poczekalni? - spytała.

- Nie. Pani Jones chciała mnie zamknąć w izolatce, ale była zajęta i czekaliśmy na dworze. Nie rozumiem, o co robicie tyle hałasu!

- Zaraz pani wytłumaczę - rzekła Eryl ostro. - Ospa wietrzna nie jest groźna dla dzieci, natomiast u dorosłych ma znacznie cięższy przebieg i może nawet spowodować półpasiec.

Kobieta natychmiast spoważniała, jakby w końcu pojęła, do czego może doprowadzić jej postępowanie. Eryl szybko jednak zorientowała się, że dziewczyna myśli wyłącznie o sobie.

- To znaczy, że grozi mi... jak to pani nazwała... półpasiec? Co to takiego?

- Coś znacznie poważniejszego niż ospa wietrzna. Gdyby zauważyła pani na ciele, zwłaszcza w pasie, jakieś wypryski, proszę natychmiast wezwać lekarza do domu.

- Dobrze, pani doktor. Będę uważać.

Eryl umyła ręce, wzięła szpatułkę i poprosiła kobietę o otwarcie ust. Gardło było zaognione, ale bez białych obłóżeń, w przypadku których potrzebny byłby antybiotyk. Zaleciła więc płukanie gardła dostępnym bez recepty środkiem odkażającym, po czym, myjąc ponownie ręce, spytała:

- Czy Jamie dobrze sypia?

- Bardzo mamie, pani doktor. Prawdę mówiąc, oboje źle śpimy - odparła kobieta.

- Wypiszę pani receptę na łagodny środek uspokajający. Niestety, nie mogę dać recepty na płyn do przemywania wyprysków syna, ale proszę, żeby oprócz płynu do płukania gardła kupiła pani w aptece galman. I chyba może pani poprosić sąsiadkę, żeby popilnowała Jamie'ego, kiedy musi pani wyjść z domu?

- W porządku, pani doktor. Słowo! - odparła kobieta, czekając niecierpliwie na wypisanie recepty, którą szybko wepchnęła do torebki i skierowała się ku drzwiom. W ostatniej chwili odwróciła się i powiedziała: - Do widzenia - z tak niezmaconą pogodą, jakby wszystkie przestrogi Eryl kompletnie wyleciały jej z głowy.

Trzeba wreszcie pomyśleć o planowanych wspólnie z Treforem kursach higieny, westchnęła Eryl. To jednak nie powód, żeby zatruwać sobie życie rozważaniami na temat pacjentów, nie mających zielonego pojęcia o różnicy między zakaźną i nie zakaźną chorobą. Na dzisiaj dość. Wyprostowała zmęczone plecy i zaczęła masować skórę głowy. Potem spojrzała na zegarek i głośno westchnęła. Dziewiąta! Lewisa pewno już nie ma w lecznicy.

Odniosła karty do recepcji i wyszła na podwórze. Wydarzenia dzisiejszego dnia kłębiły się jej w głowie, uświadamiając jej, jak bardzo jest wyczerpana. „Lekarzu, ulecz samego siebie”. Kto to powiedział? Któryś z ewangelistów? A może Szekspir? Obojętne - i tak miał rację. Jeśli sama nie zdoła powstrzymać gonitwy myśli, nikt za nią tego nie zrobi.

- Należy mi się odrobina spokoju - powiedziała głośno do siebie, po czym rozejrzała się, czy ktoś przypadkiem jej nie słyszał.

W tym momencie od ściany domu oderwał się cień i omal nie krzyknęła ze strachu. Jednocześnie usłyszała znajomy głos:

- Oprócz spokoju należy ci się kolacja.

- Och, Lewis! Do głowy by mi nie przyszło...

Objął ją, jakby się bał, że upadnie.

- Myślałaś, że zrezygnuję? - Ciepły ton jego głosu podziałał na jej znękanę serce jak balsam. - Kobieto małej wiary!

- Sądziłam, że już dawno straciłeś cierpliwość. Kto mógł przewidzieć, że będę miała aż tylu pacjentów?

- Uwaga! - szepnął, gdyż lekko zachwiała się na nogach. Wyjął jej delikatnie klucz z ręki i otworzył drzwi. - Poczekaj sekundę, zaraz zapalę światło nad wejściem. Aha, nie będziesz miała nic przeciwko temu, jeśli szybko wstawię to do twojej mikrofalówki?

Poczuła rozkoszny zapach.

- Ryba z frytkami? - spytała, czując, jak zmęczenie zaczyna ustępować.

- Zgadłaś. Zdaniem Trefora nic tak nie podnosi na duchu jak dobre jedzenie.

- Więc i ciebie poczęstował swoją ulubioną maksymą?

- Oczywiście. - Wszedł pierwszy do domu, dodając: - Wstawię jedzenie, pokroję chleb i tak dalej, a ty przygotuj kawę.

- Nagle przystanął. - Nie masz mi za złe, że tak się rządzą?

- zapytał.

- Ależ skąd - odparła, sama zdziwiona tym, że jej to nie przeszkadza.

Lampa nad drzwiami oświetliła część podwórza, w tym Księżną, która wyłoniła się z pobliskich krzaków, wesołym pomrukiem powitała Eryl, po czym wbiegła na schody, prowadząc za sobą łańciate potomstwo. Kiedy Eryl weszła do kuchni, Lewis oznajmił:

- Odpocznij, zajmę się wszystkim. Wyglądasz na strasznie zmęczoną. - Uśmiechnął się tak ujmująco, iż darowała mu te rozkazy. - Powiedz mi tylko - dodał - czy Księżna zawsze czeka na ciebie pod drzwiami? Przecież założyłaś dla niej specjalne wejście.

- Ona ma jakiś szósty zmysł. Kiedy długo nie wracam, domyśla się, że na górze nie ma nic do jedzenia, więc czatuje na dole, żeby mi o tym przypomnieć. Nie masz pojęcia, jakie to inteligentne stworzenie. I bardzo czułe.

- Czyli trafiasz jej przez żołądek do serca - skomentował cynicznie. - Kogo mam najpierw nakarmić, ją czy ciebie?

- Zaraz otworzę im puszkę, a potem zajmę się kawą.

Odwróciła się od niego pod pretekstem karmienia kotów, żeby uciec od jego oczu, w których czaiło się tyle najrozmaitszych uczuć: czułość, rozbawienie, niepewność...

Po nakarmieniu kotów zajęła się ekspresem do kawy i nagle w jej pamięci odżył tamten wieczór, kiedy ona się rozpłakała, a Lewis najpierw okazał jej czułość, a potem odepchnął brutalnie, przysparzając cierpień, które już kiedyś przeżyła. Lewis zdążył tymczasem wstawić rybę i frytki do piecyka i zabrał się do krojenia chleba. Eryl patrzyła na jego ręce. Były mocne, a zarazem zręczne i delikatne. Pochwycił jej spojrzenie i zrobił zdziwioną minę.

- Nigdy nie myślałeś o tym, żeby zostać chirurgiem? - spytała pospiesznie.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Po prostu popatrzyłam na twoje ręce.
- Popatrz lepiej, jak grubo pokroiłem chleb. Boję się, że przy stole operacyjnym byłoby podobnie.
Napięcie między nimi wyraźnie opadło.
- Może masz rację - odparła. - Mam posmarować chleb masłem?
- Ani się waż. Ja tu dzisiaj usługuję. Idź do pokoju i siadaj w fotelu. - A widząc jej wahanie, pogroził nożem, mówiąc: - Radzę się nie sprzeciwić!

Kolację jedli w saloniku, trzymając tace na kolanach. Potem Eryl odniosła naczynia do kuchni, skąd po chwili przyniosła kawę i zaczęli rozmawiać. Najpierw Lewis mówił o Treforze, o szansach wyleczenia go, potem o nowym systemie telefonów, a w końcu zapytał Eryl, jak sobie radzi z Davidem Morlandem.

- Dobrze, że o nim wspomniałeś - powiedziała. - Od dawna chciałam z tobą o nim pogadać.
 - Masz z nim kłopoty?
 - Coś w tym rodzaju - westchnęła. - Nie chce słyszeć o badaniach. W życiu nie spotkałam podobnego uparciucha.
 - Ale przecież na początku wszystko szło dobrze?
 - Tak, a potem ni stąd, ni zowąd kazał mi się wynosić.
 - Niemożliwe! Po tym, jak wygrałaś pierwszą batalię, strażąc go skreśleniem z listy pacjentów i tak dalej?
 - No właśnie. Nic z tego nie rozumiem.
- Obrzucił ją zaciekawionym spojrzeniem i nagle spytał:
- Czy on się przypadkiem w tobie...?
 - Co?
 - Zresztą nie wiem. - Długo się wahał, wreszcie się zdecydował: - Czy nie podejrzewasz, że on... hm... mógł się w tobie zakochać?

Eryl zrobiła okrągłe oczy.

- Co ci przyszło do głowy? Nigdy by sobie na nic takiego nie pozwolił. Zresztą, wcale mi nie wygląda na kobieciarza.

- Ale jest wystarczająco inteligentny, żeby wpaść na pomysł zerwania oficjalnego stosunku między pacjentem i lekarką, zanim... się zdeklaruje.

Słowa Lewisa szczerze ją ubawiły.

- Zdeklaruje się! Doprawdy, wyrażasz się jak stara ciotka!

Jednakże Lewis wcale nie wydawał się ubawiony. Odniosła nawet wrażenie, że jest rozdrażniony. A potem nieoczekiwanie posmutniał. Czy to właśnie Trefor miał na myśli, mówiąc, że osobiste przeżycia Lewisa źle oddziaływały na jego psychikę? Czy żona dawała mu powody do zazdrości, jaka przez moment zamigotała w jego oczach?

- Co byś zrobiła, gdyby ci wyznał miłość? Czułabyś się dotknięta? - spytał po długiej chwili.

- Oczywiście, że nie - odparła ostro, chcąc jak najszybciej położyć kres tej dziwnej rozmowie.

Wstała, gotowa wynieść do kuchni filiżanki, zanim jednak zdołała po nie sięgnąć, on także wstał, położył jej rękę na ramieniu i przyciągnął ku sobie.

- Jacy mężczyźni ci się podobają? - spytał cicho, wpatrując się w nią płonąącym wzrokiem.

Czuła się jak sparaliżowana; nie potrafiła się odsunąć, a zarazem bała się dotyku jego rąk, które teraz spoczywały na jej ramionach.

- Już ci mówiłam, że byłam zaręczona. Czy ci to nie wystarczy?

- Nie. To dawna sprawa. A mnie chodzi o twoją przyszłość.

- Co cię obchodzi moja przyszłość? - zawołała ze złością, strząsając jego rękę. - Zostaw mnie w spokoju! Po prostu zostaw mnie w spokoju!

Spodziewała się gwałtownej reakcji, wybuchu gniewu, myślała, że wybiegnie, trzaskając drzwiami. Tymczasem nic podo-

bnego nie nastąpiło. Stał i patrzył na nią bez słowa, jakby usiłował zajrzeć jej w głąb duszy.

- Nie potrafię zostawić cię w spokoju - powiedział w końcu.

- Bo co? Czego się spodziewasz? Że zacznę wyplakiwać się przed tobą z powodu mężczyzny, który kiedyś wydawał mi się bogiem, ale nim nie był? Nie potrzebuję twojego współczucia. Mam to wszystko na szczęście za sobą.

- Jesteś pewna? Czy nie jest tak, że jego wspomnienie nadal cię prześladowuje i nie pozwala ułożyć sobie życia na nowo, bo w gruncie rzeczy nie umiesz się od niego uwolnić?

Czuła, jak jej gniew opada, bo choć chciała zaprzeczyć, to jednak w głębi ducha wiedziała, że Lewis ma rację. Cofnęła się o krok i przysiadła na oparciu kanapy.

- Nie pojmuję, po co to wszystko mówisz. Chcesz mnie zmusić do rozgrzebywania dawno zapomnianych spraw? Po co? Chcesz mieć sposobność do roztkliwiania się nade mną? Chcesz się nasycić niepowodzeniem lekarki, której życie się nie ułożyło, bo jest tylko kobietą?

Wzdrygnął się i natychmiast pożałowała swych słów.

- Przepraszam, zachowałam się nietaktownie.

- Może tak, może nie. Może oboje powinniśmy zapomnieć o przeszłości.

Spojrzał na nią z takim wyrazem smutku w oczach, że pod wpływem odruchu serca wyciągnęła rękę i ich palce się splotły. Z dłoni Lewisa biło ciepło, któremu nie potrafiła się oprzeć, toteż kiedy delikatnie przyciągnął ją do siebie, poczuła, że ogarnia ją jakaś obezwładniająca siła.

To nie fair, pomyślała; jestem zbyt zmęczona i słaba, żeby się bronić. On tymczasem tulił ją do siebie, na plecach czuła delikatną pieczętę jego rąk. Czy to możliwe, żeby mężczyzna umiał okazać tyle uczucia? Żeby pod szorstką powłoką kryło się tyle czułości i wrażliwości? Wciąż wpatrywała się w jego oczy, które stawały się coraz ciemniejsze. Nie było w nich jednak nic

dwuznacznego. Widziała w nich tylko jedno - nieopanowane, namiętne pożądanie.

- Lewis, ja... - zaczęła szeptem.
- Nic nie mów. Nie trzeba nic mówić.

Chciała poprosić, by przestał, lecz nie umiała znaleźć słów. A potem jego usta delikatnie dotknęły jej warg i o wszystkim zapomniała. Po długiej chwili odsunął się i westchnął. Patrzył na nią z tą niezwykłą melancholią, która od początku, odkąd się poznali, wywierała na niej tak wielkie wrażenie.

- Eryl, nie wyobrażasz sobie, jak bardzo cię pragnę.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Mówił zdławionym głosem, jakby dyktowane pożądaniami słowa z trudem przechodziły mu przez gardło. Podniecona jego bliskością, zapomniała o barierach ochronnych, którymi się tak starannie obwarowała. Niech się dzieje, co chce, skoro może mu w ten sposób przynieść bodaj chwilę ukojenia!

Nie powiedział, że ją kocha. Zdawała sobie sprawę, że Lewis nigdy nie zapomni swej tragicznie zmarłej żony, lecz to nie miało już znaczenia. Po długim milczeniu obdarzyła go lekkim, nieśmiałym uśmiechem, przytuliła się i delikatnie pocałowała w policzek.

- Ja też cię pragnę - szepnęła, wzięła go za rękę i poszli do sypialni.

Tam zapaliła nocną lampę, której łagodne światło oblało ściany pokoju bursztynowym blaskiem. Lewis zatrzymał się i długo patrzył na nią w milczeniu.

- Jesteś pewna, że chcesz? - spytał wreszcie.

- Chcę ci dać trochę szczęścia.

- A ty? Co będzie, jeśli...?

- Jeśli się w tobie zakocham? Nie martw się. Myślę, że człowiek tylko raz w życiu przeżywa prawdziwą miłość, a ja, podobnie jak ty, mam to już za sobą. Niczego więcej się nie spodziewam.

Przez jego twarz przemknął cień smutku, który przypisała bolesnym wspomnieniom. To, że jej słowa mogą sprawić mu przykrość, nie przyszło jej do głowy. Kolejny raz zmierzył ją długim spojrzeniem, a potem powoli zaczął ją rozbierać. Dotyk jego rąk sprawił, że poczuła dreszcz rozkoszy. On tymczasem

przez cały czas nie odrywał oczu od jej twarzy i kiedy wreszcie stanęła przed nim naga, poczuła się nagle bezbronna i zapragnęła się osłonić, lecz - dziwna rzecz - nie była zdolna się poruszyć.

- Chodź - szepnął, przyciągając ją do siebie. - Teraz ty mnie rozbierz. Proszę! - Jego głos zdawał się dochodzić skądś z daleka. Drżącymi palcami zaczęła uwalniać go od ubrania, a gdy ich ciała przyłgnęły do siebie, powiedział cicho: - Kochajmy się, Eryl. Cieszymy się tym, co możemy sobie ofiarować.

Kładąc się obok niej, uczynił ruch, jakby chciał naciągnąć kołdrę, lecz Eryl go powstrzymała:

- Nie. Chcę cię widzieć.
- Mam nie gasić światła? - spytał.

Teraz jej z kolei głos uwiązał w gardle. Bojąc się spłoszyć nastrój chwili, w milczeniu kiwnęła głową.

Zaczął ją całować, budząc w jej ciele od dawna uspione zmysły. Jego ręce coraz śmielej wędrowały po jej skórze, sięgając miejsc, które od lat pozostawały nietknięte. Pod ich dotykiem dreszcz namiętności przebiegał jej ciało, a gdy poczuła na udach dotyk jego męskości, wyprężyła się i przyciągnęła go ku sobie w zapamiętaniu. Kiedy się z nią zespolił, niemal natychmiast osiągnęła orgazm. Znieruchomiał na długą chwilę, wpatrując się w nią z czułością i radością, jakich w najśmielszych snach nie spodziewała się zobaczyć na twarzy mężczyzny.

- Hej - szepnął, kiedy jej ciało się odprężyło. - Tego nie przewidziałem.

Uśmiechnął się, dotykając wargami jej ust. Wkrótce znów była gotowa na jego przyjęcie i gdy tym razem jednocześnie osiągnęli rozkosz, Eryl zrozumiała, że wraz z ciałem oddaje mu swoje serce i duszę. Potem długo leżała w jego ramionach i dopiero kiedy Lewis usnął, pojęła, co naprawdę się wydarzyło. Jak mogła do tego dopuścić? Skazuje się na nieuchronne rozczarowanie, tak samo jak wtedy, gdy pozwoliła Robertowi zawładnąć jej sercem, kiedy on pragnął jedynie jej ciała. Litując się nad

mężczyzną rozpaczliwie szukającym pociechy, i tym razem oddała mu nie tylko ciało, ale i serce.

Mówiąc mu przedtem, że nie szuka miłości, uwierzyła w szczerość swych słów. Dopiero teraz zrozumiała, że oszukiwała samą siebie. Zamiast oczekiwanego odprężenia, fizyczne zbliżenie uświadomiło jej w całej pełni, że jest zakochana w Lewisie - a on nigdy nie odwzajemni jej uczucia.

Co robić? Czy potrafi ukryć, co do niego czuje? Wiedziała, że pogrążony w spokojnym śnie mężczyzna nie może jej pokochać. Serce Lewisa należy na zawsze do innej kobiety, jego zmarłej żony. Musi uszanować jego uczucia. Nie może się zdradzić. A poza tym muszą nadal razem pracować, co stałoby się niemożliwe, gdyby domyślił się, że jest w nim zakochana.

Lewis musiał widocznie zgasić w nocy światło, bo kiedy ponownie go zobaczyła, jego sylwetka rysowała się niewyraźnie w półmroku. Ubierał się po cichu. Eryl natychmiast oprzytomniała i usiadła na łóżku, pełna nieznannej od dawna energii. Z rozkoszą obserwowała jego szczupłe, wysportowane ciało. Usłyszawszy szelest pościeli, Lewis odwrócił się.

- Przepraszam, nie chciałem cię budzić - szepnął.
- Przecież jest jeszcze noc!

Ciemna sylwetka zbliżyła się do łóżka. Eryl czuła, że Lewis jest niepewny i spięty.

- Muszę wyjść przed świtem, bo inaczej Martha na pewno mnie wypatrzy i możesz sobie wyobrazić, co się będzie działo.

Jak on może mówić o tym tak zwyczajnie? Eryl poczuła chłód w sercu, stłumiła jednak to przykre uczucie. Czego się miała spodziewać? Dla niego była to tylko miła przygoda. Niczego więcej sobie nie obiecywali. Skąd on może wiedzieć, że się w nim zakochała?

- To prawda. Musisz wyjść przed wschodem słońca.

Starła się mówić normalnie, ale jak na złość w ostatniej chwili załamał jej się głos.

- Co się stało?

Zaniepokojony, pochylił się nad łóżkiem. Wygląda, jakby nie wiedział, czego bardziej pragnie - uciec czy zostać - przemknęło jej przez myśl. Zapragnęła zatrzymać go przy sobie, nie dbając o to, co powiedzą ludzie, ale to on powinien podjąć decyzję - którą widocznie już podjął, skoro wstał i ubrał się przed świtem.

- Musisz iść! - powiedziała. - Nic mi nie jest. Możesz być o mnie spokojny. Pospiesz się!

Posłał jej ręką pocałunek. Potem usłyszała jego kroki na schodach i szcęk zamykanych na dole drzwi. Znikł bez śladu, tylko pościel zachowała lekki zapach jego skóry.

Przez następne trzy dni Lewis parokrotnie mignął jej z daleka, ale ani razu się do niej nie zbliżył. Podejrzewała, że może mieć do niej żal o to, co między nimi zaszło, wkrótce jednak uznała ten pomysł za nonsensowny. Przecież to nie ona rzuciła się na bezbronnego mężczyznę, lecz odwrotnie: on sam do tego doprowadził - czekając na nią pod drzwiami z kolacją, odmawiając wyjścia, kiedy chciała się go pozbyć i wreszcie, obdarzając ją czułością, której nie potrafiła się oprzeć.

Niemniej jednak dziwna obojętność Lewisa miała także swoje dobre strony. Dała Eryl czas na dojście do siebie i pozwoliła spokojniej o nim myśleć. Któregoś dnia po porannym dyżurze, kiedy oddawała w recepcji karty chorych, Glynis spytała ją o stan Trefora. Eryl, która z powodu natłoku pacjentów już od kilku dni nie miała czasu zajrzeć do szpitala w Swanton, była zmuszona przyznać ze wstydem, że nic nowego nie wie.

- Ściśle biorąc, Trefor jest pacjentem doktora Caswella-dodała. - Spytaj jego. On na pewno regularnie go odwiedza.

- A gdzie tam! Zdaje się, że od dawna przestał jeździć do Swanton. Zresztą ostatnio w lecznicy też rzadko się pojawia.

- Jak to?! - zdziwiła się Eryl.
- Miał trochę zaległego urlopu, który postanowił wziąć. Zda się, że wybierał się gdzieś w odwiedziny, do Dolgelly, jeśli dobrze pamiętam.

Nazwa miejscowości wydała się Eryl znajoma, ale nie potrafiła jej z niczym konkretnym skojarzyć, więc puściła tę informację mimo uszu.

- To znaczy, że go nie ma? - spytała.
- Niezupełnie. Co rano wpada na chwilę, załatwia najpilniejsze sprawy i tyle go widzimy aż do następnego dnia.
- A co z jego pacjentami?
- Jak to co? - roześmiała się Glynis. - Czy to możliwe, żeby pani niczego nie zauważyła?
- Chcesz powiedzieć, że przejęłam jego pacjentów?
- No pewnie! Doktor Caswell polecił mi kierować jego pacjentów do pani. Myślałam, że sam z panią ustalił.

Eryl z oburzenia nie mogła wykrztusić słowa, ale dla zachowania pozorów przywołała na usta wymuszony uśmiech, wyszła spokojnie z lecznicy i z podniesioną głową ruszyła do domu. Dopiero tam dała upust wściekłości. Przeklinając głośno krążyła tam i z powrotem po pokoju, dopóki z kuchni nie odezwało się żałosne miauczenie wygłodniałej Księżnej. Drżącymi ze zdenerwowania rękami wyskrobała z puszeki resztkę jedzenia.

Kiedy sięgała po następną, stały się dwie rzeczy naraz: zadzwonił telefon i okazało się, że właśnie wypróżniła ostatnią puszkę. Trzeba się wybrać do sklepu, i to zaraz, pomyślała, biegnąc jednocześnie do sypialni. Lecz i tu spotkało ją niepowodzenie, bo telefon umilkł, nim zdążyła podnieść słuchawkę.

- Sama widzisz, droga Księżno! - oznajmiła kotce. - Jadę do sklepu. Bądź łaskawa zawiadomić swoją rodzinę, że na następny posiłek musicie poczekać do mojego powrotu.

Przewiesiwszy przez jedno ramię wielki kosz na zakupy, a torbę przez drugie, wyszła na parking. Kątem oka dostrzegła

wsiadającą do swego auta Nerys. Tylko jej mi brakowało! - pomyślała, schylając głowę w nadziei, że pielęgniarka jej nie spostrzeże. Niestety, Nerys już ją zobaczyła i z radosnym uśmiechem do niej podbiegła.

- Może pojedziemy razem? - spytała.

- Jedziesz do Dynas?

- Nie. Do doktora Dillona. Wezwał mnie przed chwilą przez telefon. Powiedział, że musimy o czymś porozmawiać. Do ciebie też miał zadzwonić.

- Rzeczywiście, ktoś przed chwilą dzwonił, ale nie zdążyłam dobiec do telefonu.

- To na pewno on. Chce się z nami zobaczyć.

- Czy coś się stało? - zapytała Eryl z niepokojem.

- Nie bój się, kochana! - uspokoiła ją Nerys. - Trefor ma się doskonale. Mówił, że wkrótce wyjdzie ze szpitala i dlatego chce porozmawiać o jakichś twoich ważnych planach.

Eryl zatrzasnęła swój samochód i wsiadła do auta Nerys. W drodze do szpitala zastanawiała się, w jakim celu Trefor wzywa je do siebie.

- A niech to! - zawołała, kiedy wchodziły do szpitala. - Miałam przecież kupić pokarm dla kotów! Skończyły dzisiaj ostatnią puszkę.

- No to zajedziemy do sklepu w powrotnej drodze. Jak dobrze pójdzie, zdążymy przy okazji wstąpić na kawę. Mają tu świetną kawiarnię.

Stały przed windą, a nie mogąc się jej doczekać, poszły na górę schodami. Chwilę trwało, nim odnalazły Trefora, którego, jak się okazało, przeniesiono do izolatki.

- Czy coś jest niedobrze? - Eryl spytała dyżurną pielęgniarkę.

- Ależ nie. Pan doktor czuje się coraz lepiej. Przenieśliśmy go do jedyńki, żeby mógł w spokoju czytać i pracować.

Zastały Trefora w małym pokoiku, siedzącego w fotelu z książką na kolanach. Wyglądał znacznie lepiej. Eryl zdała sobie sprawę.

że nie jest w stanie wymówić słowa. Wzruszenie ścisnęło ją za gardło tak samo jak wtedy, kiedy spotkali się w szpitalu z Lewisem. Teraz znowu poczuła łyzy w oczach. Nie, nie teraz! Nie przy nim! - próbowała przywołać się do porządku. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że Trefor uważnie na nią patrzy.

- Co się z tobą dzieje, *merchi*? - zapytał. - Źle mi wyglądasz. Pewnie zapracowujesz się na śmierć przez tego okropnego Lewisa?

Szybko skorzystała z tego pretekstu, aby usprawiedliwić swe dziwne zachowanie.

- To prawda, haruję przez niego jak wół. Zwalił mi na głowę większość pacjentów. Nie bardzo rozumiem dlaczego, wiem tylko, że prawie nie bywa w lecznicy.

- Byłem przekonany, że przed wykorzystaniem urlopu wszystko z tobą uzgodnił - odparł Trefor ze zdziwieniem.

Nerys też była wyraźnie zaskoczona.

- To jak to jest? Ja o wszystkim wiem, a ty nie? - zawołała. - Pamiętam, jak doktor Caswell cię szukał, a ponieważ akurat cię nie było, poprosił Betty Williams, żeby go przed tobą wytłumaczyła.

- Widać tego nie zrobiła - odparła Eryl sucho.

- Ale przecież uzgodniła ze szpitalem w Pandy nowy rozkład dyżurów, zwalniający ciebie z nocnych wezwań i przerzucający je na doktora Caswella. Powiedział, że tak będzie sprawiedliwie, skoro w ciągu dnia prawie go nie ma.

Eryl zdała sobie sprawę, że istotnie od kilku dni nie miała ani jednego nocnego telefonu.

- Więc co się stało? Dlaczego Betty mnie o tym wszystkim nie powiadomiła?

- Pewnie dlatego, że zaraz po rozmowie z doktorem Caswellem zachorowała i poszła na zwolnienie - domyśliła się Nerys.

- Mniejsza o to, *merchi* - przerwał Trefor, obdarzając Eryl swoim ciepłym, pełnym czaru uśmiechem. - Najważniejsze, że znowu

cię widzę. Od razu czuję się lepiej. Nie ma dla mnie lepszego lekarstwa niż ty, moja droga, nawet taka wymizerowana.

- Niedługo zasłużę sobie na miano czarownicy.

Roześmiała się, a Trefor jej przytaknął, żartobliwie mrużąc oko, Eryl zaś podziękowała w duchu losowi za opiekę nad doktorem, który wyraźnie wracał do zdrowia.

- Marzę, żeby jak najszybciej wrócić do domu - powiedział z tęsknotą. - Chyba najbardziej brakuje mi widoku mojej ukochanej góry. Czy uwierzycie, że Cader Idris śni mi się po nocach? Niestety ci, którzy decydują o moim losie, postanowili przetrzymać mnie tu jeszcze przez tydzień. Dlatego pozwoliłem sobie zaprosić was tutaj, żeby omówić projekt Eryl, który dotychczas nie doczekał się realizacji. Jak się zapewne domyślasz, chodzi o poradnię higieny.

- No, nareszcie! - szelmowsko uśmiechnęła się Eryl. - Myślałam, że pan doktor dawno o niej zapomniał.

- Jakże bym mógł! - odparł również z uśmiechem. - Choć, mówiąc poważnie, może nie jest to najodpowiedniejszy moment, skoro i bez tego masz teraz huk pracy.

- To nic! Bardzo mi na tej poradni zależy. Dam sobie radę.

- Świetnie. Wobec tego przejdźmy do rzeczy.

Zaczęli układać plan cyklu prelekcji i praktycznych zajęć z pacjentami na temat zagrożeń związanych z chorobami zakaźnymi oraz metod zapobiegania im.

- Myślę, że najlepszym miejscem do tego celu będzie sala zabiegowa - uznał Trefor. - Trzeba tylko umówić się z Liz Brown co do terminów, żeby nie przeszkadzać jej w wykonywaniu zabiegów. Czy podejmujesz się to załatwić, Eryl?

- Naturalnie. A czy nie można by wprowadzić także poradnictwa dla kobiet w ciąży? Dotychczas przychodziły jedynie na okresowe badania. Myślę, że przydałby się bardziej regularny kontakt. - Mówiąc to, Eryl nagle się zaniepokoiła, czy przypadkiem nie ponosi jej entuzjazm. - Mam nadzieję, że nie zanadto się rządę? - spytała.

- Ani trochę, moja droga - odparł z uśmiechem. - Dodałbym od siebie jeszcze jedną sugestię. Mam na myśli osoby w rodzaju małej Rees, która samotnie wychowuje synka. Gdybyśmy mieli więcej personelu, a może po prostu wyobraźni i umiejętności propagowania metod zapobiegania ciąży, dziewczyna nie znalazłaby się w tak trudnej sytuacji. Co o tym myślicie?

Kres tej rozmowie położyło wejście pielęgniarki.

- Bardzo przepraszam, ale pacjent musi wypocząć - oświadczyła surowo.

- Rzeczywiście, jak mogliśmy się tak zagadać! - zawołała Eryl, zbierając się razem z Nerys do wyjścia. Już w drzwiach usłyszała głos Trefora:

- Zostań jeszcze chwilkę, *merchi bach*. Chcę ci coś powiedzieć w cztery oczy. O Lewisie.

- O? - zdziwiła się Eryl.

- Nie rób, kochanie, takiej niechętniej miny. Mam po prostu wrażenie, że Lewis... jak by tu powiedzieć? Myślę, że bardzo mu na tobie zależy.

- To nieprawda.

- Nie jestem pewien. - Wzruszył ramionami. - Wiedz jednak, że byłbym nad wyraz szczęśliwy, gdyby się okazało, że jest w tobie zakochany.

- Ale z pana intrygant. - Uśmiechnęła się, udając obojętność. - Z braku lepszego zajęcia bawi się pan w swatkę?

Trefor zmierzył ją przenikliwym, pełnym głębokiej mądrości spojrzeniem, które pamiętała jeszcze z pierwszego spotkania w Birmingham.

- Zastanów się nad tym, co powiedziałem. I bądź dla niego wyrozumiała, bardzo cię proszę.

- Obiecuję. A co do tamtej sprawy, to czysta fantazja - mruknęła, całując doktora na pożegnanie.

Niemniej, wychodząc na poszukiwanie Nerys, która czekała na nią przy samochodzie, czuła przyspieszone bicie serca.

- Zdażymy wstąpić na kawę z ciastkiem? - spytała Nerys.
- Czemu nie? Mam dziś wolne popołudnie. Ale najpierw jedzenie dla kotów.

Nim dojechały do wielkiego parkingu w centrum miasta, Eryl zdażyła trochę uporządkować myśli, kłębiące się w jej głowie. Po zakupie kilkunastu puszek kociego pokarmu weszła razem z przyjaciółką do sporej kawiarni, pełnej siedzących przy okrągłych stolikach ludzi.

- Ale tłok! To pewnie przez te ich ciastka - zauważyła Nerys z zawieszoną miną. - Poszukamy szczęścia gdzie indziej?

- Nie. Spójrz, tam w kącie jest wolny stolik.

Przebiwszy się z trudem przez zatłoczoną salę, usiadły, a Eryl umieściła pod stolikiem swoją wypchaną torbę i po chwili zabrała się z apetytem do rzeczywiście znakomitego, czekoladowego tortu.

- Miałaś świetny pomysł - powiedziała wesoło do Nerys.

Potem rozejrzała się po sali i uśmiech zamarł jej na twarzy. W głębi kawiarni zobaczyła Lewisa, który był zajęty rozmową z siedzącą razem z nim kobietą. Tą samą, która kiedyś podwoziła ich z Pandy do Dynas, i którą Lewis przedstawił wówczas jako Jennifer Vaughan. Nerys poszła za spojrzeniem swej towarzyszki.

- A to ci dopiero! - szepnęła. - Więc tutaj przesiaduje, kiedy go nie ma w lecznicy. Warto by mu nagadać. Podrzuca ci pacjentów jak kukułcze jaja, a sam... No co, idziemy?

- Nie, nie - sprzeciwiła się Eryl, dopijając w pośpiechu kawę. - Nie widzisz, że jest zajęty? Wracajmy, dobrze?

Eryl czuła na sobie podejrzliwe spojrzenie Nerys, nie umiała jednak opanować uczucia zazdrości, które musiało być widoczne na jej twarzy. Wyciągnęła z portmonetki pieniądze i kładąc je na stół, zdławionym głosem wyszeptała:

- Bądź tak dobra i zapłać za mnie. Muszę iść do toalety. Spotkamy się na parkingu. Dasz sobie radę z moją torbą?

Nerys na szczęście niczego się nie domyśliła.

- Na mnie kawa nie działa w podobny sposób - powiedziała z zadowoleniem.

Idąc między stolikami Eryl widziała kątem oka, jak Lewis podnosi wzrok, spostrzega ją i robi zdziwioną minę, po czym wstaje, jakby zamierzał do niej podejść. Ruszyła szybkim krokiem w kierunku toalety, która na szczęście okazała się wolna. Zatrzasnąwszy za sobą drzwi, podeszła do umywalki i zimną wodą zaczęła obmywać twarz. Potem, osuszając ją papierowym ręcznikiem, oparła się plecami o ścianę.

Wiedziała, że zachowuje się dziecinnie. W końcu Lewisowi wolno spotykać się z kim chce. Powinna umieć się z tym pogodzić. Skąd więc ta nagła rozpacz i poczucie krzywdy? A może by tak powiedzieć sobie prawdę? Czuje się skrzywdzona i zrozpaczona, bo jest o niego zazdrosna! Niech to diabli! Co ma z sobą zrobić?

Zamknęła mocno powieki i zacisnęła ręce na skroniach, usiłując powstrzymać napływające do oczu łzy. Kiedy po dłuższej chwili trochę się uspokoiła i spojrzała w lustro, przestraszyła się widoku swojej udręczonej, pobladłej twarzy.

Szybko sięgnęła do torebki i starannie przypudrowała ciemne kręgi, jakie pojawiły się pod oczami, a następnie przygryzła wargi dla nadania im odrobiny koloru. Uznawszy, że wygląda mniej więcej normalnie, ruszyła ku drzwiom, lecz nim zdążyła je otworzyć, do środka zajrzała Nerys.

- Dobrze się czujesz? - zapytała.

- Tak, już dobrze - skłamała Eryl. - Chyba zbyt łakomie rzucałam się na to ciastko. Możemy jechać. Czy Lewis już wyszedł?

- Tak. Zdaje się, że chciał z tobą porozmawiać, ale jego znajoma chyba się dokądś spieszyła, bo szybko wyszli.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Eryl nie pamiętała już, jak raptownie w Dynas potrafi zmienić się pogoda. W piątkowy rano poczuła w powietrzu mroźny powiew, a góry osnute były mgłą, która w ciągu dnia stopniowo gęstniała. Nie zdziwiła się więc, kiedy późnym popołudniem otrzymała telefon z pogotowia górskiego. Zdziwiła się dopiero, gdy usłyszała komunikat.

W przypadkach trudnych warunków atmosferycznych pogotowie ostrzegało zwykle wszystkich okolicznych lekarzy, aby byli w pogotowiu, gdy zaś potrzebna była nagle pomoc medyczna, dzwoniło do dyżurnego lekarza. Tym razem jednak Eryl została wezwana imiennie. Proszono ją o natychmiastowy przyjazd do Craigwen, na górską przełęcz oddaloną o kilkanaście kilometrów od farny Pughów.

- Dobrze - odparła - ale dlaczego wzywacie akurat mnie?
- Bo człowiek, którego znaleźliśmy, powołał się na panią. Początkowo był półprzytomny, choć nie ma żadnych widocznych, zewnętrznych obrażeń. Z paru słów, które zdołał wymówić, wywnioskowaliśmy, że jest pani pacjentem. Odmawia przyjęcia pomocy, dopóki nie porozumie się z panią.

- Jak się nazywa?
- Nie podał nazwiska.
- Czy to znaczy, że stracił pamięć?
- Chyba nie. Raczej z przekory.
- Dobrze. Już jadę.

Nie chcąc tracić czasu na szukanie Lewisa, aby powiadomić go o nagłym wezwaniu, zostawiła mu na biurku wiadomość

i wyruszyła w stronę przełęczy, włączając, oprócz drogowych, także światła przeciwmgielne.

Garetha Pugh'a wypisano niedawno ze szpitala i Eryl obawiała się, czy to nie on jest owym przekornym pacjentem. Co prawda nie bardzo rozumiała, co Gareth miałby robić o tej porze na oddalonej od farmy przełęczy, toteż w miarę zbliżania się do Craigwen dochodziła stopniowo do przekonania, że chyba jednak nie chodzi o Garetha, który zresztą był pacjentem Lewisa, więc gdyby kogoś wzywał, to raczej jego niż ją.

Chociaż dobrze znała górską drogę i wszystkie jej pułapki, dojechawszy na miejsce podziękowała celtyckim bogom za to, że pomogli jej bezpiecznie dotrzeć do celu. Trzech ratowników, których osobiście nie znała, dostrzegło zbliżający się we mgle samochód Eryl. Za pomocą silnych, ręcznych latarek wskazali jej miejsce do zaparkowania, po czym jeden z nich zapytał po walijsku, czy jest lekarką, którą wzywali.

- Tak, to ja - odparła, zaciągając energicznie ręczny hamulec i wysiadając.

- Chwała Bogu! Facet nie pozwala się dotknąć.

Przyjrząwszy się uważnie nieruchomej postaci, która leżała na ziemi opatulona od stóp po szyję w grube pledy, Eryl pokręciła zdumiona głową. Miała przed sobą Davida Morlanda.

- Zaraz się nim zajmę - powiedziała, klękając na ziemi i szukając pod pledem jego ręki, żeby zbadać puls. - Nie wiecie, od kiedy tu leży? - zwróciła się do ratowników.

- Nie wiadomo. Natknęliśmy się na niego przypadkiem, podczas rutynowego objazdu. Zawsze tak robimy po raptownej zmianie pogody. Ludzie, którzy nie umieją rozpoznać oznak zapowiadających trudne warunki atmosferyczne, często tracą orientację w terenie.

- Ale on powinien był wiedzieć, co się dzieje. Mieszka tutaj od dawna.

Nieszczęśnik zacharczał i Eryl poprosiła ratowników, żeby

oświetlili mu twarz. To, co zobaczyła, bardzo ją zaniepokoiło. Morland miał skórę ziemistoszarą, zmętniały wzrok, a ręce pokryte sinymi plamami. Najgrubsza nawet warstwa koców nie może pomóc organizmowi w stanie bliskim hipotermii. Potrzebował natychmiast źródła ciepła, w przeciwnym razie przebywając w zimnym górskim powietrzu narażony był na nieuchronne odmrożenia.

Jak go ogrzać? - zastanawiała się gorączkowo. Masowanie ochłodzonej skóry niosło z sobą poważne ryzyko. Może doprowadzić do zniszczenia złodowaciałej tkanki, a w rezultacie do infekcji albo nawet amputacji.

- Wozicie kołdry z aluminiowej folii, prawda? - spytała.
- Oczywiście, ale on nie pozwolił się przykryć.
- Teraz nie będzie się opierał. To sprawa życia i śmierci.

Przyniescie kołdrę, a ja postaram się go ogrzać.

Kiedy ratownicy poszli do wozu patrolowego po folię, Eryl położyła się na ziemi i przylgnęła do Morlanda, ogrzewając go własnym ciałem. Jednocześnie pochyliła się nad jego twarzą i zaczęła ją delikatnie ochuchiwać. Po chwili Morland lekko się poruszył. Spytała, czy coś go boli.

- Żołądek - wychrypiał. - Boli mnie żołądek.

Pewnie wrzody. Od dawna to podejrzewała. Układała już w myślach plan przewiezienia go do najbliższego szpitala, gdy tymczasem Morland poruszył się, chwycił ją za rękę i mocno uścisnął.

- Bardzo dobrze - powiedziała. - Przytul się do mnie najmocniej, jak możesz. Za chwilę owina cię w folię, która pozwoli ci zachować ciepło płynące z mojego ciała.

Nim jednak ratownicy zdążyli wrócić z termiczną kołdrą, stało się coś zupełnie niesłychanego. Morland odzyskał siły na tyle, że udało mu się zbliżyć usta do jej ucha, a to, co usłyszała, po prostu nie mieściło jej się w głowie.

- Od początku o tym marzyłem - szeptał. - Od pierwszej

chwili... Dlatego chciałem zmienić lekarza. Żeby móc ci powiedzieć... że cię kocham i...

Głos odmówił mu posłuszeństwa, a wstrząśnięta Eryl przypomniała sobie ostrzeżenie Lewisa. W tej samej chwili ratownik zawołał, że ktoś nadjeżdża. Z mgły wyłonił się samochód, a z samochodu wyskoczył Lewis.

Jednym rzutem oka ocenił sytuację, po czym chwycił róg aluminiowej osłony i razem z ratownikami wziął się do owijania pacjenta. Najwyraźniej jednak nie najlepiej ocenił zastaną sytuację, bo klękawszy na ziemi, brutalnie odepchnął Eryl od Morlanda.

- Co ty wyprawiasz?
- Jak to co? Musiałam go ogrzać!

Lewis obrzucił ją zimnym spojrzeniem i zacisnął wargi. Podniósłszy się z ziemi, Eryl obserwowała, jak ratownicy kładą Morlanda na nosze i zabierają go do samochodu.

- Odwieziecie go do szpitala, czy mam wezwać ambulans?
- spytała.

- Zawieziemy - odparł jeden z ratowników. - Które z państwa pojedzie za nami?

Po krótkim wahaniu Eryl wyprostowała się i ruszyła w stronę swego samochodu.

- Będzie wam towarzyszył doktor Caswell - oświadczyła ratownikom.

- A ty dokąd jedziesz? - rzucił Lewis z furią.
- Do domu - odparła ścisząc głos, żeby ich dziecinna sprzeczka nie dotarła do uszu ratowników. - Widzę, że sam świetnie sobie poradzisz.

- Jakim prawem, przecież to twój pacjent!
- Trzeba było o tym pomyśleć, nim wkroczyłeś do akcji.
- Pani doktor, proszę zostać przy swoim pacjencie!

Obejrzała się. W jasnym świetle latarek, które ratownicy odstawili na ziemię, umieszczając Morlanda w samochodzie, widać było wyraźnie zaciętą twarz Lewisa.

- Jadę do domu - powtórzyła chłodno.

Uruchamiając samochód, starała się nie myśleć o czułym uniesieniu, które kiedyś przelotnie ich połączyło. Z równie bezlitosnym chłodem oświadczyła Lewisowi, że może wysłać Morlanda do dowolnego szpitala, mając w istocie na myśli, że on sam może sobie iść do diabła.

Po powrocie do domu trochę się uspokoiła. Chciała nawet wybrać się do Lewisa i przeprosić go za całe zajście, lecz za każdym razem, kiedy już miała to zrobić, coś w jej duszy mówiło: nie. Czułe wspomnienie wspólnej nocy rozplýwało się, ustępując miejsca uczuciu zazdrości o nieznaną kobietę, o której wiedziała tylko, że nazywa się Jennifer Vaughan. Na wspomnienie względów, jakie okazywał tamtej kobiecie, a zwłaszcza jego zachowania w górach, kiedy ratowała Morlanda, wszystko na nowo zaczynało się w niej burzyć. Nazajutrz rano zajrzała do gabinetu Lewisa i profesjonalnym tonem zapytała o zdrowie Morlanda.

- Ma się bardzo dobrze, ale nie dzięki tobie - odparł. - Jeśli cię to interesuje, zawiozłem go do Pandy. I możesz być spokojna, postarałem się usprawiedliwić twoją nieobecność. Powiedziałem, że dostałaś inne pilne wezwanie.

Miała szczerą ochotę wyjaśnić Lewisowi, dlaczego zastał wczoraj Morlanda w jej objęciach; przecież gdyby go nie ogrzała własnym ciałem, nie wiadomo, co by się z nim stało. Jednakże wyzierający z oczu Lewisa chłód zamknął jej usta i wyszła bez słowa.

Dni płynęły jeden za drugim, a jej kontakty z Lewisem stawały się coraz rzadsze. Eryl pogrążyła się w depresji. Lewis był prawie nieuchwytny: wpadał na ranne dyżury, po czym natychmiast zniknął bez śladu. Któregoś popołudnia ujrzała go na parkingu, kiedy wsiadał do samochodu, i zdecydowała się przerwać milczenie.

Chociaż zaczynał się już wrzesień, chłody chwilowo minęły i w powietrzu czuło się jeszcze ciepły powiew lata. Ujrawszy na ziemi jej cień, Lewis podniósł głowę i spytał, czego sobie życzy. Patrzył niechętnie, jakby jej obecność była mu niemiła. Chciała odwrócić się i odejść, lecz zatrzymał ją błysk udręki w jego oczach.

- Co ci jest, Lewis? - spytała.

- Sama najlepiej wiesz.

- Gdybym wiedziała, nie musiałabym pytać, prawda? - powiedziała ostrym tonem, którego nie zdołała opanować.

Poczuła napływające do oczu łzy, więc szybko się odwróciła, lecz Lewis przytrzymał ją za rękę. Serce Eryl przez moment zabiło nadzieją, która jednak zgasła natychmiast, gdy ujrzała ironiczną twarz Lewisa.

- Ronimy krokodyle łzy? - powiedział zimno. - Szkoda, że nie są prawdziwe.

Zaniemówiła, a gdy odzyskała głos, postanowiła dać mu ostrą odprawę. Jej słowa zabrzmiały jednak żałośnie i niepewnie, jakby wypowiadał je ktoś z daleka:

- Jesteś niesprawiedliwy - mówiła. - Nie uwolniłeś się od dawnych uprzedzeń. Jesteś taki sam jak wtedy, kiedy na początku naszej znajomości powiedziałeś, że nie masz zaufania do kobiet, które są lekarzami.

Na twarzy Lewisa pojawił się sarkastyczny uśmiech.

- Czy możesz podać bodaj jeden powód, dlaczego miałbym im ufać? Albo, jeszcze lepiej, wyjaśnij, jak mam ci ufać po tym, co robiłaś z Morlandem?

- Nic z nim nie robiłam! Próbowalam ogrzać zamarzającego na śmierć człowieka!

- Słuchając jednocześnie, co ci szepcze do ucha? Przecież sam widziałem.

Eryl oniemiała. Jak coś podobnego mogło mu przyjść do głowy? Skąd się to u niego bierze?

- Och Lewis, Lewis! - powiedziała wreszcie. - Co się z tobą dzieje? I pomyśleć, że była chwila, kiedy prawie się w tobie zakochałam!

Ostatnie słowa wymknęły się jej bezwiednie. Padły jednak i nic nie mogło ich cofnąć. Bojąc się ujrzeć na jego twarzy kolejną wrogą reakcję, szybko pobiegła do domu. Słyszała, jak woła ją po imieniu, ale się nie obejrzała.

Następne dni były tak wypełnione pracą, że Eryl nie miała czasu pomyśleć o swoich napiętych stosunkach z Lewi-sem. Musiała się przede wszystkim zająć przenosinami Davida Morlanda z Pandy do Swanton, gdzie miał go przebadać specjalista, doktor Over. W związku z tym zadzwoniono do niej któregoś popołudnia, prosząc o natychmiastowy przyjazd. Ten telefon mocno ją zaniepokoił, odłożyła więc wszystkie sprawy, zaś po przybyciu do Swanton pobiegła wprost do lekarza.

- Czy będzie go pan operować? - spytała od drzwi.

Doktor Over zrobił bezradną minę.

- Nie, a to z tej prostej przyczyny, że pani pacjent wypisał się ze szpitala na własne żądanie.

- Nic nie rozumiem. Jak to możliwe?

- Zwyczajnie. Pacjent ma prawo decydować o swoim losie. Chyba że zostanie uznany za niepoczytalnego.

Eryl poczuła się bezradna. Ani ona, ani doktor Over nie mogli w tej sytuacji nic więcej zrobić. Chociaż nie - można mu złożyć wizytę w jego kampingowej przyczepie. Co też postanowiła niezwłocznie uczynić.

- Przepraszam, że narobiłam panu tyle kłopotu.

- Proszę nie przepraszać, to nie pani wina - uśmiechnął się lekarz, wzruszając ramionami. - Nie ma pani sobie nic do wyrzucenia.

Wyszła ze szpitala z zamiarem udania się w góry jeszcze tego

samego dnia, tymczasem jednak po powrocie do lecznicy okazało się, że Nerys pilnie jej poszukuje.

Eryl odnalazła ją w sali zabiegowej, otoczoną gromadką pacjentów oczekujących zapowiedzianej na ten dzień prelekcji o zapobieganiu chorobom zakaźnym. Nerys robiła, co mogła, żeby ją zastąpić, korzystając z przygotowanych wcześniej materiałów, ale kobieta z wioski protestowała donośnie, przypominając pielęgniarce, że nie tego się spodziewała.

- Przepraszam - powiedziała Eryl uprzejmie. - Coś mnie zatrzymało. Pójdę tylko po swoje notatki i zaraz wracam.

Pobiegła do gabinetu i wyjąwszy z szuflady plik papierów, pospieszyła do sali zabiegowej, aby wygłosić bardzo, jak się okazało, pożyteczny i dobrze przyjęty wykład o zasadach higieny. Po prelekcji ledwo zdążyła zjeść kanapkę przed popołudniowym dyżurem. W poczekalni siedział tłum pacjentów - Lewis znowu gdzieś się zapodział - i w rezultacie wieczorem nie była w stanie nawet pomyśleć o wyprawie do Morlanda. Także przez następne dni stale coś stawało na przeszkodzie i wreszcie ważne wydarzenie w życiu lecznicy sprawiło, że całkiem zapomniała o nieszczęsnym odludku.

Otóż w piątek po południu wrócił do domu Trefor Dillon. Podczas swej wizyty u doktora Overa Eryl nie mogła się z nim zobaczyć, bo starego lekarza przeniesiono tymczasem do sanatorium. Dzięki morskiemu powietrzu odzyskał, ku radości Eryl, zdrowy wygląd i swój dawny błysk w oku.

Następnego popołudnia urządzono mu w lecznicy powitalne przyjęcie. Na biurku w gabinecie Dillona piętrzyły się kartki z życzeniami, stały półmiski kanapek oraz ogromna patera walijskich ciasteczek, upieczonych specjalnie na tę okazję przez Marthę Reynolds. Było też pod dostatkiem bezalkoholowych napojów, ponieważ do zakończenia kuracji doktorowi zabroniono używać mocniejszych trunków. Wszyscy zjawili się w komplecie.

Jak się okazało, Trefor zaskoczył wszystkich. Po powitalnych mowach, które Glenis i Betty wygłosiły po angielsku i walijsku, miało się odbyć przyjęcie, tymczasem doktor Dillon podniósł rękę, uciszył towarzystwo i oświadczył, iż zamierza odbyć z zespołem roboczą naradę.

Lewis, który przyszedł w ostatniej chwili i trzymał się z dala od Eryl, postawił stanowcze weto.

- Wszystko, łącznie z zebraniem szkoleniowymi, pozostanie nadal w rękach moich i doktor Thomas. Radzę się nie sprzeciwiać! - oświadczył.

- A to dlaczego, drogi kolego? - z celtyckim ogniem w oczach obruszył się Trefor.

- Bo w przeciwnym razie grozi panu nawrót choroby.

- Głupie gadanie! Czuję się znakomicie. Najwyższy czas, żebym was odciążył.

Lewis ani myślał ustępować. Zaczęli się sprzeczać i Eryl była już gotowa wtrącić się do dyskusji, chcąc zapobiec ostrej awanturze, gdy Trefor nieoczekiwanie dał za wygraną. Nie przestając mierzyć Lewisa groźnym spojrzeniem, opadł na najbliższe krzesło. Szybko jednak się rozpogodził.

- Ostrzegam cię - rzekł z przekornym uśmiechem - że jeśli w mojej własnej lecznicy nie będzie mi wolno przyjąć choćby paru pacjentów dziennie, wykończę się. Dobrze to sobie zapamiętaj!

- Ależ, doktorze, nigdy do tego nie dopuścimy - wtrąciła Eryl i spoglądając na Lewisa, dodała: - Chyba to jest możliwe?

- Skoro pani tak uważa - wzruszył ramionami Lewis.

- Tak właśnie uważam. Co pan na to, żeby na razie przydzielić doktorowi minimalną liczbę wybranych pacjentów? Mniej skomplikowanych przypadków? A potem zobaczymy.

- Hola, moja panno! - zaprotestował Trefor. - Nie zapominaj, że ja też mam tutaj coś do powiedzenia. Nie życzę sobie,

żeby mnie traktowano jak przedmiot, o którym mówi się w trzeciej osobie.

Mimo groźnego tonu, z oczu Trefora wyzierała wesołość i atmosfera natychmiast zelżała. Stary doktor wstał i obchodząc pokój, wdawał się z wszystkimi w pogaduszki. Był ciekaw, jak się miewa Nerys i kiedy spodziewa się rozwiązania. Wypytywał też Eryl o rozpoczęte przez nią wykłady na temat higieny, a wysłuchawszy dokładnej relacji, zadowolony poklepał ją po ramieniu. Nagadawszy się do syta, poczuł zmęczenie, poprosił więc panią Reynolds, aby wróciła z nim do domu.

Eryl postanowiła zostać i pomóc w sprzątaniu. Szła właśnie do sali zabiegowej, gdzie odbywało się zmywanie, gdy Lewis wyjął jej z rąk stos brudnych talerzy i odstawił na bok.

- Dosyć się napracowałam - oświadczył. - Powinnaś pójść do domu i trochę wypocząć.

Było to ich pierwsze spotkanie w cztery oczy od pamiętnej awantury. Przyjrzała mu się podejrzliwie, niepewna jego intencji.

- A to dlaczego? - zapytała wyniosłe, bojąc się zaufać czułości, jaką nagle dostrzegła w jego spojrzeniu.

- Daj spokój, Eryl. Nie mów tak do mnie - powiedział łagodnie. - Dlaczego traktujesz mnie jak wroga?

Chciała mu powiedzieć, że stawia sprawę na głowie: to przecież on odnosi się do niej, jakby była wrogiem. Zarazem jednak poczuła dziwną ochotę, by paść mu w ramiona i zapomnieć się w nich bez reszty, tak jak owej krótkiej, dawno minionej nocy. Cóż, kiedy Lewis zdawał się tego nie pamiętać. Milczała więc w obawie, że wszystko, co powie, może się znowu skończyć ostrą wymianą zdań. Przez cały ten czas Lewis uważnie się jej przypatrywał.

- Wiem, to ja winien ci jestem przeprosiny. Od dawna miałem się przyznać, że tak naprawdę nie wierzyłem we własne insynuacje na temat ciebie i Morlanda. No i powiniennem był wyjaśnić, dlaczego tak rzadko pojawiając się w lecznicy.

Eryl przestała nad sobą panować.

- Co tu wyjaśniać? Historia jest dziecinnie prosta. Lekarz idzie z lekarką do łóżka. Spędzają razem noc. Potem on odchodzi w stronę dal, staje się nieuchwytny, oczekując, że lekarka zajmie się jego pacjentami, jakby nie miała dosyć własnej roboty. I cóż się okazuje? Pan doktor zostaje przyłapany na randce z piękną Jennifer. Ciekawa jestem, jak to wytłumaczysz?

Lewis sposepniał i Eryl pożałowała ostrych słów.

- O czym ty mówisz? - zapytał cicho. - Jennifer to tylko znajoma. A jeśli chodzi o odchodzenie w stronę dal, jak raczyłaś to dowcipnie określić, to przez cały ten czas robiłem coś dla ciebie... To znaczy, z myślą o tobie.

Eryl stała zaskoczona. Czy on jest przy zdrowych zmysłach?

- Teraz ja nic nie rozumiem. Coś ty sobie wymyślił?

- Niczego sobie nie wymyśliłem.

- Wiec może racyzysz mi wyjaśnić, o czym mówisz?

- Nie tutaj, Eryl. Spotkajmy się gdzieś na osobności.

Byle tylko nie na osobności, myślała rozpaczliwie. Czar Lewisa znów zaczynał na nią działać i wiedziała, że nie może ręczyć za siebie, jeśli znajdą się sam na sam.

- Nie mam czasu - odparła. - Muszę już iść.

Lewis zacisnął zęby z wyrazem udręki na twarzy.

- Kogoś poznałaś? Spotykasz się z mężczyzną, który pozwolił ci zapomnieć o przeszłości?

Niech sobie myśli, co chce, wszystko mi jedno, myślała. Byle od niego uciec. Jednak w tej samej chwili zdała sobie sprawę, że nie chce go okłamywać. Jeśli nawet zwodził ją obłudnymi wybiegami, to jeszcze nie znaczy, że ona ma mu odpłacać pięknym za nadobne. Starając się znaleźć sensowne uzasadnienie swego pośpiechu, wpadła na dobry pomysł.

- Rzeczywiście wybieram się na spotkanie z mężczyzną. Nie ma to jednak nic wspólnego z tym, co sugerujesz. Muszę odwie-

dzie Davida Morlanda, który ma własną prośbę wypisać się ze szpitala.

Lewis zmarszczył czoło, ale Eryl spokojnie wytrzymała jego spojrzenie.

- Pojedziemy razem - odparł po chwili. - Moim samochodem.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Nie mając ochoty wdawać się w kolejną sprzeczkę, posłusznie poszła do domu po lekarską torbę i spotkała się z Lewisem przy jego samochodzie. W drodze do samotni Morlanda Lewis prawie się nie odzywał, z czego była zadowolona. Zbliżając się do celu, skupiła uwagę na czekającym ją spotkaniu z dziwnym pacjentem. Kiedy jednak wysiadła z samochodu i rozejrzała się, zdała sobie sprawę, że coś tu się zmieniło.

- Gdzie jesteśmy? - zapytała, sądząc, że Lewis pomylił drogę.

Lewis zamykał właśnie samochód i nie zdążył zobaczyć opustoszałego stoku.

- Wywoźłem cię na pustkowie - zażartował.

- Istotnie! Popatrz, wszystko zniknęło.

- Coś podobnego! - zdziwił się Lewis, kiedy za jej przykładem rozejrzał się wokół. - Nie tylko wypisał się ze szpitala, ale zwinął manatki i odjechał.

- Może należałoby go poszukać? Może znowu coś mu się przytrafiło?

- Jeśli myślisz, że wyruszę w góry bez odpowiedniego obuwia i bez przewodnika, to chyba masz źle w głowie. Ostatnie doświadczenie powinno cię czegoś nauczyć. Zresztą skoro facet zabrał cały swój dobytek, to chyba wiedział, co robi.

Eryl musiała przyznać mu rację.

- Niemniej uważam, że należy o jego zniknięciu zawiadomić policję, bo jednak coś mogło mu się przydarzyć.

- Słusznie. Pojedźmy na komisariat.

Kiedy szli do auta, na odległym stoku pojawił się jakiś człowiek i Eryl pomyślała w pierwszej chwili, że to Morland, ale przypatrzwszy się lepiej zobaczyła, iż towarzyszą mu dwa psy, a on sam trzyma w ręku pastuszy kij. Pasterz zagwizdał, oba psy rzuciły się do biegu, a na kolejny gwizdek przypadły do ziemi. Potem człowiek krzyknął coś po walijsku i psy znów poderwały się do biegu. Eryl i Lewis obserwowali, jak owczarki okrążają i zapędzają do zagrody trzy zbłąkane owce. Po skończonym pościgu pasterz zamknął za nimi furte.

- Co za wspaniałe widowisko! - zawołał Lewis. - Zupełnie jak na świątecznych pokazach pasterzy.

- Nie poznałeś go? - spytała z uśmiechem.

- Z tej odległości? Nie.

- Doktorze Caswell, obawiam się, że czas sprawić sobie okulary.

- A chciałaś zrobić ze mnie chirurga, pamiętasz?

- Ach, wtedy. Tak, pamiętam - przytaknęła cichym, łamiącym się głosem.

- Mam uczucie, jakby to było wieki temu - odparł poważniejąc.

- Ja też. Ale nigdy tamtego dnia nie zapomnę.

Nie zamierzała tego mówić. Słowa same wymknęły się z jej ust. Zobaczyła, że Lewis zbliża się do niej dziwnie niepewnym krokiem. Na widok jego na pół wyciągniętych rąk omal nie rzuciła mu się w ramiona. Jednakże ręce nagle opadły, a na jego twarzy odmalował się wyraz takiej udręki, że odwróciła wzrok.

- Jeśli mamy zawiadomić policję o zniknięciu Morlanda, to trzeba ruszać - mruknął.

- Spytajmy najpierw pasterza, którego nie poznałeś - zaproponowała. - Przecież to Llew Pugh. Powinien się orientować, bo przecież Morland biwakował na ich ziemi.

Llew powitał ich jak starych przyjaciół, złożył im raport

o zdrowiu ojca i podziękował za to, że skłonili starszka do leczenia, pokonując jego, jak to określił, „ośli upór”.

- Któremu zresztą zawdzięcza to, że żyje - poprawił go Lewis. - Silny duch to bardzo ważna rzecz, więc nie starajcie się go w nim zwalczać. Posłuży mu jeszcze ładnych parę latek. A nie wie pan, co się stało z Morlandem?

- Wyjechał parę dni temu - odparł farmer. - Przeniósł się do Wiltshire. Powiedział, że tam ziemia ma więcej magii niż tu - dodał ze śmiechem.

- Pewnie miał na myśli jej lecznicze właściwości - mruknęła Eryl w zamyśleniu. Kto wie, może ma rację? Tyle jest rzeczy, których lekarze nie potrafią wytłumaczyć. - Miejmy nadzieję, że Wiltshire go uleczy - powiedziała na głos.

Kiedy pożegnawszy Llewa wracali do samochodu, Lewis w pewnej chwili przystanął i zwrócił oczy ku Eryl. Miała wrażenie, że coś nie daje mu spokoju - coś głęboko ukrytego w jego sercu.

- A co mnie uleczy? - spytał nieoczekiwanie.

Jego zdecydowany, często wręcz surowy głos brzmiał teraz dziwnie miękko i bezradnie, wzbudzając w Eryl tysiące niepokojących emocji, które bardzo pragnęła stłumić. Było już jednak za późno. Jej ręka sama wyciągnęła się do niego, a on chwycił ją czule.

- Z czego chcesz się uleczyć? - spytała cicho.

- Nie wiesz?

Eryl zaprzeczyła ruchem głowy.

- Więc powiem ci wprost. Potrzebuję lekarstwa na zawieszoną miłość.

Poczuła nagle wewnętrzny chłód, choć mimo wrześnieowej pory powietrze było nadal ciepłe i łagodne.

- Myślisz wciąż o swojej żonie, tak?

W jednej chwili zmienił się nie do poznania. Odepchnął jej rękę tak gwałtownie, że prawie się przestraszyła.

- Nie! Nie o niej! - krzyknął na cały głos, budząc górskie echa. Eryl wyobraziła sobie, że to duchy starożytnych walijskich rycerzy wołają z głębi Cader Idris, gdzie, jak głosiła legenda, padli niegdyś i zostali pochowani razem ze swoim królem. Nappełniło ją to uczuciem lęku, a zarazem wprawiło w zamyślenie. Ocknęła się, gdy na ramionach poczuła ręce Lewisa. - Eryl, popatrz mi w oczy! Czy nic nie widzisz?

- Widzę cierpiącego mężczyznę - powiedziała czule - który męczy się, ponieważ nie może zapomnieć ukochanej żony.

- Nic nie rozumiesz. Muszę ci wszystko wyjaśnić, może wtedy wreszcie coś do ciebie dotrze.

Objął ją i poprowadził górską ścieżką w stronę Cader Idris. W połowie drogi skręcili na niewielką, otoczoną paprociami i wysłaną zielonym mchem polaną. Stanęli tam, spoglądając na wyniosły szczyt panującej nad rozległą doliną potężnej góry.

- Spójrz! - powiedział. - Zaraz zaczniesz się zachód słońca. Przyjrzyj się tym tęczowym barwom i powiedz, co czujesz.

Eryl posłusznie podniosła głowę, wpatrując się w dal.

- Świat wydaje się pełen czarów - szepnęła.

- I takie powinno być nasze życie. Gdybyśmy umieli dostrzec i przechować jego uroki.

- Powinieneś być poetą - rzekła.

- Jestem lekarzem, powinienem być chirurgiem, a teraz każeś mi na dodatek pisać wiersze, nie mówiąc już o sprawieniu sobie okularów - zażartował.

- Miałeś mi coś wytłumaczyć - przypomniała. - Czy chodzi o Marianne? Czy to ona jest tą osobą, którą, jak powiedziałeś, przypominam? Pamiętasz, pierwszego dnia, zaraz po moim przyjeździe?

- Tak - odparł z westchnieniem - choć w rzeczywistości wcale jej nie przypominasz. Muszę ci wreszcie powiedzieć prawdę. Tylko jeden człowiek wie, co naprawdę dzieje się w mojej głowie od śmierci Marianne, a jest nim Trefor.

- Naprawdę nikt prócz niego? Nawet ta kobieta, która podobno jest tylko twoją znajomą?

- Jennifer? Ach tak, ona zna fakty. To oczywiste. Jest prawnikiem i robi, co może, żeby uporządkować moje sprawy, które po przyjeździe do Dynas zmieniły się w istne bagno.

- Rozumiem - odparła, nadal nic nie rozumiejąc.

- Nie masz ochoty usiąść i popatrzeć na niebo? A może ziemia jest za mokra?

Eryl powiodła ręką po mchu, który mimo otaczających polaną paproci wydawał się suchy jak pieprz.

- Nie - odparła, siadając obok niego na ziemi.

Podziwiając piękno mieniącego się barwami nieba, słuchała opowieści o Marianne. Dowiadywała się rzeczy, które z trudem mieściły się jej w głowie, ale zarazem dobrze tłumaczyły ponure nastroje Lewisa. Wyjaśnił jej, że Marianne nie zginęła w wypadku sama. Zginęło także jej nie narodzone dziecko oraz prowadzący samochód mężczyzna, który był jej kochankiem. Eryl przypomniała sobie reakcję Lewisa na wiadomość o ciąży Nerys i zrozumiała, skąd brała się gorycz, jaką dostrzegła wówczas w jego spojrzeniu.

- Czy... to było twoje dziecko?

- Nie - odparł pośpiesznie. - Powiedziała mi to wyraźnie przed wyjazdem. Kiedy wyjeżdżała, żeby rozpocząć nowe, wspaniałe życie z innym mężczyzną, który, nawiasem mówiąc, nie był jej pierwszym kochankiem. Jak się wkrótce dowiedziałem, miała ich kilku w trakcie naszego małżeństwa. - Spojrzał na Eryl przepraszająco. - Może teraz łatwiej zrozumiesz przyczyny mojej niechęci do lekarek. I darujesz, że bywałem wobec ciebie ostry.

- Po co mi to wszystko mówisz? Po co przywołujesz na nowo tę okropną historię?

- Uważam, że powinnaś znać prawdę - oświadczył poważnie. - Nawet najgorszą. Ostatecznie musimy razem pracować.

- Ale przecież to nie ma nic wspólnego z tobą. Nie zrobiłeś nic, czego musiałbyś się wstydzić.

- Nie? Więc dlaczego Marianne nie mogła być mi wierna? Dlaczego ze mną nie chciała mieć dziecka, chociaż była uszczęśliwiona, kiedy się dowiedziała, że urodzi je swemu kochankowi? - ciągnął z goryczą. - Coś mi zawsze mówiło, że to moja wina, że to ja jestem za to odpowiedzialny. Nie umiem dać kobiecie szczęścia. Niszczę uczucia, nie potrafię ich pielęgnować. Dlatego postanowiłem nigdy więcej się nie wiązać.

Eryl milczała, wspominając, jak brutalnie ją odepchnął po ich pierwszym pocałunku. Pragnęła mu powiedzieć, że to wszystko nieprawda, że niesłusznie się obwinia. Długo się jednak wahała w obawie, by jeszcze bardziej go nie zranić. Ale przecież nie może mu pozwolić niepotrzebnie się zadrećcać.

- Wszystko, co robiła twoja żona, wynikało z jej własnych decyzji - powiedziała na koniec. - Nie ty ją do tego doprowadziłeś. Ludzie kierują się własnymi pobudkami, nie działają pod czyjś wpływem. Sami tworzą swój los.

Roześmiał się ponuro.

- Jeśli kiedyś znudzi ci się medycyna, możesz zostać filozofem.

- To będzie kolejna pozycja na naszej liście zawodów - żartowała. - Przyznaj się, czy w dzieciństwie nie marzyłeś, żeby zostać motorniczym?

Tym razem w jego śmiechu brzmiała autentyczna wesołość. Podniósł jej ręce do ust i pocałował je, a potem spojrział na nią rozjaśnionym wzrokiem.

- Wkrótce nadejdzie jesień - powiedział. - Drzewa pożółkną i stracą liście. Zanim to nastąpi, jak myślisz...?

- Mów dalej. Słucham cię - szepnęła po chwili wahania.

- Chciałbym cię o coś zapytać, ale nie potrafię się na to zdobyć. Jeszcze nie teraz.

Czuła się zdezorientowana.

- Kiedy zatem usłyszę to trudne pytanie?
- Kiedy uda mi się wreszcie wyplątać z kłopotów, w jakie zostałem wplątany. Ze spraw, które Jennifer usiłuje rozwiązać jako mój adwokat.

- Związanych ze śmiercią Marianne?

Kiwnął głową.

- Początkowo moja sytuacja prawna wydawała się prosta, ponieważ oboje z Marianne sporządziliśmy testamenty, w których zapisaliśmy sobie nawzajem wspólny dobytek. Ale polem matka człowieka, który razem z Marianne zginął w wypadku, wystąpiła do sądu, twierdząc, że Marianne zmieniła testament i wszystko zapisała jej nieszczęsnemu synowi.

- Czy ktoś widział ten nowy testament?

- Nie. Ona twierdzi, że gdzieś się zapodział i zleciła swemu prawnikowi odwlec sprawę spadkową do czasu odnalezienia rzekomego testamentu.

- A ma do tego prawo?

- O tak. W przypadku najmniejszej wątpliwości prawo nakazuje maksymalną ostrożność. Jennifer robi, co może, aby przyspieszyć termin okazania testamentu, zaś gdyby się to okazało niemożliwe, skłonić adwokata tamtej strony do wycofania roszczeń.

- Co za okropna sytuacja!

- Mówisz, jakby cię to naprawdę obchodziło.

- Bo tak jest.

- Eryl, co właściwie chciałaś przez to powiedzieć?

- To, że cię kocham. Może nie ucieszy cię ta wiadomość, ale tak jest i nic na to nie poradzę.

Lewis wstał i delikatnie pomógł jej się podnieść.

- Ciesz się, Eryl - odparł. - Powtórz to jeszcze raz, bo nie wierzę własnym uszom.

- Nie chciałam się w tobie zakochać, ale tak się stało. Jeśli mnie nie zechcesz, zrozumieć to. Chcę tylko, żebyś wiedział, że

jeśli przegrasz sprawę i stracisz wszystko, dla mnie nie będzie to miało żadnego znaczenia. Cóż w końcu znaczą pieniądze? Najważniejsze, żebyś się nie poddał.

- Eryl, moja Eryl... - szepnął.

Przytuliła się do niego, rozkoszując się ciepłem jego ciała i delikatną pieszczotą rąk, które muskały jej plecy. Ich zbliżenie nie miało w sobie nic erotycznego - Eryl czuła jedynie cudowną ulgę i radość, że dotyka człowieka, którego wreszcie poznała i nauczyła się rozumieć.

- Co to miało znaczyć, kiedy powiedziałaś, że robisz coś z myślą o mnie? - spytała.

- Kiedy uciekałem z lecznicy?

- Tak. Myślałam, że mnie unikasz.

- Ależ skąd! Nigdy cię nie unikałem. Zajmowałem się sprawami, które chciałem rozwikłać, zanim...

- Zanim co? Wciąż nie rozumiem.

- Nie? - Zaśmiał się. - Nie domyślasz się? - A kiedy bezradnie potrząsnęła głową, obdarzył ją szczęśliwym uśmiechem. - Eryl, to wszystko dla ciebie. Chciałem się pozbyć koszmarów przeszłości i zacząć wszystko od nowa. Bo widzisz, ja też się zakochałem. Czy zgodzisz się zostać moją żoną?

Zapadał zmierzch, a ona patrzyła mu w oczy, czując niewysłowione szczęście. Zburzyło je jednak wspomnienie własnej przeszłości. Chwilę się jeszcze zastanawiała, aż w końcu rzekła:

- Ale ty przecież nic o mnie nie wiesz, Lewis.

- Wystarczy mi to, co wiem. Czyż nie powiedziałaś przed chwilą, że mnie kochasz?

- To za mało. Musisz znać całą prawdę.

- Chcesz powiedzieć, że wciąż nie możesz zapomnieć człowieka, z którym byłaś zaręczona? - spytał zgaszonym głosem.

- Nie, nic już do niego nie czuję. Ale są inne rzeczy, o których powinieneś wiedzieć.

- Nie musisz mi nic mówić, naprawdę nie musisz.

- Ale chcę, żeby pozbyć się raz na zawsze tego, co nie daje mi spokoju.

- Więc mów - powiedział z taką serdecznością, że przestała się wahać.

- Po skończeniu studiów, a przed rozpoczęciem pierwszej praktyki, przyjechałam do Dynas na wakacje. Ojciec załatwił mi staż w szpitalu w Pandy. Chciał, żebym nabrała doświadczenia.

Urwała i spojrzała na Lewisa.

- Naprawdę nie musisz mówić dalej, jeśli sprawia ci to przykrość - wtrącił.

- Trudno. Muszę się na to zdobyć.

Lewis posadził ją obok siebie na mchu i wziął za rękę, lekko je gładząc. Pod wpływem jego dotyku znów nabrała odwagi.

- Niestety, ojciec nie wiedział, jakie czekają mnie doświadczenia. W Pandy poznałam doktora Daviesa, czarującego człowieka, któremu nie potrafiłam się oprzeć. Byłam w nim zakochana po uszy. - W jej wyobraźni zawirowały obrazy tamtych dni i przeszedł ją lekki dreszcz. - Nigdy przedtem nie byłam z mężczyzną. Długo się opierałam, bo w gruncie rzeczy od początku nie byłam pewna jego miłości. Był bardzo sprytny - podjęła po chwili milczenia. - Dopóki mu się opierałam, nadskakiwał mi i mówił o małżeństwie. Przekonywał, że to nic złego, skoro i tak mamy się pobrać.

- I żyliście z sobą?

- O tak. Długi czas. Co prawda szybko odkryłam, że ma również inne kobiety, ale wciąż mówił, że tylko mnie kocha naprawdę. Za każdym razem potrafił mnie przekonać i wybaczałam mu.

- A jak doszło do zerwania?

- Kiedy się dowiedział, że jestem w ciąży - odparła, bezskutecznie usiłując opanować drżenie głosu.

- O Boże! Moje biedne maleństwo! - zawołał, przytulając ją do siebie tak silnie, że z trudem oddychała. - Przerwałaś ciążę?

- Nie.
- Więc oddałaś dziecko do adopcji?
- Też nie - wyszeptła przez zaschnięte gardło. - Dziecko nie dożyło porodu. Poroniłam na samym początku ciąży, tak wcześnie, że nigdy nie dowiedziałam się nawet, czy miał to być chłopczyk czy dziewczynka. Powiedziano mi, że przyczyną poronienia był stres. Sama nie wiem. Czasami myślę, że nie zasłużyłam sobie na macierzyństwo.

Koniec, nareszcie zrzuciła wszystko z serca. Wstała i ruszyła na oślep przed siebie, nie mając odwagi spojrzeć mu w oczy. Słyszała za sobą jego kroki, ale nie zatrzymała się. Chciała oddalić się od niego; chciała wstrzymać czas, by nie słyszeć, jak mówi, że się na niej zawiodł, że okazała się nie lepsza od jego zmarłej żony.

I oto znów chwycił ją za ramiona, odwrócił ku sobie i przytulił. Czując na twarzy jego pocałunki, Eryl miała wrażenie, iż staje się częścią niego. Po chwili oderwał się od niej i spojrzał na nią wzruszony.

- Moja biedna, cudowna Eryl! - szepnął. - Nigdy więcej nie odchodź ode mnie w ten sposób. Będę cię kochał zawsze, póki Cader Idris nie rozsypie się w proch.

- Co najprawdopodobniej nie nastąpi za naszego życia. Chyba że stanie się na nowo wulkanem.

- Kocham twoje żarty! Nie uciekaj, chcę cię całować i nigdy nie przestawać.

Eryl uśmiechnęła się z przekornym błyskiem w oku.

- Boję się, że będziesz z tym musiał trochę poczekać. Chyba o czymś zapomniałeś.

- O czym? - spytał, próbując przybrać surową minę, co się nie udało, bo usta same mu się śmiały.

- O kimś bardzo, bardzo ważnym.

- A któż to taki?

- Jak to kto? Twój ulubiony pacjent, a mój ulubiony lekarz.

Jak mogłeś o nim zapomnieć! Musimy mu natychmiast o wszystkim powiedzieć.

- Trefor nie ucieknie - odparł wesoło. - Najpierw musisz mnie pocałować.

- Jeśli ładnie poprosisz, może zastanowię się, czy na to zasługujesz.

Nigdy nie mogła sobie potem przypomnieć, czy w końcu powiedziała „proszę”, czy nie. Pamiętała tylko jego pełne miłości spojrzenie i powtarzane po wielokroć słowa, że ją kocha.